Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 44 (1440) ROK XXVIII 2 LISTOPADA 1985 ROKU CENA 20 ZŁ

- Rzemieślnik, prawo i życie
- Raport tranzytowy
- Strażnicy zaginionej Atlantydy
- W murach Kadyksu
- Geniusz i styl...

Foto: Grzegorz Gałasiński

Zazdrosna medycyna

JACEK GŁĘBSKI

1.

Na wsi pod Trzebinią mieszka Holender, Johannes Rongen, człowiek już niemłody, materialnie niezależny. Ma on w swej ojczyźnie przedsiębiorstwo budowlane, którym administruje rodzina. W Holandii poznał Polkę, ożenił się, ale pani Irena chciała, żeby dzieci wychowywały się w Polsce, dlatego też przyjechał. W tym krótkim życiorysie nie byłoby nic niezwykłego, gdyby nie to, że 23 lata temu Holender odkrył u siebie zdolności bioenergoterapeutyczne. Początkowo nie dowierzał, śmiał się, ale był ciekawy. Nietrudno było to sprawdzić, wszak w Holandii istnieją specjalne szkoły zajmujące się tą dziedziną wiedzy. Okazało się, że Johannes Rongen ma odpowiednie zdolności i mógłby je wykorzystywać. Holenderski dyplom nie był jednak szczytem jego marzeń; postanowił jechać do Stanów Zjednoczonych, aby pogłębić wiedzę i umiejętności. Warto wiedzieć, że w Belgii, Włoszech, Kanadzie, Hiszpanii i USA radiestezja, bioenergoterapia wykładane są na wyższych uczelniach. W wyniku studiów na uniwersytecie w Chicago, Rongen zdobył dyplom magnetyzera. Dziś okazuje się, że ten zagraniczny papier i dziwaczny tytuł umożliwiają mu pomaganie ludziom, czego obecnie pozbawieni są polscy bioenergoterapeuci, ale i tak podziękowano mu za pracę w „Izis".

— *Dla mnie celem w życiu nie są pieniądze, tylko pomaganie ludziom* — mówi Johannes

6

Aby spełnić oczekiwania

ZENON J. MICHALSKI

Trawestując stare polskie porzekadło świąt dotyczące powiedzieć by można — wybory, wybory i po wyborach. Mamy już za sobą długą kampanię wyborczą, i ten jeden dzień najważniejszy, dzień akceptacji i nadziei.

W wielu krajach świata politycy, którzy uzyskali poparcie wyborców oddychają z ulgą i fetują osiągnięcie celu, ponieważ zwycięstwo w wyborach jest właśnie tym celem najwyższym, do którego się dąży. U nas sukces wyborczy traktuje się jako tworzenie możliwości osiągania celów, a więc jako fakt bardzo ważny, ale przecież nie finalny. Przed nowo wybranym Sejmem stają bowiem zadania ustanowienia praw umożliwiających realizację celów społecznych i kontroli nad przebiegiem realizacji tych celów.

PAŹDZIERNIKA DZIEŃ TRZYNASTY

Był to dzień dobry, mimo — na żart tu sobie pozwalając — owej feralnej liczby. Udział w wyborach wzięło ponad 78,86 procent uprawnionych do głosowania, udzielając w ten sposób poparcia programowi Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. A przecież odbywały się te wybory w niełatwych warunkach kryzysu, z którego jeszcze nie udało się nam wyjść. A przecież odbywały się te wybory w warunkach ostrej konfrontacji politycznej, ożywionej działalności antysocjalistycznych ośrodków za granicą i w kraju, w warunkach nawoływania do bojkotu I jeżeli mimo tych wszystkich niekorzystnych stanów i zjawisk zdecydowana większość społeczeństwa spełniła swój obywatelski obowiązek, to niewątpliwie warto zastanowić się głębiej nad przyczynami wyborczego sukcesu sił porozumienia i odnowy.

Na pierwszym miejscu postawić by tu trzeba przyczynę bezpośrednią — nową ordynację wyborczą. Wszystkie dotychczasowe kampanie wyborcze w Polsce Ludowej różniły warunki, w których się odbywały. Od tych z 1947 roku przeprowadzanych w warunkach ostrej walki o kształt odradzającego się państwa poczynając, a na przedostatnich, odbywających się w atmosferze upojenia sukcesami „na etapie rozwiniętego socjalizmu" kończąc. Było w nich wszystkich — z wyjątkiem może tych pierwszych — trochę formalizmu, chęci zadokumentowania pełnej jedności moralno-politycznej narodu.

3

Kultura jest jedna

Rozmowa ze znanym poetą, prozaikiem, satyrykiem i tłumaczem JANEM HUSZCZĄ obchodzącym 50-lecie twórczości.

— Zdaję sobie sprawę z faktu, iż podczas krótkiej rozmowy nie da się powiedzieć całej prawdy o poecie, prześledzić jego długą drogę twórczą bogatą w wydarzenia i zaznaczoną dziesiątkami opublikowanych książek. Dlatego zacznijmy, Panie Janie, naszą rozmowę od owego momentu w Pańskim życiu, kiedy poczuł Pan po raz pierwszy potrzebę podzielenia się z innymi tym, co wypełniło Pańskie serce i zawładnęło umysłem. Jak się zaczął Pański romans z poezją?

— Romans? Raczej długoletnie pożycie w różnych aurach, przy różnej temperaturze... Zaczynałem wyjątkowo wcześnie. Musiałem zmarnować prawdopodobnie dużo atramentu, były to bowiem pierwsze klasy gimnazjalne. Miałem wtedy jakieś, powiedzmy, sześnaście lat. Tu muszę się pochwalić, że przez jakiś czas byłem naczelnym redaktorem pisma gimnazjalnego, ale drukowanego w prawdziwej drukarni, noszącego tytuł „Nasz Głos". W tym piśmie prowadziłem notowanie folkloru białoruskiego. No, nie była to praca klasy Oskara Kolberga, mimo to była to działalność ważna, gdyż sporo dziewcząt i chłopców była pochodzenia białoruskiego. Działo się to wszystko w małym miasteczku Dziśni, na samym krańcu północno-wschodniej granicy Rzeczypospolitej.

— I w tym piśmie wydrukował Pan swój pierwszy wiersz?

— Nie, wtedy wierszy jeszcze nie drukowałem. Pierwszy swój wiersz ujrzałem w „Kuźni Młodych" bodaj że w 1934 r. Otóż owa „Kuźnia Młodych" nie była wcale pisemkiem prowincjonalnym, ale poważnym pismem ogólnopolskim. Był to dwutygodnik, w którym zaczynali stawiać swoje pierwsze kroki znani dziś i uznani autorzy. Z krytyków Hieronim Michalski, Ryszard Matuszewski, Jan Kott, z poetów m.in. Jan Twardowski... Mój wiersz był, jak na owe czasy „awangardowy", nie miał rymów. Zdaje się, że nosił tytuł „Miasto". Powstał po powrocie z ogólnopolskiej narady w Warszawie, przeciwko miastu, które oszołomiło młodzieńca mieszkającego 30—40 kilometrów od stacji kolejowej.

— Panie Janie, w owym czasie w Wilnie działała przecież znana grupa „Żagary", której założycielami byli Teodor Bujnicki, Czesław Miłosz i Jerzy Zagórski. Zapewne stykał się Pan z nimi, a jako pisarz lewicujący, musiał Pan także drukować swoje teksty w wydawanych przez nich pismach...

— Mam wszelkie powody, żeby bez wahania pewne wydarzenie w druku nazwać swoim debiutem poetyckim. Gdy jesienią 1934 roku przyjechałem na studia do Wilna żagaryści — grupa bardzo znana, ale ciągle czekająca na szczegółowe opracowanie najwybitniejsza grupa poetycka w Polsce po „Skamandrze" — od jakiegoś czasu już nie istniała jako grupa. Byli natomiast znani poeci, z których każdy szukał własnej drogi, ścieżki czy ścieżyny. Z reguły mówiąc o „Żagarach" wymienia się te najsławniejsze nazwiska. Ale przecież jak każda grupa także i „Żagary" miały swoją otoczkę składającą się z nazwisk mniej znanych. Ja zjawiłem się niestety za późno, by należeć do „Żagarów". Owszem, drukowałem potem wspólnie z nimi teksty satyryczne pod wspólnym pseudonimem Arona Piermasa. Pisałem zresztą o nich...

— Wracając do Pańskiej twórczości należy wspomnieć o „Kurierze Wileńskim"...

— Nieprawym dzieckiem dawnych „Żagarów" można chyba nazwać kolumnę literacką redagowaną przez Józefa Maślińskiego regularnie każdej niedzieli dla „Kuriera Wileńskiego". Ech, gdzie te czasy, gdy każda poważniejsza gazeta starała się o dodatek literacki i o nazwiska. Stawiano albo na młodych, albo zabiegano o autorów uznanych. Bywało tak i w przedwojennej Łodzi. I właśnie na łamach tej kolumny spotykali się znakomici żagaryści m.in. Czesław Miłosz, Teodor Bujnicki, Jerzy Putrament, Aleksander Rymkiewicz, Jerzy Zagorski. Dołączali czasem do towarzystwa: Józef Czechowicz, Stanisław Piętak, Stefan Napierski, Konstanty Ildefons Gałczyński, czyli prawie już wszyscy nieżyjący. Tak, tak, grupa moich ówczesnych bliskich i znajomych maleje z dnia na dzień. Większość jest już po tamtej stronie.

Muszę powiedzieć, że na wakacje wyjeżdżałem do Dziśny, a z początkiem roku akademickiego wracałem do Wilna. Otóż lato 1935 roku także spędziłem poza Wilnem. I oto otrzymałem najpierw kartkę pisaną przez żagarystę Józefa Maślińskiego, w której to kartce pisał, że moje wiersze zostały zaakceptowane do druku. Potem w numerze z 29 września 1935 roku znalazłem informację, że w następnej kolumnie literackiej zamieszczą się to i to, oraz ciekawy debiut poetycki Jana Olechny. Tak więc moje wystąpienie zostało nazwane debiutem poetyckim. W następnym numerze „Kuriera Wileńskiego" z 6 października 1935 roku znalazłem swoje cztery teksty pod wspólnym tytułem „Wiersze".

— Na debiut książkowy Jan Olechno musiał czekać całe trzy lata...

— Tak, to prawda. Ale już w 1937 roku przyjęto mnie na członka Związku Zawodowego Literatów Polskich. Dopiero wiosną roku następnego, a więc 1938, nakładem oddziału tegoż związku ukazała się szczuplutka, skromniutka, tyle że bez błędów drukarskich książeczka „Ballada o podróżnych", a wśród zamieszczonych tam 21 wierszy i owe cztery debiutanckie. Pragnę podkreślić, bo niektórzy wspominając swoją młodość poetycką czy literacką, piszą, że nie otrzymywali nigdy honorariów, że „Kurier Wileński" płacił, niewiele co prawda, ale zawsze to były pieniądze, które dla studenta miały duże znaczenie. Ostatecznie za dwa lub trzy wydrukowane wiersze można było uszyć sobie dobrą parę butów chromowych. Młodszym rodakom wyjaśniam: gatunek skóry miękki, specjalnie garbowany. Najczęściej jednak poetów nie przyzwyczajano do honorariów. Pisało się felietony, michałki, humoreski.

— W ankiecie Związku Literatów Polskich czytam, że studiował Pan prawo i nauki społeczne. Tak podaje także słownik Bartelskiego „Polscy Pisarze Współcześni".

— Byłem studentem wydziału prawa Uniwersytetu im. Stefana Batorego. Ale kiepskim studentem. Natomiast absolutorium otrzymałem w innej wileńskiej uczelni, w Wyższej Szkole Nauk Politycznych. Brakowało tylko pracy dyplomowej.

— Dość wcześnie zaczął Pan przekładać wiersze poetów rosyjskich i białoruskich...

— Przecież wychowałem się w środowisku, gdzie te języki słyszało się na co dzień. Ja oprócz wierszy sporo w owych latach drukowałem tekstów publicystycznych oraz satyrycznych. Wiele tłumaczyłem. Pamiętam, że pierwszy tekst to był wiersz Anny Achmatowej, potem kilka tekstów białoruskich. To był skromny początek, który dopiero później przybrał poważniejsze rozmiary i w mojej pracy literackiej zajął ważne miejsce. Owocem tego była „Antologia poezji białoruskiej" wydana w Bibliotece Narodowej Zakładu imienia Ossolińskich wyszedł także wybór powojennych opowiadań białoruskich.

8

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90-950 Łódź ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045--139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam.: 3236. P-14.

Przegląd prasy

Na medycynie, ekonomii, wychowaniu i kulturze znają się u nas wszyscy. Już Stańczyk zauważył był, że w Polsce najwięcej jest lekarzy. Każdy bowiem, aby ulżyć bliźniemu w jego cierpieniach chętnie podzieli się własnymi doświadczeniami, a często i własnych użyczy leków. Ale, czy rzeczywiście każdy może być lekarzem? Czy jest to zwykły zawód, czy też potrzeba do tego, aby być lekarzem czegoś więcej — powołania.

CO O TYM MYŚLI MINISTER?

Tadeusz Szelachowski udzielił wywiadu Januszowi Ostaszewskiemu, a ten opublikował go w „ŻYCIU GOSPODARCZYM" (nr 41 z 13 października 1985 roku). W wywiadzie tym minister Tadeusz Szelachowski powiada:

„Przyjmuje się coraz więcej, już prawie 5 tys. tylko na wydziały lekarskie. Otworzyliśmy nową akademię w Bydgoszczy. Wysyłamy młodzież na studia do pięciu krajów socjalistycznych. Świadczy zaś o tym, że wybór tego zawodu nie jest przypadkowy i że na medycynę idą ludzie z powołania, tacy, którzy naprawdę chcą leczyć".

A zatem powołanie. Ale i praktyka, ale i umiejętności. Minister Tadeusz Szelachowski powiada również, że *„wadą naszego systemu kształcenia lekarzy — który w konfrontacji z zagranicą wypada mimo wszystko bardzo pozytywnie — jest zbyt wczesna, „wąska" specjalizacja".* A polega to na tym, że lekarz szybko odzwyczaja się od wszystkiego i najczęściej wyręcza się specjalistami. Najczęściej — bez potrzeby. Bożena Markowska w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM" (nr 43 z 27 października 1985 roku) opublikowała artykuł pt. *„Lekarze"*, w którym cytuje wypowiedź dr B. o tym, jak to w czasie epidemii grypy chciano sięgnąć po lekarzy z instytutów i okazało się, *„to niemożliwe, bowiem wielu z nich tak daleko odeszło już od podstawowej funkcji zawodowej, że trudno było angażować ich w leczeniu".* Ta sama autorka powiada, że *„liczba lekarzy nie pełniących żadnych funkcji administracyjno-kierowniczych stanowi niewiele ponad połowę ich liczby ogólnej".* Jeśli więc statystycznie mamy 19,2 lekarzy na 10 tysięcy mieszkańców, to i tak jest to tylko statystyczny przelicznik, a faktyczną rolę lekarzy spełnia dużo mniejsza ich liczba. Bo warto pamiętać, że w Polsce brakuje: *„4 tys. lekarzy, 1 tys. dentystów, 8 tys. pielęgniarek. 1 tys. położnych, 2 tys. asystentek stomatologicznych i higienistek".* Wprawdzie lekarzy przybywa z roku na rok, ale i ludności przybywa. A poza tym starzejemy się i potrzeba nam coraz częściej lekarskiej porady i opieki.

JAK KSZTAŁCIĆ LEKARZY?

aby sprawniej mogli wypełniać swoje funkcje zawodowe i spełniać swoje powołanie? *„Zaproponowałem* — mówi min. Tadeusz Szelachowski — *by absolwent akademii odbywał po dyplomie dwuletni staż w ogólnym szpitalu, gdzieś w terenie, a potem zdawał państwowy egzamin na pierwszy stopień specjalizacji z zakresu medycyny ogólnej".* Może to i sposób, ale — jak wynika z artykułu Bożeny Markowskiej — życie lekarza wiejskiego nie jest wcale takie proste i łatwe. Dr B. *„zatrudniona została w oddalonym o 30 km od ośrodka zdrowia, w którym mieszka i przyjmuje, szpitalu wojewódzkim, gdzie robi pierwszy stopień specjalizacji. (..) Po dwóch godzinach dyżuru jedzie do szpitala, gdzie asystuje przy operacjach. Robienie specjalizacji w jej warunkach (codzienne dojazdy, półtoraroczne dziecko) wymaga wielu wyrzeczeń. Po zrobieniu pierwszego stopnia wyjedzie do miasta, bo na zrobienie drugiego stopnia tutaj nie ma szans".*

Wszyscy lekarze, z którymi rozmawiała Bożena Markowska, a którzy zastrzegli sobie anonimowość, pracują na ogół

WIĘCEJ NIŻ 8 GODZIN DZIENNIE

i wcale nie zarabiają tak wiele. Jedynym, który zarabia 240 tys. złotych miesięcznie jest dr Ł. — ginekolog z prywatną praktyką. *„Dr B.* — pisze B. Markowska — *przyjmuje mnie w pokoju lekarza oddziałowego. Jest bardzo zmęczony. Ma siedemnastogodzinny dyżur, który rozpoczął bezpośrednio po dwudziestu godzinach pracy w pogotowiu. Czeka go jeszcze do rana siedem godzin zajęć w podstawowej pracy. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jutro około 16.00 powinien szczęśliwie dotrzeć do domu. Zarabia około 30 tys. miesięcznie".*

Min. Tadeusz Szelachowski zgadza się, że polski lekarz zarabia mało, ale zaraz zastrzega się, że *„relacja naszych płac (nie tylko lekarzy) do średnich wynagrodzeń w całej gospodarce poprawia się. Jeszcze w 1983 roku 10 541 zł średniej płacy w służbie zdrowia stanowiło tylko 73,2 proc. średniej w gospodarce.) W roku 1984 — 13 168 zł to już 78,1 proc., a w pierwszym półroczu tego roku — 15 485 to już 81,2 proc. Oby tak dalej".* Nie zapominajmy jednak, że inflacja też nie stoi w miejscu, a i wzrost płacy średniej w gospodarce również dokonuje się szybko. Lekarz, który ma dbać o nasze zdrowie ganiа po dyżurach za zarobkiem. Trudno temu się dziwić i trudno dziwić się lekarzowi, że jest zmęczony, nie ma czasu nie tylko na niezbędny każdemu człowiekowi odpoczynek, ale i na naukę własną. A kto stoi w miejscu, ten się cofa, bo medycyna w miejscu nie stoi.

No i jeszcze jedna sprawa. Dziś

W SŁUŻBIE ZDROWA PRZEWAŻAJĄ KOBIETY

Uczenie nazywa się to feminizacją zawodu, a fakty są takie, że 75,8 proc. wszystkich pracujących w służbie zdrowia stanowią kobiety, a wśród lekarzy na 71 012 kobiet jest 38 267.

Tu dygresja — Bożena Markowska popełniła mimo woli fatalną pomyłkę. Pisze ona: *„Na 700 tysięcy pracowników służby zdrowia jest 71 012 tys. lekarzy...".* Byłoby dzięki temu ich w Polsce więcej niż ludności i więcej niż wszystkich pracowników służby zdrowia, co jest niemożliwe.

Ale wróćmy do kobiet w służbie zdrowia. Jest ich tym więcej, im młodszy jest wiek lekarzy. Na przykład: wśród 10 744 lekarzy w wieku do 29 lat są 6 342 kobiety, a wśród 13 135 lekarzy w wieku od 30 do 39 lat jest 8 607 kobiet. Kobiety — jak wiadomo — nie tylko wypełniają swoje zadania zawodowe, ale jeszcze zajmują się domem, co nie jest również obce lekarkom. A poza tym wychowują dzieci. Lekarki pełniące dyżury, przyjmujące w poradniach, wypełniające domowe obowiązki mają jeszcze mniej czasu na wypoczynek i naukę. *„Mimo licznych trudności* — pisze B. Markowska — *zmęczenia i innych mankamentów pani D. uważa swój zawód za wspaniały".* To nazywa się powołaniem lub umiłowaniem zawodu. Ale jest to zawód, który ma służyć radą i pomocą, przynosić chorym ulgę i wracać ich do zdrowia, a zatem też lekarz, który bierze nas w swoje obroty powinien być wypoczęty i dobrze do swej pracy przygotowany. Powołaniem powołaniem, ale bez wiedzy, doświadczenia i aparatury wiele się nie zrobi.

Lekarzy brakuje. Czy coś się zmieni, skoro *„od czterech lat o 25 proc. zwiększa się coroczną liczbę kandydatów przyjmowanych na wydziały lekarskie, o 35 proc. na stomatologię"?* Bożena Markowska nie robi wielkiej nadziei. *„Do roku 1990 planuje się zwiększenie liczby lekarzy o 15,5 tys., stomatologów o 1 600, farmaceutów o 1 400 i 54 tys. pielęgniarek. Ale i tak zabraknie 807 lekarzy ogólnych, 1 780 pediatrów, 1 162 ginekologów, 2 432 stomatologów oraz 1 425 pielęgniarek"* Bo i ludzi będzie przybywało.

LUCJAN BOGUSZ

NA WŁASNY RACHUNEK

Temat wstydliwy

Jak wiadomo, istnieją tematy zaliczane do tzw. wstydliwych. Pierwsze miejsce wśród nich zajmują u nas — o dziwo! — nie sprawy seksu czy chorób wenerycznych lub też różnego rodzaju dewiacji i zboczeń, lecz ...śmierć. Taki Śmierć własna jako problem psychologiczno-moralny; problem godnej śmierci. Nie mam na myśli środowisk wiodących autentyczne życie religijne, a więc wyczulonych na głębszą problematykę śmierci, lecz ogół społeczeństwa, zarówno niewierzących i indyferentnych, jak i ludzi traktujących wiarę powierzchownie, wyłącznie obrzędowo.

Co prawda raz do roku, w dniu Wszystkich Świętych, który należałoby nazwać dniem wszystkich umarłych (lepiej chyba niż świętem zmarłych, bo cóż to za świętowanie, kiedy się już nic nie wie, niczego nie czuje, o niczym nie pamięta, gdyż już się nie istnieje poza cudzymi wspomnieniami), otóż w tym dniu, zapalając znicze na grobach, co najwyżej westchnie się melancholijnie nad kruchością ludzkiego żywota, w sensie, że „nie wiadomo kiedy komu sądzone". Ponadto myśli się też o śmierci — cudzej raczej niż własnej w związku ze zgonami i pochówkiem znajomych.

Ale za temat wstydliwy uchodzi publiczne zastanawianie się (co niniejszym czynię) nad tym, jak wyjść naprzeciw temu nieuchronnemu faktowi. Nikt nie chce, aby go uważano za jednostkę odstającą od społecznej i obyczajowej normy, która nakazuje działania trzeźwe i myśli praktyczne. Czasem tylko pozazdrościmy niektórym ludziom ich spokojnej ufności, że zgodnie z uzyskanymi od religii „gwarancjami" (w zamian za lojalność wobec jej wymagań) dostąpią w nagrodę wiecznej szczęśliwości. Czyż taka pewność nie łagodzi lęku przed śmiercią?

Jednak w obyczajowości współczesnej cywilizacji mało kogo dręczy myśl, czy potrafi on sprostać nieubłaganemu wyzwaniu w sposób godny, bez ujmy dla siebie i nie wywołując niesmaku w otoczeniu, coraz bardziej bowiem problem „zachowania twarzy" traci na znaczeniu, a niepokojąco szerzy się postawa, którą można by wyrazić w słowach: „Pluję na to, co sobie ludzie o mnie pomyślą, kiedy już mnie nie będzie wśród żywych". Poczytujemy więc sobie za mądrość niedopuszczanie do głębszych refleksji nad sobą, żeby nie osłabiła ona w nas (i naszych dzieciach) postawy życiowej zaradności.

Pamiętam, jak w przedwojennych latach szkolnych, kiedy istniał przymus chodzenia ze szkołą do kościoła, przyglądałem się co niedziela tabliczce z napisem „Bractwo dobrej śmierci", co mnie i kolegów serdecznie rozbawiało. Dzisiaj po latach sądzę, że błędem przynajmniej niektórych laickich systemów jest zupełnie bierne przyjęcie dewizy, w myśl której każdy umiera w samotności i pozostawienie jednostki niejako samej sobie w chwili zapewne najkrytyczniejszej w całym życiu.

Oczywiście, nikt nie przeprowadzi nas „na drugą stronę" za rękę, żeby było nam raźniej i tylko człowiek oszalały ze strachu mógłby pragnąć, żeby najbliżsi razem z nim opuszczali ten padół, a najlepiej żeby zginął cały świat. Nie odkryję chyba żadnych Ameryk, jeśli wyrażę przypuszczenie, że owe rozpaczliwe lęki kiełkują w człowieku znacznie wcześniej — w pełni jego życiowych sukcesów, a biorą się z braku uczuciowego czy intelektualnego zaangażowania w sprawy wyższego rzędu — naukę, sztukę, filozofię, działalność społeczną, czy wreszcie w to, co wzniośle nazywa się miłością.

Można by więc ukuć paradoks, że nie tylko dobre życie daje szansę na spokojną śmierć, ale także, iż wartościowanie życia w perspektywie dramatycznego finału (memento mori!), uwalnia nas choć na chwilę od samolubnej małostkowości i wymusza wybór godniejszych postaw. Inaczej mówiąc: myśl o śmierci może sprzyjać życiu również w systemie kultury laickiej, może bowiem skłaniać do wyboru określonej postawy — zamiast „i tak zdechnę, muszę więc używać po dziurki w nosie (carpe diem!) można opowiedzieć się za poszukiwaniem przeżyć wielkich i niezapomnianych.

Łatwiej o tym pisać, niż tak żyć — to absolutnie pewne, ale i pisanie (choćby okolicznościowe) jest kłopotliwe, naraża bowiem piszącego na podejrzenia o utratę zdrowego rozsądku. Pomimo tego upierałbym się przy ważności tego tematu, bo chociaż śmierć ludzi z sobą równa, to jednak samo umieranie jest egzaminem, który można zdać z bardzo różnym rezultatem, co nieobojętne dla kształtu naszej pamięci o tych, którzy odchodzą.

JERZY KWIECIŃSKI

DLA DOBRA KULTURY

PRZY UL. GABRIELA NARUTOWICZA 130

Na dwie godziny przed opuszczeniem Łodzi hitlerowcy wysadzili w powietrze Radiostację. 21 stycznia 1945 roku w domu przy al. Tadeusza Kościuszki 40 zmontowano i uruchomiono urządzenia dla przekazywania audycji systemem kablowym do rozmieszczonych w mieście głośników. Komunikaty z frontu odczytywał Zdzisław Suwalski. Rozpoczęto też odbudowę Radiostacji, choć specjaliści nie dawali tej pracy żadnych szans. A mimo to 21 października 1945 roku oddano do użytku odbudowaną Rozgłośnię Polskiego Radia w Łodzi. I tak to się zaczęło.

Dorobek Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia jest duży. Warto przypomnieć, że już 1 maja 1945 roku przed mikrofonami radiowymi w Łodzi koncertowała Orkiestra Mandolinistów pod dyrekcją Edwarda Ciukszy, 1 stycznia 1950 roku orkiestra, którą dyrygował **Aleksander Tarski**, a która luźno współpracowała z Łódzką Rozgłośnią PR stała się Orkiestrą Rozrywkową Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia, a dyrekcję nad nią w 1952 roku objął i do dziś prowadzi **Henryk Debich.** W 1958 roku powstały dwie odrębne redakcje audycji rozrywkowych: „Wesoły Autobus" z red. **Józefem Mozgą** na czele i „Program z Dywanikiem" z red. **Marianem Jeżewskim.**

Iluż ludzi przewinęło się przed mikrofonami Łódzkiej Rozgłośni PR, ile podjęto inicjatyw, ile zebrano nagród, wygrano konkursów — kronikarze to wszystko policzyli, zebrali i w książce „Barwny świat mikrofonu" zapisali. A redakcję całości powierzyli **Tadeuszowi Szewerze.**

Wspomnieć też wypada i tych, którzy już odeszli i nigdy nie wezmą do ręki mikrofonu, nie zasiądą w studio i nie powiedzą: „Dzień dobry państwu!": **Bolesław Busiakiewicz, Arnold Borowik, Ludwik Szumlewski.**

Pracownicy Łódzkiej Rozgłośni PR zawsze skłonni byli podejmować i popierać społeczne inicjatywy, już w 1946 roku reaktywowali Łódzką Rodzinę Radiową, teraz patronują powstawaniu Domu Stałego Pobytu i Rehabilitacji Młodzieży Niepełnosprawnej przy ul. Tkackiej w Łodzi, włączył się do pracy Społecznego Komitetu Budowy Filharmonii i akcji Czynu Pomocy Szkole.

28 października 1985 roku w Teatrze Wielkim odbyła się uroczystość jubileuszowa 40-lecia Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia. Obecni byli przedstawiciele władz partyjnych i państwowych z członkiem Biura Politycznego KC, I sekretarzem KŁ PZPR — **Tadeuszem Czechowiczem,** I sekretarzem KW PZPR w Piotrkowie Tryb. — **Stanisławem Kolasą,** zastępca przewodniczącego Komitetu do spraw Radia i Telewizji — **Janem Grzelakiem** oraz przedstawiciele władz województwa piotrkowskiego i sieradzkiego. Dokonano dekoracji zasłużonych pracowników Łódzkiej Rozgłośni PR.

Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymał **Bogdan Szurgot,** Złoty Krzyż Zasługi — **Krystyna Tamulewicz-Góra,** Srebrne: **Mirosław Kuźniak, Grażyna Papier i Andrzej Stróżyński,** Brązowy — **Andrzej Berut.** 24 osoby otrzymały Medale Czterdziestolecia. Honorową Odznakę Komitetu do spraw Radia i Telewizji otrzymała **Anna Jędrasiak,** a Honorową Odznakę Miasta Łodzi: **Ilona Grzesiak, Zbigniew Korzeniowski, Wojsław Rodacki, Wiktor Skrzydłowski i Helena Wilczura,** natomiast **Jadwigę Cendrowską** udekorowano Odznaką Zasłużonego Działacza Kultury. Przyznano też odznaki za zasługi dla województwa sieradzkiego i piotrkowskiego. Łódzka Rozgłośnia Polskiego Radia otrzymała Odznakę za Zasługi dla Województwa Sieradzkiego oraz Medal Czterdziestolecia Wyzwolenia Łodzi, a od władz województwa piotrkowskiego pamiątkowy puchar.

Gratulujemy i życzymy wielu sukcesów!

PRZY UL. WOJSKA POLSKIEGO 121

W Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych odbyło się z okazji Dnia Edukacji Narodowej uroczyste posiedzenie Senatu z udziałem **Tadeusza Czechowicza.** I sekretarz KŁ PZPR mówił na tym posiedzeniu Senatu o znaczeniu i roli kultury w rozwoju społeczeństwa i wadze, jaką PZPR przywiązuje do rozwoju kultury. Następnie udekorowano zasłużonych pracowników uczelni.

Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski otrzymał **Zdzisław Głowacki,** a tytuł Zasłużonego Nauczyciela Polski Ludowej — **Roman Modzelewski.**

Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski otrzymali: **Jerzy Karski, Stefan Krygier, Zygmunt Ogrodowski, Mieczysław Szadkowski i Krystyn Zieliński.** Złote Krzyże Zasługi: **Bogusław Balicki, Włodzimierz Ciesielski, Teresa Fabierkiewicz, Andrzej Gieraga, Jerzy Kudukis, Stanisław Łabecki, Andrzej Nawrot, Henryk Strumiłło, Katarzyna Wierzbicka.** Pięć osób otrzymało Medale Czterdziestolecia i pięć osób nagrody ministra kultury i sztuki.

Rektor uczelni — **Krystyn Zieliński** wręczył **Tadeuszowi Czechowiczowi** Medal PWSSP, który uczelnia przyznaje ludziom przyczyniającym się do właściwego rozwoju kultury i łódzkiej uczelni plastycznej.

Odznaczonym gratulujemy. Uczelni, jej pracownikom i studentom życzymy sukcesów w pracy twórczej i nauce!

A. B. S.

Jaka jest młodzież? (4)

„Tumanili nauką daremną"?

GRZEGORZ MATUSZAK

1. PO CO CHODZIMY DO SZKOŁY?

Przed około 300 laty, w XVII wieku w Europie zwyciężyło przekonanie, że nauka jest najważniejszym źródłem poznawania świata i jego rozumienia, umożliwiającym wpływanie na dziejące się na nim wydarzenia. Wielki filozof Oświecenia wypowiedział powszechnie znaną, a przecież w swej istocie rewolucyjną tezę że myślenie jest podstawowym wyznacznikiem podmiotowego istnienia człowieka. Wprawdzie wraz z poszerzaniem granic ludzkiego poznania pojawiły się i nadal pojawiają wciąż nowe, nie rozeznane przez człowieka obszary, ale nauka jako forma świadomości społecznej zrobiła, można nieco niestosownie powiedzieć, oszałamiającą karierę.

Uznano, że główne osiągnięcia ludzkiej myśli uporządkowane w obrębie poszczególnych dyscyplin nauki, należy upowszechniać i zapoznawać z nimi profanów, aby mogli lepiej pojmować świat, w jakim żyją. Tak trafiały, choć zwykle z pewnym opóźnieniem, najważniejsze dokonania nauki do szkół wszystkich typów. Ku utrapieniu uczniów, ale i pożytkowi ich umysłów od lat rozbudowywane są programy szkolne, aby w procesie edukacji mogli oni uzyskać w miarę pełny, choć czasem z przyczyn dydaktycznych nieco uproszczony obraz rzeczywistości przyrodniczej i społecznej.

A zatem wiedza naukowa jest pojęciowym odzwierciedleniem świata w ludzkiej świadomości, wyzwolonym od emocjonalnego stosunku do *przedmiotu poznania*, umożliwiającym tworzenie coraz pełniejszego obrazu przyrody, człowieka, społeczeństwa i ustalanie rządzących nimi prawidłowości. Ukształtowaniu takiego właśnie obrazu świata zjawisk przyrodniczych i społecznych ma służyć wiedza przekazywana w szkołach.

Inaczej mówiąc informacje uzyskane w toku szkolnej nauki, obojętne w szkole podstawowej, średniej czy wyższej, mają umożliwić człowiekowi nie tylko posiadanie pewnej sumy wiadomości o świecie, ale również być czynnikami regulującymi jego zachowania i wyznaczającymi jego postawę wobec przyrody i społeczeństwa.

W toku nauczania szkolnego człowiek zaspokaja swe rozliczne potrzeby: wiedzy i rozumienia, przynależności do zespołów ludzi sobie podobnych, o zbliżonym lub wręcz identycznym sposobie myślenia, uczy się ról społecznych, na przykład obywatela, pracownika. Przyswaja sobie także kulturowy ideał osobowości, to znaczy akceptowany społecznie wzór, zależny od epoki i ustroju społeczno-ekonomicznego, środowiska, według którego jednostka powinna kształtować swe zachowania. Postępowanie zgodne z ideałem zwykle przynosi człowiekowi uznanie, a rozbieżne może narażać na sankcje negatywne.

Warto przypomnieć, że rozległa wiedza, umiejętność stosowania jej w praktycznym działaniu, racjonalizm i jego dyscyplina, należą we współczesnym świecie do szczególnie cennych cech, jakie człowiek winien kształtować w toku swego życia, a przede wszystkim w okresie wieku edukacyjnego.

W tym miejscu pragnę przeprosić cierpliwego Czytelnika tego tekstu za przypomnienie spraw nader oczywistych, ale jak sądzę, jest to niezbędne do dalszego wywodu. Po prostu chcę stwierdzić, że po to chodzimy do szkoły, aby zdobywać tam wiedzę, którą potem potrafimy w życiu na osobisty i prywatny użytek praktycznie wykorzystać oraz w oparciu o nią kształtować swe sądy i wyobrażenia o świecie.

2. CZEGO UCZYMY SIĘ W SZKOLE?

Julian Tuwim wspominając z sentymentem swe lata szkolne napisał, że nauczali go *„mnóstwa mądrości"*, a ktoś inny zadał sobie trud udowodnienia, że współcześnie uczeń przed maturą w zakresie matematyki ma wiedzę równą tej, która pozwoliła Mikołajowi Kopernikowi „przeinaczyć" cały zastany porządek wszechświata, a przynajmniej ówczesny stan wiedzy ludzkiej na ten temat.

Ośmielam się wyrazić przekonanie, że dobry absolwent przyzwoitego liceum ogólnokształcącego jest najwszechstronniej wykształconym człowiekiem. Zna w miarę nieźle historię ojczystą i powszechną, nieobce są mu dzieje literatury i wiedzy o języku został zapoznany z podstawowymi elementami matematyki i nauk eksperymentalnych: fizyki, chemii, biologii, - mając w ręce mapę i podręcznik geografii podróżował po świecie. Uczy się, zwykle raczej z dość skromnym efektem, dwóch języków europejskich, a na zajęciach propedeutyki nauki o społeczeństwie dowiaduje się o elementarnych problemach ekonomii, polityki, prawa, socjologii.

Potem, niestety, zostajemy skazani na specjalizację, wycinkowość zdobywanej wiedzy i ów ogólny obraz świata jak gdyby ulega skrzywieniu — pogłębionej wiedzy w jednej, wąskiej dziedzinie nie towarzyszy równie głęboka refleksja w innych. Większość z nas pozostaje zatem na etapie ogólnej wiedzy wyniesionej ze szkoły średniej.

Na całe dorosłe życie wypada więc opuszczając mury szkoły, pojmować przesłanie literatury, poczynając od „Odprawy posłów greckich", ukazującej jak poczucie dobra ogólnego winno być bardziej cenione niż dążenie do prywatnych korzyści, poprzez dzieła romantyków i pozytywistów aż po utwory współczesne. Z nauki historii rozumieć procesy dziejowe i okrutną cenę, jaką przychodziło płacić naszemu narodowi za brak szacunku dla własnego państwa, za zbyt skwapliwe przyjmowanie roli przedmurza i zawieranie egzotycznych sojuszy, a wreszcie zapominanie, że w wojnach europejskich i światowych od wieków zawsze byliśmy „po drodze".

Z lekcji geografii gospodarczej trzeba by zapamiętać, że o miejscu kraju w tabelach światowych nie decydują dobre chęci i dobre mniemanie narodu o własnej wartości, ale produkcja materialna — organizacja tej produkcji i pracowitość obywateli, która jest w stanie zrekompensować nawet braki surowców lub niedostatki klimatu. Przynajmniej dostateczne oceny z fizyki, chemii, biologii, można sądzić, oznaczają rozumienie materialności świata i praw nim rządzących. Newtonowskie jabłko zawsze spadnie na ziemię i gdyby potencjalny adept liceum zechciał negować istnienie przyciągania ziemskiego, pewnie nie otrzymałby stosownego certyfikatu stwierdzającego posiadanie wykształcenia ogólnego.

To dzięki szkolnej wiedzy powinniśmy dochodzić do konstatacji, że nie wystarczy taniec zaklinacza, odczynianie choroby lub znalezienie kamienia filozoficznego, by wywołać pożądany deszcz, ustąpienie cierpienia czy wytworzyć złoto. Wiedza, jak już wspomniałem, winna pomagać jednostkom i społeczeństwu w rozumnym działaniu, zaspokajaniu potrzeb indywidualnych i zbiorowych, być przewodnikiem na drodze życia, objaśniającym jej zakręty i odcinki wyboiste lub trudne do przebycia.

3. CO Z TEGO WYNIKA?

Do niniejszych rozważań skłoniła mnie lektura artykułów Edmunda Lewandowskiego opartych na badaniach łódzkich uczniów i studentów. Zapewne wszyscy oni posiadają pozytywne szkolne cenzury, za sobą pomyślnie zdane egzaminy i można by sądzić, że są ludźmi oświeconymi, którzy wiedzą i racjonalizmem myślenia wykazują się nie tylko na lekcjach czy akademickich ćwiczeniach i seminariach. Tymczasem oni, kształceni na przykładach Antenorów i Judymów, w większości wybierają przede wszystkim prywatność, zamknięcie się w kręgu spraw udanego życia rodzinnego. Gdzież podziały się „przerabiane" w szkole wezwania, że *„w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele"* i konstatacja *„szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie"*? Bohaterowie literaccy z różnych epok swą prywatność poświęcali dla spraw ogólnych, za to czekały ich nagrody nie tylko w postaci uznania rodaków, ale jeszcze i uczuć pięknych kobiet, które swój podziw i uwielbienie zachowały dla tych, co pro publico bono z mądrą myślą w radzie i z szablą w polu stawali.

Z tekstów Edmunda Lewandowskiego wynika, że dla wielu jego respondentów *„niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna"*, byle miłe ciepełko panowało w moim domu. Tylko nieliczni studenci wyrażali gotowość wpływania, poprzez uczestnictwo w sprawowaniu władzy, na bieg spraw publicznych. Czy reszta chce być tylko rządzonymi? Jednocześnie ponad połowa młodych robotników, studentów i uczniów uważa, że Polacy są narodem potrzebującym rządów silnej ręki.

„Jedna trzecia uczniów i studentów nie interesuje się sprawami politycznymi, a dalsze 40 proc. deklaruje umiarkowane zainteresowanie" - pisze E. Lewandowski. Z badań wiem, że są wśród młodych ludzie dopuszczający możliwość zabiegów o zmianę granic Polski ustalonych w Jałcie i Poczdamie. A przecież nieomal wszyscy młodzi wypowiadają się przeciwko wojnie i czyżby nie rozumieli, że takie zabiegi mogą być możliwe tylko w warunkach wojny światowej. Czy z lekcji historii nie zapamiętali, co przynosiły nam wojny toczone o zmianę granic, co może oznaczać osamotnienie polityczne lub uwikłanie się w walkę na dwóch frontach? Można nie znać poszczególnych wydarzeń, można nie lubić socjalizmu, ale brak zrozumienia faktu rewolucji, jaka w latach czterdziestych dokonała się w Polsce, da się porównać jedynie z poglądami angielskiego towarzystwa, którego członkowie są przekonani, że Ziemia jest płaska i nieruchoma.

Co trzeci uczestnik badań socjologicznych uznał, że w II Rzeczypospolitej raczej panowała większa sprawiedliwość niż w Polsce Ludowej i również co trzeci nie miał na ten temat zdania. Jaka wiedza podyktowała tego typu odpowiedzi? Można mieć swoje polityczne i ideologiczne sympatie i antypatie ale fakty są faktami, wnioski z lektury choćby roczników statystycznych, tych przedwojennych, są jednoznaczne i okazuje się, że tylko 37 proc. respondentów do wiedzy przekazanej im w szkołach potrafiła się odwołać. Pozostali zawędrowali na manowce urojeń i chciejstwa.

Wreszcie najbardziej smakowita była odpowiedź na pytanie — czy wierzysz w to, że zdarzają się cuda, czyli zjawiska nadprzyrodzone? Oto 2/3 uczestników i ponad połowa studentów stwierdziła, że owszem wierzą w cuda, w tym co trzeci uczeń i student wiarę taką ma zdecydowaną. Niepewnych co do występowania cudownych wydarzeń jest też niemało, bo aż 14 proc. Zapewne należy to wiązać z deklaracjami wiary i przynależności do Kościoła ponad 2/3 respondentów. Około 60 proc. uczniów i 40 proc. studentów odpowiedziało twierdząco na pytanie, czy wierzą w to, że czasami wybranym ludziom ukazuje się Matka Boska, co jest samo przez się wydarzeniem nader cudownym.

W tej sytuacji nie może dziwić popularność wszelkiego typu horoskopów i naiwnej wiary, że w gwiazdach zapisany jest nasz los — na to, co ma być, wystarczy tylko poczekać. Można więc nie interesować się światem otaczającym, nie podejmować prób jego zmiany, skoro występują cudowne, nadprzyrodzone interwencje. Takie konstatacje jak się mają do wiedzy, choćby tej wynoszonej ze szkół, czy istnieje między wiarą w cuda a nauką sprzeczność, jak ją młodzi ludzie rozstrzygają? W tym miejscu są to pytania retoryczne, ale wydaje się, że nie można uznać, iż takie dylematy nie istnieją. Okazuje się, że podobnie jak ów uczeń z wiersza Juliana Tuwima, którego *„tumanili nauką daremną"*, tak i niejeden respondent odpowiadający na ankietę E. Lewandowskiego może wyznać: *„mam tej wiedzy zapas nieskończony"*, a jednocześnie *„i wciąż wierzę biednymi zmysłami, że ci ludzie na drugiej półkuli muszą chodzić do góry nogami"*.

4. CZY NAUKA PRZYDAJE SIĘ W ŻYCIU?

Lektura artykułów Edmunda Lewandowskiego uświadomiła mi z całą ostrością problem stosowania w życiu, tak na użytek prywatny, zdobytej w szkołach wiedzy. Jak najdalszy jestem od narzekania na młodzież, ona po prostu jest taka, jak to wynika z jej własnych odpowiedzi. Z nich zaś można wysnuć wniosek, że nauka sobie, a życie sobie.

Fizyki, chemii, biologii można wyuczyć się na piątkę, a potem deklarować wiarę w cuda, maturę znakomicie napisać o wartości czynnej postawy obywatelskiej w twórczości pisarzy Odrodzenia i Oświecenia (temat nieśmiertelny, jest zawsze, na każdej maturze) i wybierać ucieczkę w prywatność, znać reguły polityki cenę wojny i oczekiwać, że będziemy dążyć do przesuwania granic we współczesnej Europie.

Zawsze zastanawiam się, gdy ze studentami rozważam problemy antropogenezy, prawa rozwoju społecznego, zagadnienia bytu i świadomości, procesy społeczne, czy traktują oni to wszystko jako dopust boski, który trzeba zakończyć egzaminem, czy też zdobyte wiadomości wykorzystują do użytku osobistego, dla rozjaśnienia sobie obrazu świata i znalezienia własnego sposobu na życie.

Selektywność stosowania posiadanych wiadomości jaka ujawnia się w badaniach socjologicznych występuje nie tylko w odniesieniu do wiedzy szkolnej. Oto 2/3 ankietowanych uczniów w badaniach E. Lewandowskiego wypowiedziało opinię, że są członkami Kościoła rzymskokatolickiego, a tylko 1/5 stwierdziła *„wierzę we wszystko, co podaje Kościół"*. A zatem zastosowanie praktyczne pobieranych nauk powinno być nie tylko zmartwieniem nauczyciela materialisty, ale pewnie również i niejednego duszpasterza.

Może źródeł niedostatków naszej moralności, poziomu życia, postaw i poglądów, jakości wytwarzanych produktów należy szukać w owym brzemiennym w skutki rozdzieleniu: nauka i wiedza sobie, a życie sobie. Może w tym właśnie rozdzieleniu kryje się niechęć do przyswajania sobie nowych technologii, brak otwartości i podatności na zabiegi innowacyjne i modernizacyjne. Może w braku umiejętności praktycznego zastosowania posiadanej wiedzy i chłodnej refleksji kryją się przyczyny słomianych ogni, od czasu do czasu szalejących w świadomości Polaków i potem spopielałych obszarów ich bierności i apatii.

Ankieta E. Lewandowskiego dotyczyła młodzieży, ale opinie, jakie ona zaprezentowała cechują także i dorosłe społeczeństwo. Oto byłem świadkiem, jak na zebraniu przedwyborczym obywatel w dobrze już średnim wieku zadał kandydatom na posłów pytanie: *„jak zamierzają, gdy zasiądą w Sejmie, rozwiązać zadłużenie Polski, tylko niech nie mówią, tak jak w gazetach, że trzeba pracować?"*. Toż to nic innego, jak wiara w cuda, którą sala skwitowała szmerem zdziwienia, ale i brawkami aprobaty.

Mądry król Batory podobno kiedyś rzekł do swego młodocianego poddanego, w mowie Cycerona, gdyż językiem polskim nie władał: *„ucz się chłopcze łaciny, a zrobię cię mościpanem"*. Dziś uczymy się przez lata, potem zdobytą wiedzę z szacunkiem odkładamy na bok, deklarujemy rezerwę do spraw publicznych, wierzymy w cuda i mamy pretensje do świata, że ciągle występujemy w roli hetki-pętelki, a innym zazdrościmy ich pańskiego dobrobytu i pozycji.

Aby spełnić oczekiwania

ze str. 1

Obecna ordynacja to nowa jakość. Spotkania z kandydatami na kandydatów, a następnie z kandydatami na posłów, stworzyły szerokim kręgom społecznym autentyczną możliwość wpływu na dobór swych przedstawicieli, uruchamiały mechanizm trwałej więzi przyszłych posłów z wyborcami. Było coś wzruszającego i jakże optymistycznego w tej głębokiej ufności ludzi przychodzących na zebrania przedwyborcze ze swoimi, często dotąd skrywanymi sprawami, domagających się sprawiedliwości i wskazujących na drogi ku tej sprawiedliwości prowadzące. I nawet tam, gdzie w wypowiedziach przebijał gniew i zniecierpliwienie nieudolnością czy złą wolą decydentów różnych szczebli spowodowane, to towarzyszył mu pogląd i przekonanie, że nowy Sejm postawi tamę tego rodzaju praktykom. Trwał przez cały okres wyborczych spotkań dialog między społeczeństwem a kandydatami na jego reprezentantów. Ten dialog nie tylko warto, ale trzeba podtrzymać.

Druga przyczyna wysokiej frekwencji wyborczej, to powolna, ale przecież widoczna poprawa sytuacji wewnętrznej kraju. I tej politycznej, co wyrażało się w spadku klienteli ośrodków opozycyjnych i tej ekonomicznej, jako że reforma, którą wielu naiwnych uważało za środek cudowny o natychmiastowym działaniu, zaczęła jednak przynosić powolne, ale już widoczne rezultaty.

Trzecia z przyczyn, to wyraźna, znacząca poprawa międzynarodowej pozycji naszego kraju. Ostatnie lata pokazały, że tak jak wszystko, tak i gra polityczna ma swoje granice i nawet supermocarstwo nie jest w stanie wyizolować ze światowej społeczności kraju, który nie zgodził się na dobrowolne samounicestwienie. Pokazały także te ostatnie lata, że — poza marginesem narodowym — nawet ludzie z socjalizmem nie związani nie chcieli się godzić na próby poniżania swojego państwa.

I tu przechodzimy do ostatniej i chyba najważniejszej przyczyny. Okazało się, że potrafimy myśleć kategoriami państwa, że w ważnych dla narodu chwilach umiemy być razem.

NIE WSZYSCY GŁOSOWALI

Jak wiadomo, nie wszyscy głosowali i niewątpliwie różne były tej nieobecności powody. Na pewno część uczyniła to świadomie, jako protest przeciwko systemowi, którego nie akceptuje. Inni, to ludzie kosmopolitycznych poglądów, owi „obywatele świata", dla których ojczyzna tam, gdzie pieniądz, najchętniej dolar. I trzecia część, po prostu nie umiejąca myśleć kategoriami państwa i narodu, obojętna na dziś i jutro procesów społecznego rozwoju. I wreszcie ostatnia grupa— bo i taką ewentualność trzeba dopuścić — ludzi skrzywdzonych, którzy zamknęli się w sobie i nie umieli racji społecznych postawić ponad swoimi osobistymi, ważnymi, ale przecież mniejszego formatu. A także ludzie wahający się, których nie potrafiliśmy do końca przekonać, ukazać im w pełni nasze argumenty i racje.

Poproszony przez jedną z redakcji o wypowiedź na krótko przed wyborami przypomniałem słowa Cypriana Kamila Norwida, że **„Ojczyzna to wielki, zbiorowy obowiązek"**. Także moralny, patriotyczny obowiązek uczestnictwa w akcie wyborczym. Mówiłem też, że ci którzy się nie odliczą — jedni, myśląc inaczej, drudzy nie umiejąc myśleć — ustawią się, chociażby nawet tego nie chcieli, w sytuacji nieobecnych i obojętnych na losy kraju.

ABY SPEŁNIĆ OCZEKIWANIA

Akt wyborczy mamy już za sobą i mamy także świadomość społecznej akceptacji linii porozumienia i odnowy. Teraz jednak nieodparcie rodzi się pytanie dotyczące dnia jutrzejszego, a w nim roli polskiego parlamentu.

Do zebrań przedwyborczych na chwilę wracając podkreślić raz jeszcze trzeba ową wiarę głęboką i powszechną w nowy Sejm, że to co przeszkadza, usunie, że działać będzie na rzecz równości i sprawiedliwości.

Zdarzały się w tych wystąpieniach i naiwność i bezkrytycyzm, bo wiadomo przecież, że sam fakt wyboru nawet najlepszych posłów nic natychmiast nie zmieni na lepsze, że jest to sprawa długotrwałego procesu przez ten Sejm sterowanego. Ale ta atmosfera nadziei i oczekiwania zobowiązuje i niewątpliwie obywatele posłowie mają tego pełną świadomość.

Skończyła się długa i trudna kadencja poprzedniego Sejmu. Sejmu, który rzeczywiście sprawował władzę ustawodawczą stanowiąc społecznie niezbędne najwyższe normy prawne. Ale stanowienie praw, to przecież tylko część tego, co nazywamy władzą ustawodawczą. Druga jej część to własna inicjatywa ustawodawcza, na którą poprzedniemu Sejmowi zabrakło chyba trochę czasu.

Sejm miniony stanął wobec ogromnego zadania porządkowania Rzeczypospolitej. Sejm obecny — taka jest wiara powszechna — tak skutecznie uruchomi swe kontrolne funkcje, że uniemożliwią one deformacje w sferze życia społecznego, politycznego czy gospodarczego.

Kiedy więc rozpocznie się pierwsza sesja nowo wybranego Sejmu niechaj składającym ślubowanie obywatelom posłom towarzyszy świadomość społecznego poparcia i społecznych nadziei.

ZENON JANUSZ MICHALSKI

Postępy reformy nad Dunajem

WITOLD KASPERKIEWICZ

Swego czasu Nikita S. Chruszczow z uznaniem i nieco żartobliwie wypowiedział się na temat przemian dokonujących się w gospodarce węgierskiej na początku lat sześćdziesiątych. Stwierdził on, że tzw. „socjalizm gulaszowy" zasługuje na uznanie i wart jest naśladowania w innych krajach wspólnoty socjalistycznej. Od tego czasu gospodarka węgierska dokonała wielu postępowych zmian w systemie funkcjonowania ekonomiki narodowej. Realizowana od 1968 r. ambitna i co najważniejsze owocna reforma gospodarcza umocniła przekonanie o gospodarce węgierskiej, jako reprezentatywnej witrynie sklepowej krajów socjalistycznych.

Państwa socjalistyczne pilnie obserwują przeobrażenia zachodzące w gospodarce węgierskiej. Wprawdzie możliwości powielania nowatorskich rozwiązań węgierskich w innych gospodarkach socjalistycznych, są zróżnicowane, niemniej coraz żywsza jest w krajach socjalistycznych świadomość, że model węgierski sprzyja przejściu od ekstensywnego do intensywnego typu rozwoju gospodarczego. Gospodarka typu ekstensywnego, jak wykazuje doświadczenie wyczerpała już swoje siły rozwojowe; nie można obecnie spodziewać się dużego przyrostu produkcji paliw, energii, wzrostu zatrudnienia i dalszej ekstensywnej rozbudowy przemysłu. W tych okolicznościach decydującymi czynnikami rozwoju gospodarczego stają się: wydajność pracy, oszczędne gospodarowanie energią i surowcami, skłonność do innowacji, postęp organizacyjny etc. Uruchomienie owych czynników wymaga zmian w systemie funkcjonowania gospodarki socjalistycznej polegających na odejściu od tradycyjnych nakazowych metod zarządzania na rzecz metod opartych na parametrach ekonomicznych i aktywnej roli rynku w mechanizmie gospodarczym. Reforma systemu funkcjonowania gospodarki ma oprócz wymiaru ekonomicznego równie istotny wymiar społeczny. Odbiurokratyzowanie systemu sterowania gospodarką pozwala uruchomić bogate pokłady inwencji i energii drzemiące w przedsiębiorstwach i kolektywach pracowniczych, a tym samym sprzyja demokratyzacji życia społeczno-gospodarczego. W rozwiązaniach węgierskich również i ten aspekt reformy znalazł należne mu miejsce, zwłaszcza w projekcie zmian systemowych realizowanych począwszy od 1985 roku.

ETAP BŁĘDÓW 1972—1978

Doświadczenie węgierskie potwierdza słuszność przekonania, że reformowanie gospodarki jest procesem skomplikowanym i pełnym sprzeczności. W kilka lat po wprowadzeniu reformy na Węgrzech jej postęp został zahamowany, w wielu dziedzinach nastąpiło odejście od jej zasad i powrót do tradycyjnych biurokratycznych form ingerencji państwa w działalność przedsiębiorstw. System organizacyjny gospodarki nie rozwinął się prawie wcale, co wyrażało się w zachowaniu monopolistycznych struktur w gospodarce opartych na silnej pozycji resortów przemysłowych. Monopolizacji gospodarki towarzyszyło w tym okresie ujemne saldo bilansu handlowego, co powodowało, że możliwości zwiększenia importu były skromne. W rezultacie działania tych dwu czynników: monopolizacji i deficytu handlowego nie zaistniały w gospodarce węgierskiej warunki do pojawienia się konkurencji, z którą wiązano duże nadzieje na pobudzenie ducha przedsiębiorczości w skostniałej gospodarce.

Jakie było tło błędów popełnionych w procesie reformowania gospodarki węgierskiej w okresie 1972—1978 określanym przez ekonomistów węgierskich okresem recentralizacji?

Twórcy reformy węgierskiej sądzą, że kardynalnym błędem umożliwiającym recentralizację była obawa sterników gospodarki, że projektowane zmiany spowodują negatywne skutki społeczne. Władza gospodarcza bała się, że samodzielne przedsiębiorstwa nie będą pracowały według wskaźników planu centralnego, a ich dążenie do osiągnięcia zysku doprowadzi w efekcie do bezrobocia. Dlatego też już na początku funkcjonowania założeń reformy ograniczono samodzielność przedsiębiorstw, zwłaszcza w dziedzinie polityki płac.

Drugi istotny błąd polegał na zbyt późnym uświadomieniu sobie przez decydentów faktu, że wzrost cen głównych surowców jest tendencją nieodwracalną. Próby hamowania zwyżkowego ruchu tych cen mimo ich faktycznego wzrostu na rynkach światowych prowadziły do zniekształceń w rachunku ekonomicznym i oddalały ceny krajowe od cen światowych. Należy pamiętać, że gospodarka węgierska jest poważnym importerem wielu podstawowych surowców i dlatego próba odizolowania jej od zmian cen na rynkach światowych jest zabiegiem sztucznym, który utrwala administracyjne metody kształtowania cen.

Trzeci błąd przywodzi na myśl genezę polskiego kryzysu. Błędem tym było forsowanie przez gospodarkę węgierską polityki zaciągania kredytów, z których finansowano imprezy inwestycyjne dla nieefektywnych gałęzi przemysłu. Zadłużenie gospodarki węgierskiej sięgające ok. 8 mld dol. spowodowało ograniczenie rozwoju gospodarczego i stało się argumentem uzasadniającym konieczność wzmocnienia ingerencji administracyjnej w działalność przedsiębiorstw, szczególnie w odniesieniu do eksportu.

Kolejny błąd związany był z instytucjonalnym aspektem reformy systemu gospodarczego. Otóż, w latach 1972—1978 pozostawiono właściwie w stanie nienaruszonym konstrukcję instytucjonalną gospodarki z ministerstwami gałęziowymi jako ostoją dyrektywnego systemu. Utrzymano też zbyt dużo wielkich przedsiębiorstw, które zachowały monopolistyczne pozycje w sferach swego działania. Przedsiębiorstwa te starały się przystosować do wytycznych instancji nadrzędnych, zamiast do wymagań rynku. Trudno w tym miejscu powstrzymać się od uwagi, że węgierskie kłopoty z reformą centralnych instytucji w latach 70-tych są analogiczne do obecnych polskich kłopotów z przebudową centrum gospodarczego.

Wreszcie błędem było to, że w obowiązującym w latach 70-tych systemie finansowym przedsiębiorstwa przynoszące straty egzystowały kosztem przedsiębiorstw dobrze pracujących, które zasilały ze swoich zysków budżet państwa. Tworząc zasady reformy przeoczono — jak twierdzą węgierscy ekonomiści — bardzo istotny fakt, a mianowicie istnienie przedsiębiorstw, których produkcja jest niepotrzebna społeczeństwu. Wskutek tego nie wypracowano w omawianym okresie form instytucjonalnej likwidacji nierentownych przedsiębiorstw.

SAMODZIELNOŚĆ, SAMORZĄDNOŚĆ I RYNEK

Po kilkuletnim okresie panowania recentralizacji władza węgierska wzięła zdecydowany kurs na reformę gospodarczą. Podjęto śmiałe decyzje polegające na ograniczeniu liczby ministerstw przemysłowych do jednego, a także rozbito wiele zjednoczeń przedsiębiorstw (trustów), które miały wyraźny charakter monopolistyczny. Przykładami takich trustów były dwa gigantyczne ogólnokrajowe przedsiębiorstwa zajmujące się naprawą samochodów ciężarowych i sprzętu elektrycznego. Przedsiębiorstwa owe rozwiązano i utworzono z nich 150 samodzielnych firm. Działania tego rodzaju, jak również dążenie do likwidowania deficytowych przedsiębiorstw, stanowią jedną z metod wspierania socjalistycznej przedsiębiorczości.

Ważnym momentem w procesie reformowania gospodarki węgierskiej było plenum KC WSPR w kwietniu 1984 roku, na którym zaakceptowano daleko idące zmiany w systemie zarządzania (tzw. „reforma w reformie"). Zmiany te wprowadzane będą w trzech etapach w okresie 1985—1988 roku. Głównym celem przyświecającym modyfikacjom systemowym jest zwiększenie roli mechanizmu rynkowego w gospodarce węgierskiej, co oznacza zaostrzenie zasad gry ekonomicznej.

Zapoczątkowane w 1985 roku śmiałe zmiany w systemie zarządzania można podzielić na dwie grupy: pierwsza zawiera rozwiązania dotyczące samodzielności i samorządności przedsiębiorstw; druga zaś systemu finansowego.

Przestawienie systemu zarządzania na tory większej samodzielności przedsiębiorstw polega na: primo — uniezależnieniu licznej ich grupy od ingerencji ministerialnych; secundo — wprowadzeniu do przedsiębiorstw pierwiastka samorządności dotychczas nieobecnego w przedsiębiorstwach węgierskich i tertio — zmianie pozycji dyrektora.

W rezultacie wprowadzanych innowacji systemowych kierownictwo 80 proc. przedsiębiorstw zostanie przekazane radom przedsiębiorstw lub walnemu zgromadzeniu pracowników, ewentualnie ich przedstawicieli, natomiast pod kontrolą państwa pozostanie ok. 13 proc. przedsiębiorstw. Kwestia pozostałych 7 proc zostanie rozstrzygnięta w terminie późniejszym. Filie przedsiębiorstw państwowych mają prawo — zgodnie z decyzją pracowników — odłączenia się od macierzystej jednostki i utworzenia samodzielnej organizacji gospodarczej.

W wielkich i średnich przedsiębiorstwach funkcjonować będą rady, których połowę członków wybiera się spośród załogi, a pozostałą połowę miejsc w jednej trzeciej zajmują dyrektor i pracownicy mianowani przez niego, w dwóch trzecich kierownicy komórek organizacyjnych przedsiębiorstwa. Do kompetencji rad należy wybór dyrektorów oraz podejmowanie decyzji odnoszących się do spraw strategicznych z punktu widzenia przedsiębiorstwa, a więc planu produkcji, polityki handlowej, inwestycji etc. W omawianej grupie przedsiębiorstw wybór dyrektora dokonany przez radę będzie musiał być zaakceptowany przez ministerstwo. Dyrektorzy będą wybierani na ogół na okres pięciu lat.

W niewielkich przedsiębiorstwach, w których liczba zatrudnionych nie przekracza 500 osób funkcje współzarządzania będą sprawować walne zgromadzenia załóg lub ich delegatów. Przedsiębiorstwa te będą wybierały swych dyrektorów bezpośrednio, tzn. nie będzie wymagana aprobata ministerstwa. We wrześniu 1984 roku w ten sposób wybrano po raz pierwszy dyrektora jednej z fabryk w Gyoer.

Zwolennicy orientacji samorządowej w reformie węgierskiej oczekują, że dzięki udziałowi pracowników w radach przedsiębiorstw i walnych zgromadzeniach załóg nastąpi umocnienie i rozwój demokracji wewnątrzzakładowej, a jednocześnie zostanie utrzymany zakres pełnomocnictw i odpowiedzialności dyrektora za podejmowanie decyzji operatywnych. W przyszłości kierownicy przedsiębiorstw będą musieli bardziej zdecydowanie niż dotychczas reprezentować interesy przedsiębiorstwa i załogi, gdyż przedłużenie terminu ich urzędowania będzie zależeć od decyzji załogi.

Należy podkreślić, iż rozwiązanie samorządowe nie obejmuje całego obszaru gospodarki. Pod kontrolą państwową pozostaną nadal przedsiębiorstwa przemysłu wydobywczego, energetyka, a także — zgodnie z decyzją rządu — te przedsiębiorstwa, z których działalnością związane są strategiczne interesy państwa. Tak np. kompetentne ministerstwa nadal będą mianowały dyrektorów jednego z przedsiębiorstw hutniczych, 17 przedsiębiorstw przemysłu maszynowego i 4 — przemysłu chemicznego. Poza tym ministerstwom przysługuje prawo ingerowania w plany inwestycyjne tych przedsiębiorstw.

Istotnym elementem zmian systemowych są nowe regulacje finansowe, które stawiają w korzystniejszej sytuacji przedsiębiorstwa dochodowe, natomiast w gorszej — mało efektywne. W przeszłości przedsiębiorstwa „kulejące" były wspomagane kosztem przedsiębiorstw pracujących wydajnie, podczas gdy sztywne przepisy płacowe zmuszały dyrektorów efektywnych firm do posługiwania się różnymi fortelami, aby lepiej płacić za lepszą pracę. Obecnie efektywne przedsiębiorstwa mogą przyznawać wyższe wynagrodzenia i są zachęcane do pozbywania się nadwyżek siły roboczej, a deficytowe przestaną stopniowo korzystać z dotacji państwowych. Minister finansów ocenia, że ok. 10 proc. subsydiowanych przedsiębiorstw zostanie zmuszonych do poprawy efektów swej działalności, a jeśli to nie pomoże, przedsiębiorstwom tym grozi upadłość.

Nie wdając się w szczegółowy opis zmian w systemie finansowym należy zwrócić uwagę na kilka nowych rozwiązań w tej materii. Po pierwsze: wprowadza się w przedsiębiorstwach podatek majątkowy, podatek od akumulacji (wydatki na środki trwałe oraz przyrost zapasów) oraz podatek od funduszu płac. Po drugie: zmniejsza się opodatkowanie zysku oraz znosi się potrącenia z funduszu rozwoju; po spłaceniu podatków przedsiębiorstwo może swobodnie dysponować swoimi środkami finansowymi. Po trzecie: znosi się również potrącenia z funduszu amortyzacji; dotychczas z tego funduszu potrącano przedsiębiorstwom 40 proc. rocznie do budżetu państwa.

Ważnym elementem „reformy w reformie" jest również unowocześnienie systemu bankowego. Istota tego zabiegu polega na oddzieleniu w Węgierskim Banku Narodowym funkcji emisyjnej od funkcji kredytowej. Krótko mówiąc chodzi o zminimalizowanie bankowych funkcji kasjera rozdającego hojnie pieniądze, na rzecz wzmocnienia funkcji handlowca udzielającego kredytu na warunkach komercyjnych. Przewiduje się także rozbicie monopolu bankowego, który wynikał z faktu, że powołanie nowego banku leżało dotychczas w gestii Rady Ministrów. W ten sposób powstało już zresztą 20 małych banków, które przyznają przedsiębiorstwom kredyty inwestycyjne. Według nowych ustaleń na założenie banku wystarczać ma już zgoda ministra finansów. Istotnym novum jest także możliwość udzielania w określonym zakresie kredytów przez przedsiębiorstwa.

Czy „reforma w reformie" przyniesie spodziewane rezultaty w postaci podniesienia efektywności gospodarowania i dalszego zrównoważonego rozwoju gospodarki węgierskiej? Ekonomiści węgierscy, notabene opowiadający się za bardziej radykalnymi modyfikacjami, niż to proponuje „reforma w reformie", twierdzą, że zmiany w systemie zarządzania zaowocują, jeśli centralna administracja gospodarcza przestanie otaczać swym paternalizmem nierentowne przedsiębiorstwa, a skoncentruje się na popieraniu przedsiębiorczości i wszelkich efektywnych inicjatyw. Warto, by to przekonanie ekonomistów węgierskich stało się wytyczną dla polskich ekonomistów — decydentów odpowiedzialnych za losy naszej reformy.

Pustostan

RYSZARD BINKOWSKI

Czwartego października o godzinie dziesiątej trzydzieści w kurniku SKR w Nowosolnej rozpoczęło się szczepienie 36 tysięcy kur niosek. Producentkom jaj konsumpcyjnych podawano szczepionkę typu „Iboral" przeciwko zakaźnemu zapaleniu oskrzeli. O kury należy dbać. Kiedyś grasował w kurniku szczur, podgryzał nicski i prawie sześćset sztuk padło. Wreszcie wypatrzono melinę rozbójnika, zacementowano dziurę, przez którą właził, i był jeszcze jeden trup, ale kury miały już święty spokój.

O kury należy dbać, ponieważ przynoszą tyle milionów zysku, że w SKR opłaca się nawet hodować dwieście loch i około trzystu prosiąt, do których trzeba czasem dokładać.

A w ogóle to lekarz weterynarii ma w gminie Nowosolna sporo roboty. Według ostatniego spisu rolnego, którego dane udostępniono mi w Urzędzie Gminy, jest tutaj 18 sołectw i 1126 gospodarstw indywidualnych, w których hoduje się 2491 sztuk bydła, 4580 sztuk trzody chlewnej, 1088 owiec, tylko 387 koni, bo są traktory, i około 20 tysięcy sztuk drobiu, w tym jeden prywatny kurnik z 7 tysiącami niosek znoszących jaja reprodukcyjne.

Poza tym w PRP Byszewy jest jeszcze 400 buhajów i 80 krów mlecznych. W tychże Byszewach rolnicy założyli spółkę i robią stawy hodowlane. Roboty dla lekarzy przybędzie, bo zaszczepienie detreomycyną kilkunastu tysięcy sztuk młodego karpia to nie fraszka.

Potrzeby gminy w zakresie pomocy weterynaryjnej dostrzegł dość wcześnie Wojewódzki Zakład Weterynaryjny w Łodzi. Po podziale administracyjnym kraju teren Nowosolnej obsługiwany był przez lecznicę w Andrzejowie. Od 6,00 do 18,00 masa zgłoszeń, bo to przecież teren dwóch byłych gromadzkich rad narodowych. Były dwa wyjścia — albo przydział samochodu służbowego, albo przeniesienie lecznicy do Nowosolnej. Kierownik lecznicy, Albin Guderski, znalazł u rolnika dwie izby. Ciasno, można tylko przyjmować zgłoszenia, o zabiegach nie było mowy. A pracy tak dużo, że WZW zezwolił na zatrudnienie trzech lekarzy, technika weterynarii i sekretarki.

Ale na tym nie koniec. Nocą teren Nowosolnej obsługiwała Stacja Pogotowia Weterynaryjnego w Strykowie lub w Brzezinach (inne województwo). W związku z tym WZW w Łodzi wyraził zgodę na utworzenie Pogotowia Weterynaryjnego w Nowosolnej czynnego całą dobę. Znalazły się też fundusze na budowę lecznicy dla zwierząt, którą wzniesiono w szybkościowym tempie — w dwa lata. Rolnicy byli zadowoleni, bo głupi sklepik też się czasem buduje dwa lata, a budowa takiej ubojni królików w Natolinie ciągnie się od piętnastu lat.

Dziewiętnastego lipca 1985 roku odbyło się uroczyste otwarcie lecznicy z udziałem władz wojewódzkich, między innymi w obecności prezydenta Józefa Niewiadomskiego i wiceprezydenta Lecha Krowirandy. No i teraz przy ul. Strykowskiej nr 3 stoi pod ścianą lasu biały, gładko otynkowany piętrowy budynek, w którym mieszczą się: sala zabiegowo-operacyjna, dwa pokoje dla lekarzy, pokój kierownika, apteka, pomieszczenie socjalne, pokój sekretarki i poczekalnia. Na górze są dwa mieszkania z wygodami — dwu i trzypokojowe. Cały teren pięknie ogrodzony, dwie działki rekreacyjne, betonowe podjazdy, barierka do wiązania zwierząt, trawniki, a z tyłu dwa garaże, magazyn na środki dezynfekcyjne i na pasze oraz pomieszczenie do leczenia stacjonarnego, czyli po prostu szpital.

Technik weterynarii, Czesław Ulaniak, który tłucze się po gminie zdezelowaną syrenką, dostał swoje dwa pokoje z kuchnią dopiero we wrześniu. Trzy pokoje z kuchnią dotychczas są wolne. Ludzie różnie to komentują, oglądając z ulicy ten pustostan, ciemne okna bez firanek rzucają się w oczy. Czemu nie zamieszkał tam kierownik przychodni, Albin Guderski? Ano z tego powodu, że Urząd Gminy pragnąc związać swoich pracowników z terenem, co jest posunięciem słusznym, przydzielił Albinowi Guderskiemu działkę i on ma już dom w stanie surowym, pod dachem. Zresztą Czesław Ulaniak też dostał działkę i postawił już fundamenty.

Ale żeby było weselej, za szklanymi drzwiami stoi tablica z numerami telefonów, pod które mają dzwonić w nocy rolnicy z Nowosolnej, gdyby im zdychała krowa albo coś takiego. Rolnicy mają szukać pomocy w Strykowie, gdzie cholernie ciężko jest się dodzwonić, w Brzezinach (obce województwo), albo w Rzgowie. Do Rzgowa, najdogodniejszą trasą przez Andrespol, jest około... 40 kilometrów.

Jak doszło do tej paradoksalnej sytuacji? Ano, że sam sobie zawinił lekarz Albin Guderski. Za bardzo się człowiek zaangażował w sprawy gminy, chcieli go nawet zrobić pierwszym sekretarzem partii i naczelnikiem. Aktualnie jest radnym, członkiem partii, przewodniczącym komisji ładu i porządku publicznego. Na dodatek ma łagodne niebieskie oczy i dobrotliwą twarz wiejskiego proboszcza.

Albin Guderski pochodzi z wielodzietnej rodziny chłopskiej spod Zelowa. W 1962 roku ukończył wydział weterynarii w Wyższej Szkole Rolniczej we Wrocławiu i przeszedł dwudziestotrzyletni etap pracy w tak zwanym terenie. Często w zaspach śniegu, na bezdrożach, chłopską furmanką lub pieszo. Nigdy nie dostał samochodu z przydziału. Ostatnio, przed podziałem administracyjnym, był zastępcą lekarza powiatowego w powiecie łódzkim.

W 1982 roku jadąc od wypadku (chore zwierzę) uległ ciężkiemu wypadkowi spowodowanemu przez człowieka. Po prostu najechał na niego pijany kierowca, powodując tragiczne w skutkach zderzenie czołowe. W biały dzień, przy słonecznej pogodzie. U Guderskiego poszła, jak się to mówi, przepona, poza tym dziewięć złamanych kości i uszkodzone płuca. Przez pięć miesięcy leżał w różnych szpitalach, był między innymi pod opieką profesora Mola, no i wylizał się jakoś z tego wszystkiego.

Po sześciu miesiącach leczenia podjął pracę. W tym czasie jeden lekarz z przychodni dla zwierząt w Nowosolnej poszedł na rentę, drugi zaś poszedł leczyć pieski w lecznicy na Kopernika w Łodzi. Jednocześnie wskutek restrykcji paszowych nastąpił spadek w hodowli drobiu, zmniejszyło się także pogłowie trzody w SKR, a co za tym idzie — zmalała ilość zgłoszeń na usługi weterynaryjne. Po analizie pracy w Stacji Pogotowia Weterynaryjnego ograniczono dyżury do godziny 21,00.

Później nastąpił znaczny wzrost hodowli, lecz mimo to w styczniu 1985 r. dyżury zlikwidowano całkowicie jako nierentowne, polecając usługi weterynaryjne w Strykowie, Brzezinach i Rzgowie, co wywołało niezadowolenie rolników. Radni krzyczą na ten temat na każdej sesji rady narodowej. A teraz do KG partii w Nowosolnej przychodzą pielgrzymki, z czego partia powinna się cieszyć, ale się nie cieszy. Naczelnik też się nie cieszy. Bo do Nowosolnej przyszedł nowy ksiądz, który buduje w szybkim tempie piękny, nowoczesny kościół obok starego kościółka. W kościele jest pełna obsada duszpasterska, robota na budowie też obsadzona. I teraz ludzie pytają, czy władzy nie wstyd, że za kościołem równie szybko zbudowano lecznicę, ale nie zadbano o etaty lekarskie i piękne trzypokojowe mieszkanie stoi puste, a w pobliskiej Łodzi ludzie czekają na swoje „M" po piętnaście lat.

Wróćmy jednak do kierownika przychodni dla zwierząt, Albina Guderskiego. Po wypadku otrzymał on rentę III grupy. Miał pewne perypetie z ZUS, był badany przez ekspertów i otrzymał nawet odszkodowanie, ponieważ uległ wypadkowi przy pracy. Najistotniejsze jest to, że ani sąd ani komisje lekarskie nie wskazały, że Guderski jest inwalidą, który nie może pracować na pełnym etacie. Zezwolono mu pracować i pracuje. Ale że od ponad dwóch lat brakuje dwóch lekarzy, Gu-

derskiemu także zabrakło sił i przestał pełnić dyżury, chociaż dotąd dyżurował przez 100 godzin miesięcznie. Nie jest też w stanie przeprowadzać badań mleka. Ale mimo wielu uciążliwości nie było upadków zwierząt z winy służby weterynaryjnej.

Na stole w pokoju kierownika przychodni stoi małe akwarium, w którym pływa pięć srebrnych rybek. Bez roślinek, ozdóbek, pompki do dotleniania wody, a czują się świetnie. Bo to są zwykłe bączki wyciągnięte z glinianki. Albin Guderski, który ma czterdzieści osiem lat i zdążył się w życiu nieźle zahartować, nie czuje się tak dobrze, jak te rybki w przychodni. No cóż, Wojewódzki Zakład Weterynarii wolałby mieć na etacie człowieka pewnego, bez urazów powypadkowych. Bo taki Guderski spowoduje, nie daj Boże, wypadek podczas pracy i trzeba będzie za to płacić. Byłoby najlepiej, gdyby Guderski wziął się za jakieś spokojne, bezpieczne zajęcie.

— *Proszę, wszystko się pięknie wygoiło* — mówi Guderski, pokazując miejsca po urazach. — *Nadal jeżdżę autem, w głowie też mam dobrze poukładane. Ale moje schorzenia wymagają ruchu, słońca, powietrza, a nie murów i wody. Nie mogę pracować w biurze WZW. W ogóle nie widzę siebie za biurkiem.*

Ani Urząd Gminy, ani KG partii, ani rolnicy nie mają zarzutów przeciwko Albinowi Guderskiemu. On zaś ma pod opieką dziesięć gospodarstw specjalistycznych. Reporter pojechał do Tadeusza Firgana, który za swoją chlewnię otrzymał „Złotą Wiechę", a ostatnio został mistrzem gospodarności woj. miejskiego łódzkiego jako chodowca trzody chlewnej. Obiekt całkowicie zmechanizowany, łącznie z podawaniem paszy i usuwaniem nieczystości. W ubiegłym roku Firgan sprzedał państwu 12 ton żywca z 14 ha, w tym roku już 18 ton, a więc ponad tonę z hektara. Pewnie zabrzmi to głupio, infantylnie, ale na widok białego fartucha lekarskiego świnie podniosły się z wesołym pochrząkiwaniem. Jadąc dalej w tym samym tonie można dodać bez obrazy dla nikogo, że Albin Guderski traktuje ludzi na równi ze zwierzętami: po ludzku, życzliwie, z troską.

— *Panie* — powiedziała babcia Firganowa — *świnie to go znają na wylot! On tu jest u nich pięć razy w tygodniu!*

Ano, stała opieka, szczepienia, odrobaczanie — to procentuje. To również dzięki lekarzowi weterynarii Firgan mógł wyprodukować ponad tonę żywca z hektara.

A mimo to w Nowosolnej pozostaje problem do rozwiązania. Nie było nowej lecznicy, byli lekarze. Jest lecznica, nie ma lekarzy i stoi puste mieszkanie. Pomijając niewielkie dodatki, Albin Guderski po 23 latach pracy, i to na kierowniczym stanowisku, ma zasadnicze uposażenie w wysokości 10 tysięcy złotych plus... 144 złote dodatku za ciężkie warunki pracy. Nie wydaje się jednak, aby to właśnie zrażało młodych lekarzy. Brakuje ich w zapadłych wsiach, bo tam nie ma często mieszkań. Lekarze wolą siedzieć w mieście i zajmować się papierkami. W Nowosolnej jest piękne mieszkanie. Poza tym Nowosolna nie jest zadupiem, z Łodzi autobus MPK dojeżdża tam w ciągu 20 minut.

Budowa lecznicy trwała dwa lata, był więc czas, żeby pomyśleć o etatach dla lekarzy. Tym bardziej że gmina Nowosolna rokuje nadzieje na dalszy wzrost hodowli. Reporter zna osobiście człowieka, któremu szczególnie leży na sercu unowocześnianie i rozwój rolnictwa w woj. miejskim łódzkim. Tym człowiekiem jest inżynier Lech Krowiranda, wiceprezydent miasta Łodzi. Reporter wierzy, że Lech Krowiranda rozwiąże problem w Nowosolnej.

I jeszcze jedno. W izbie szpitalnej przychodni dla zwierząt w Nowosolnej leży na stoliku lekko zagięty kilkucalowy gwóźdź. Tkwił w żołądku krowy. Wczoraj, trzeciego października, Guderski dokonał pierwszej operacji na ciało obce typu rumenotomia. Pacjentka, długoroga czarna krowa, czuje się dobrze. Klepnięta w zad wstała, cmoknęła, jakby z podziękowaniem i zabrała się do jedzenia. Zwierzęta też nie mają nic przeciwko Albinowi Guderskiemu.

WŁADYSŁAW MALKA

Rzemieślnik, prawo i życie

W piwnicy bloku mieszkalnego, w sąsiedztwie domowych lamusów i miejsc, gdzie gromadzi się marynaty na zimę, wyprodukowano cardiac output camputer — komputer rzutu minutowego serca. Podobne wytwarza na Zachodzie 13 firm, z tego najlepsze pochodzą z „Edwards Labolatory" i kosztują 10 tys. dolarów. Komputer wykonany w Zakładzie Wytwarzania Urządzeń Elektronicznych i Elektrotechnicznych Henryka Tkaczyka i powielony w pięćdziesięciu egzemplarzach sprzedawany jest klinikom na terenie kraju za 340 tys. zł.

To już zresztą druga generacja tych wielce przydatnych dla kardiologii urządzeń. Pierwsze kosztowały 290 tys. i wyprodukowano ich około 30. Są one stopniowo zastępowane przez nowsze. Zasadą, identyczną jak w renomowanej firmie „Beckman", zajmującej się produkcją aparatury analitycznej dla medycyny, jest dostarczenie klinice komputera nowej generacji jedynie za zwrotem urządzenia starszego i dopłatą różnicy ich cen, w tym przypadku 50 tys. zł. Bez najmniejszej przesady można powiedzieć, że jest to usługa na najwyższym poziomie.

W tych niewyobrażalnie ciasnych pomieszczeniach użyczonych przez spółdzielnię mieszkaniową zgromadzona jest dokumentacja na szereg unikalnych urządzeń paramedycznych. Niektóre są już produkowane, inne są w trakcie wdrażania, ciągle zaś rodzą się tu nowe urządzenia, których próżno by szukać na krajowym rynku.

Firma „Tomel", gnieżdżąca się w kilku takich mini-pomieszczeniach, zatrudnia w chwili obecnej 57 pracowników, w tym pięciu inżynierów elektroników. Jej właściciel, 47-letni tomaszowski rzemieślnik twierdzi, że w gruncie rzeczy jest to namiastka ośrodka badawczo-rozwojowego, jakich na świecie jest niemało. W takich niewielkich przedsiębiorstwach zatrudniających do 150 osób wymyśla się i wdraża do produkcji unikalną aparaturę wspomagającą współczesną medycynę.

Dwadzieścia lat temu Henryk Tkaczyk naprawiał radia i telewizory. Jego przygoda z elektroniką rozpoczęła się na dobre, kiedy ktoś dostarczył mu pewnego dnia skomplikowane urządzenie elektroniczne i poprosił o jego naprawę. Oddając klientowi urządzenie z usuniętym już defektem usłyszał przekorne pytanie: — *czy potrafiłby pan takie samo zrobić?* — Spróbowałbym! — odparł.

Po kilku latach udaje mu się skonstruować chronokomparator — elektroniczną sprawdzarkę do badania zegarków. Dotychczas sprowadzano je z drugiego obszaru płatniczego, płacąc po 2,5 tys. dolarów za jedną. Jego sprawdzarka, których do dziś w „Tomelu" wyprodukowano blisko 900, kosztowała wówczas około 30 tys. zł, nie była jednak konkurencyjna dla importowanych. Dekada lat siedemdziesiątych wsławiła się tak spektakularnymi zakupami, jak import tapicerskich pinezek z Austrii, nic dziwnego, że chronokomparatory made in Tkaczyk, mimo że niewiele ustępowały swoimi parametrami sprawdzarkom zachodnim, z trudem zdobywały krajowy rynek.

Zabiegi właściciela „Tomelu", by zahamować postawiony na głowie import przyniosły w końcu rezultat w postaci decyzji Komisji Planowania przy Radzie Ministrów z lipca 1978 roku, wstrzymującej zakup tych urządzeń w krajach drugiego obszaru płatniczego. Chronokomparatory produkuje „Tomel" do dziś w niewielkich ilościach, praktycznie już w roku 1980 popyt na nie w kraju wyraźnie zmalał. Rynek był już w dużym stopniu nasycony za sprawą wcześniejszego importu. Tym urządzeniom należy się chwila uwagi: chronokomparator „Tiktest" praktycznie nie ma liczącego się konkurenta na rynku RWPG. Wykonany jest w dwóch wersjach: cyfrowej i tzw. analogowej, czyli z zapisem na taśmie i odczytem na wyświetlaczu cyfrowym. Służy on do badania wszystkich rodzajów zegarków, uzyskując pomiar z dokładnością do dwóch sekund na dziesięć lat.

W STRONĘ MEDYCYNY

Tak spektakularne osiągnięcie raczkującego dopiero w dziedzinie elektroniki przedsiębiorstwa traci swój początkowy impet. Jest jednak dziedzina, na którą kieruje swoją uwagę właściciel „Tomelu". To technika medyczna, gdzie od lat trwa nieprzerwany import zarówno skomplikowanej aparatury, jak i stosunkowo prostego oprzyrządowania z tworzyw sztucznych, zwłaszcza jednorazowego użytku.

Technika medyczna w ostatnich dwóch dziesięcioleciach przeobraża się na skalę porównywalną z nielicznymi tylko dziedzinami, we wszystkich odbywa się to za sprawą elektroniki. W wyścigu o zdrowie i życie ludzkie, zajmujemy jednakże pozycję outseidera. Wysoki poziom badań, wdrażanie najnowszych rozwiązań wymaga niebagatelnych kosztów, niekiedy także zmian strukturalnych. Prace nad prototypami urządzeń trwają całymi latami. Jeszcze gorzej jest z próbą wdrożenia ich do produkcji. Nierzadko skutek jest taki, że cenne dokumentacje zostają odkładane ad acta.

W tych warunkach oferta, jaką przedstawia resortowi zdrowia Henryk Tkaczyk, może się wydawać delikatnie mówiąc, nierealna. A jest to cały pakiet urządzeń i przyrządów sprowadzanych dotychczas z Zachodu. Wiarygodność firmy szybko jednak wzrośnie, kiedy w piwnicach bloku mieszkalnego przy ul. Strzeleckiej ujrzy światło dzienne komputer rzutu minutowego serca.

W czerwcu 1984 roku w pomieszczeniach „Tomelu" gości komisja resortu zdrowia w osobach: dr inż. Danuta Kalińska (IBIB PAN), doc. dr hab. Mariusz Stopczyk (IBIB PAN i Instytut Kardiologii) oraz doc dr Tadeusz Pałko (Zespół Inżynierii Biomedycznej IBSPiE Politechniki Warszawskiej). Wizja lokalna potwierdza rzetelność zawartych w ofercie informacji. W sporządzonej opinii stwierdza się, że realne są w „Tomelu" możliwości wdrożenia do produkcji seryjnej elektrod do stymulacji serca różnych odmian, cewników do embolektomii, cewników Swan Ganza, a także innych cewników do badań hemodynamicznych. Warunkiem jest polepszenie sytuacji lokalowej firmy, przyjęcia do pracy odpowiednich specjalistów oraz uzyskanie kredytu bankowego.

Produkcja pełnego asortymentu urządzeń medycznych z tworzyw sztucznych — podkreśla się w owej opinii — potrzebnych w kardiologii i anestezjologii, pozwoliłaby zaoszczędzić nakłady dewizowe na import rzędu milionów dolarów.

Współczesna medycyna wymaga stosowania około 400 rodzajów wyrobów z tworzyw sztucznych. W Polsce w czterech zakładach uspołecznionych produkuje się tylko 80. Na ogół są to produkty najmniej skomplikowane, bardziej złożone muszą być sprowadzane z zagranicy. Rzeczywistość jest taka, że jednych i drugich brakuje. W przypadku setek tysięcy ludzi komplikuje się proces leczenia, niekiedy bywa zakończony śmiercią. O tej śmierci można powiedzieć, że następuje w obliczu niemożności. Specyfiką produkcji paramedycznej w zakresie urządzeń jednorazowego użytku jest m.in. to, że obok masowych, prostych wyrobów wymaga ona asortymentów specyficznych, niekiedy w ilościach kilkuset, a nawet kilkudziesięciu sztuk. Takie wymagania są na ogół barierami nie do pokonania dla naszych niemrawych przedsiębiorstw zainteresowanych przede wszystkim produkcją masową.

Mieści się to nawet w regułach gry, albowiem na Zachodzie jest to dziedzina, w której prym wiodą małe wyspecjalizowane firmy, działające na pograniczu laboratoriów i ośrodków wdrażania technicznego postępu. Liczny, zmienny asortyment, w małych seriach, nie byłby opłacalny dla gigantów.

MOŻLIWOŚCI LILIPUTA

To, co było niemożliwe dla firm państwowych, okazało się osiągalne dla Henryka Tkaczyka. Dziś nie tylko robi się tu komputery dla kardiologii, ale i widziane promieniami rentgena cewniki Swan Ganza oraz dreny „Tommed". Te zakończone lejkowato rurki z polichlorku winylu wytwarza się tu jako jedyna firma w RWPG a zarazem czwarta w świecie. Zautomatyzowana, elektronicznie sterowana linia produkcyjna cewników, to także wynik własnych technicznych rozwiązań.

Stalowe prowadniki, niezbędne przy każdorazowym wprowadzeniu drenów do ciała pacjenta, przygotowano tu samodzielnie z krajowych materiałów, częściowo odpadowych. Roczne zapotrzebowanie w kraju na ten skromny detal wynosi 300 tys. sztuk. Ich import wart jest 4,5 mln dolarów!

Z samymi cewnikami rzecz przedstawia się podobnie: austriacka firma „Rehau" oferuje je do sprzedaży w cenie 3—4 dolarów za metr, wyprodukowanie ich przez Henryka Tkaczyka kosztuje... 50 groszy!

Możliwości tej firmy mogą przyprawić o zawrót głowy. W maju 1984 roku Henryk Tkaczyk przedstawia resortowi zdrowia projekty prototypów trzech monometodycznych analizatorów do pomiaru mocznika, glukozy i kreatyniny. Podkreśla także konieczność podjęcia współpracy „Tomelu" z firmą „Beckman". Obydwa projekty zyskują poparcie resortu.

Produkcja tego typu aparatury jest rzeczą dużej wagi, pomiary glukozy, mocznika i kreatyniny są najczęściej wykonywanymi analizami w laboratoriach klinicznych, praktycznie wykonuje się je 24 godziny na dobę, przy tym w znacznej części są to badania pilne, „na cito". Analizatory opracowywane w „Tomelu", w odróżnieniu od stosowanych doraźnie aparatów przy badaniach screeningowych oraz przez samych pacjentów poza laboratorium jak np. oznaczanie glukozy przy pomocy dextrometru — są aparatami do pomiarów ilościowych wykonywanych na terenie laboratoriów. Ich wydolność sięga 240 pomiarów na godzinę!

Komisja do spraw Aparatury Sprzętu i Preparatów Diagnostycznych resortu zdrowia w odpowiedzi na ofertę Henryka Tkaczyka podkreśla z naciskiem szczególną potrzebę wdrożenia do produkcji tego typu urządzeń. W aktualnej fazie rozwojowej diagnostyki laboratoryjnej w kraju poczynania te są niezbędne. Komisja w rezultacie zwraca się z pismem do Departamentu Techniki Medycznej i Transportu Sanitarnego Ministerstwa Zdrowia z prośbą o wsparcie finansowe akcji projektowania i wdrażania do produkcji trzech typów analizatorów.

Kredytowanie pozostało w sferze zamiarów, jedyny zysk dla „Tomelu" był z tego taki, że raz jeszcze podkreślona została wiarygodność firmy. Analizatory będą musiały poczekać, choć tu od projektu do gotowego już egzemplarza mijają nie lata, lecz miesiące. Komputer rzutu minutowego serca wdrożony został do produkcji w ciągu czterech miesięcy. Takiego tempa nie znają giganci!

BARIERY

Tajemnica sukcesów niewielkiego rzemieślniczego zakładu, który spełnia funkcje ośrodka badawczo-rozwojowego tkwi w organizacji pracy. Młodzi inżynierowie mają tu pełne możliwości nieskrępowanej twórczej pracy. W krótkim też czasie dane jest im oglądać efekty własnej wyobraźni. Wydawałoby się więc, że jest to sielanka, tym bardziej, skoro zasadą jest konkurencyjność płac w stosunku do sektora uspołecznionego.

Jakby na przekór temu wszystkiemu, a fluktuacja jest tu ogromna. Sprzeczność? Ale tylko pozorna! Firma wymaga od swoich pracowników przede wszystkim lojalności. Najmniejsze uchybienie owej zasadzie oznacza rozstanie się z „Tomelem". Ktoś, kto zostanie przyłapany na szwindlu z kartą zegarową, która tu obowiązuje, nie ma szans na odkręcenie sprawy, choćby prosił ze łzami w oczach. Są tacy, co odchodzą dobrowolnie, nie wytrzymują stałej presji, działania na zwiększonych obrotach, po miesiącu, dwóch. Pokaźny stos wypełnionych ankiet osobowych spoczywających na jednej z półek w mierzącym nie więcej niż 10 m kw. pomieszczeniu biurowym będzie się jednak powiększał, lojalność wobec pracodawcy nie jest chlebem powszednim między Odrą a Bugiem i nie zanosi się też, by rychło tak się miało stać.

Fluktuacja, to nie jedyny kłopot „Tomelu", prywatny ośrodek badawczo-rozwojowy jest w naszym ekonomicznym krajobrazie sporym precedensem. Zafundowanie sobie zabawy w postęp techniczny nie dla wszystkich jest zrozumiałe. Hasło: „*małe jest piękne*" wywoływać może tu i ówdzie skwapliwe potakiwania, ale życie idzie swoim torem. Ta zabawa jest nade wszystko kosztowna, inwestowanie w skomplikowane techniczne wyroby wymaga finansowego wsparcia, w tym niekiedy twardą walutą. Ale z tym mają dziś problemy nawet firmy państwowe, w stosunku do nich siła przebicia zakładu rzemieślniczego jest znacznie mniejsza. Środków więc trzeba szukać u siebie i spoglądać jedynie na krajowy rynek surowcowy.

Tu także nie ma dla „Tomelu" łatwego życia. Sek w tym, że ta produkcja wymaga dziesiątków rozmaitych surowców w minimalnych niekiedy ilościach. Załatwienie 2 kilogramów proszku wolframowego wymagało przenicowania do góry nogami kilku instytucji. Co innego, gdyby chodziło o 2 tony...

Inny problem, to jakość krajowego surowca. Produkcja cewników i drenów medycznych wymaga jakości surowca o ściśle określonych parametrach. „Tomel" w niezbędne PCW zaopatruje się w zakładach INCO w Dębie Wielkim. Ta firma, to krajowy potentat w produkcji granulatów z tworzyw sztucznych. Posiadając realne możliwości na produkcję dobrych mieszanek, robi tylko jeden granulat o symbolice M-65. Jest on akurat najmniej przydatny do produkcji paramedycznej.

Krajowi odbiorcy, w tym również Spółdzielnia „Polon" w Łodzi poszukują granulatów o symbolice M-75 i M-55. Jakkolwiek wyprodukowanie ich leży w możliwościach INCO (warunek m.in. zwiększenie reżimu produkcyjnego) dotychczas nie udało się tam czegoś podobnego dokonać. Skutek jest taki, że krajowy granulat M-65 musi być uzupełniany kosztownym importem z krajów zachodnich.

W tej sytuacji rzemieślnik z Tomaszowa wyraził gotowość bezpłatnej naprawy elektronicznego urządzenia sterującego mieszalnikiem zakupionym dla INCO w RFN. Przypuszczał on bowiem, że jego uszkodzenie jest przyczyną złej jakości produkowanych w Dębe Wielkim granulatów.

Jakby było tego mało, Henryk Tkaczyk organizuje ekipę specjalistów, która opracowuje nie znaną dotychczas w Polsce recepturę na granulat PCV widzialny promieniami rentgena. Cewniki i dreny z tego surowca są wielokrotnie bardziej potrzebne we współczesnej medycynie od nie posiadających owych walorów, zwłaszcza, gdy wprowadzanie ich do ciała pacjenta odbywa się pod kontrolą rtg.

Granulat, za który trzeba słono płacić zachodnim firmom światła dziennego nie ujrzał, a Henryk Tkaczyk został wezwany do Zakładów INCO, by odebrać w trybie natychmiastowym dostarczoną wcześniej „truciznę" — farmaceutyczny siarczan baru. Wysłany on był tam po to, by wprowadzić go do PCW celem uzyskania cienia rentgenowskiego...

Do dziś każda partia granulatu przywożona z INCO musi być poddawana testom. Mimo to, często się zdarza, że braki produkcyjne sięgają 20 — 30 proc. — *Nie byłoby ich* — twierdzi Henryk Tkaczyk — *gdybym otrzymywał granulat jednorodny i czysty. Niestety, taki pochodzący z importu surowiec otrzymują jedynie firmy uspołecznione.*

LEGALNIE, CZY NIELEGALNIE?

Rejestr barier, na jakie napotyka antyimportowa produkcja niewielkiej prywatnej firmy „Tomel" byłby niepełny, gdyby nie wspomnieć o biurokratycznej mitrędze towarzyszącej próbie wprowadzenia na rynek krajowy wyrobów Henryka Tkaczyka.

Teczka z jego nazwiskiem w Wydziale Handlu, Drobnej Wytwórczości i Usług Urzędu Miejskiego w Tomaszowie Maz. jest gruba na trzy palce. Ze spoczywających w niej dokumentów wynika jednoznacznie, cała działalność „Tomelu" w zakresie przetwórstwa tworzyw sztucznych jest nielegalna! Cewniki Swan Ganza, dreny „Tommed", wysoki światowy poziom, antyimport, atesty medyczne, protektorat Ministerstw Zdrowia i Finansów (ulga podatkowa), a rzecz toczy się na „czarno", bez zezwolenia. Jak to?

W odmowie udzielenia Henrykowi Tkaczykowi zezwolenia na działalność w zakresie przetwórstwa tworzyw sztucznych dla medycyny istnieje następujące uzasadnienie:

„Podejmując niniejszą decyzję wziąłem pod uwagę stanowisko Izby Rzemieślniczej w Łodzi stwierdzające brak pełnych kwalifikacji zawodowych dla wykonywania w.w. rzemiosła. Osoba podejmująca się wytwarzania urządzeń dla potrzeb medycyny wyroby swoje winna produkować w najwyższej klasie jakościowej".

W owym czasie nielegalna produkcja „Tomelu" rozprowadzana jest za pośrednictwem „Cezalu" do wielu szpitali i klinik w całym kraju. Tym wyrobom można jedynie zarzucić to, że jest ich za mało.

Według litery prawa wykonuje je jednak człowiek bez odpowiednich kwalifikacji, bowiem Henryk Tkaczyk zdobywa co prawda jesienią 1984 r., uprawnienia czeladnicze, ale musiałby jeszcze odbyć dwuletnią praktykę, żeby stać się wiarygodnym producentem w danej branży. Obydwu zaś stronom dobrze wiadomo, że chodzi tu raczej o usankcjonowanie istniejącego stanu rzeczy, gdyż rzemieślnik tworzy fakty dokonane, a następnie chce, by została do nich przyłożona pieczęć i znalazł miejsce stosowny podpis.

Można nie lubić urzędów i urzędników, ale trudno byłoby wymagać, żeby dowolnie traktowano tam istniejące przepisy. Kontrola WHDWiU UM w zakładach Henryka Tkaczyka wykazuje szereg uchybień w jego działalności. Zakładów jest więcej, niż jeden, wspominany we wniosku o wydanie zezwolenia na przetwórstwo tworzyw sztucznych. Więcej zakładów i więcej ludzi, a przy tym ta produkcja, jak gdyby nigdy nie...

Jakkolwiek więc, Izba Rzemieślnicza w Łodzi uzna w końcu kwalifikacje Henryka Tkaczyka, Wydział Handlu nakłada na niego półroczną karencję, gdyż mimo wszystko prawo jest prawem i jednakowo ma obowiązywać wszystkich.

Karencja kończy się w styczniu 1986 roku, po tym terminie Henryk Tkaczyk ma pełne możliwości uzyskania zezwolenia na produkcję antyimportowych drenów i cewników, tak twierdzi się w Wydziale Handlu, Drobnej Wytwórczości i Usług Urzędu Miejskiego w Tomaszowie Maz., gdzie wbrew pozorom także rozumie się wyjątkowość owej produkcji.

Dalszy ciąg dopisany zostanie więc za kilka miesięcy, lecz nie należy tego traktować dosłownie, nie chodzi tu o zwyczajowe cdn. na końcu tekstu, lecz o ludzi, paragrafy i życie, które wbrew pozorom nie toczy się tak, jak chce.

Zazdrosna medycyna

ze str. 1

Rongen — *każdemu kto cierpi. I nie obchodzi mnie, czy jest to kapitalista, komunista, bogaty czy biedny. Cierpienie i choroba równa wszystkich.*

Czy Johannes Rongen naprawdę potrafi pomóc potrzebującym? Otóż we Wrocławiu przeprowadzono pod kontrolą lekarską skrupulatne badania efektów terapii Rongena. Jak donoszą „Wiadomości Skierniewickie" z 20.XII.1984 r., pozytywne skutki leczenia zaobserwowano u 61,4 proc. pacjentów, z którymi nie mogli poradzić sobie lekarze. W leczeniu cukrzycy Rongen odniósł sukces u 82 proc. pacjentów, tarczycy — 80,6 proc., padaczki — 75,5 proc., astmy — 72,1 procent. Przeglądałem też wyniki badań lekarskich przed i po zabiegu bioenergoterapeutycznym. Oczywiście wykonywali je dyplomowani lekarze, którzy o seansach nie wiedzieli. Było tego sporo. Na przykład u jednego z wyleczonych obecnie pacjentów lekarze na tomografie komputerowym wykryli złośliwy nowotwór rdzenia mózgowego i rokowali 12—14 dni życia. Po serii seansów bioenergoterapeutycznych i powtórnych badaniach okazało się, że nowotwór (glejak!) cofnął się i wkrótce zniknął.

Na stole leżą skierowania na zabiegi. Widnieją na nich pieczątki lekarzy i doktorów medycyny. Ale jedno szczególnie mnie zainteresowało: *„Kieruję wyżej wymienione dziecko na leczenie bioenergoterapeutyczne do pana Johannesa Rongena".* Podpisano: prof. dr hab. medycyny — W. F.

Jeszcze jeden dokument:

„W ramach prac doświadczalnych prowadzonego przeze mnie zespołu podjęliśmy badania weryfikujące wiedzę empiryczną metodami eksperymentalnymi. Zajęliśmy się w aktualnej fazie badań próbami nad możliwością skracania przedłużonego czasu krzepnięcia czynnikami biologicznymi, tj. za pomocą pól magnetycznych generowanych przez człowieka. Wykorzystując własności biomagnetyczne pana J. Rongena poddaliśmy próbom pięciu chorych, w tym trzech z hemofilią, dwóch ze skazą krwotoczną małopłytkową. Stwierdzono u chorych z hemofilią wybitne skrócenie czasu krzepnięcia w badaniach in vitro — o 50 proc. oraz obniżenie potencjału elektrycznego krwinek i osocza badanego metodą elektrod Janczarskiego. U chorych ze skazą krwotoczną małopłytkową nie uzyskano zwiększenia liczby płytek natomiast zaobserwowano skrócenie czasu krwawienia i krzepnięcia in vitro (...)" Podpisano: prof. dr med. Julian Aleksandrowicz (dyrektor Kliniki Chorób Wewnętrznych AM w Krakowie).

J. Rongen ma na swym koncie wiele podobnych udokumentowanych sukcesów. Pracuje obecnie w Otwocku i u siebie w domu, w Pile Kościeleckiej. Leczy również... lekarzy.

2.

Kres polskiej bioterapii zapoczątkowało pismo Prokuratora Generalnego PRL do Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej z 28 grudnia 1984 roku nr NA-0230/55/84.

„Informuję tow. ministra, że nielegalne wykonywanie zawodu lekarskiego przez osoby do tego niepowołane stanowi przestępstwo ścigane z urzędu, art. 26 ustawy z dnia 28.10 1950 r. o zawodzie lekarza, co znaczy, że prokurator i MO mają obowiązek wszcząć postępowanie przygotowawcze o to przestępstwo, jeśli uzyskali informacje wskazujące na uzasadnienie podejrzenia jego zaistnienia. Zgodnie z art. 256 kpk instytucje państwowe i społeczne, które w związku ze swą działalnością dowiedziały się o popełnieniu przestępstwa ściganego z urzędu są zobowiązane niezwłocznie zawiadomić o tym prokuratora lub MO. Z tego względu proszę tow. ministra o przypomnienie podległym mu organom o obowiązku wynikającym z powyższego przepisu w kontekście nielegalnego wykonywania zawodu lekarskiego. Przy kierowaniu doniesień proszę o wskazanie także na czym polega nielegalna praktyka lecznicza i czy jest jednocześnie szkodliwa dla zdrowia i życia ludzkiego. Jednocześnie liczę na pomoc ze strony organów służby zdrowia w zakresie opracowania ekspertyz specjalistycznych w tych sprawach".

Minister zdrowia i opieki społecznej nakazał bioenergoterapeutom opuścić spółdzielnie lekarskie, zaś lekarzom zabronił współpracy z „szarlatanami".

Przeciwko decyzji min. Tadeusza Szelachowskiego o zakazie współpracy lekarzy z „szarlatanerią" w placowkach uspołecznionej służby zdrowia pod groźbą utraty praw lekarskich zaprotestowało na łamach „Sztandaru Młodych" (13 marca 1985 r., 40 dziennikarzy.

Małgorzata Sowińska pisze w „Kurierze Polskim" z 20 marca 1985 r.:

„Można mieć nadzieję, że głos 40 dziennikarzy, wśród których jest wiele znanych nazwisk, nie pozostanie bez echa, że tym razem ministerstwo nie przejdzie nad nim do porządku dziennego, jak to zwykle bywało przy pojedyńczych publikacjach na temat bioterapii. Trudno byłoby uważać, że problemu nie ma w chwili, gdy dojrzał on do pilnych rozwiązań. Oczywiście nie takich, jakie widziałoby najchętniej Ministerstwo Zdrowia".

A oto odpowiedź z ministerstwa:

„Formułowanie protestu przeciwko nakazowi poszanowania prawa wywołuje zdumienie. Minister zdrowia i opieki społecznej dysponuje już dostatecznie udokumentowanym materiałem przygotowanym przez właściwe zespoły Rady Naukowej. Raport nie tylko kwestionuje tę „dziedzinę wiedzy", lecz także pośrednio dezawuuje wyniki pseudonaukowych doświadczeń bioenergoterapeutów i ich osobistych zdolności parapsychologicznych. Na tym więc etapie oceny — bioenergoterapii i bioenergoterapeutów — nie można dopuścić do zalegalizowania w żadnej formie i pod żadnym pozorem".

Podpisano: rzecznik prasowy MZiOS.

3.

Tymczasem prof. J. Jeljaszewicz (znany telewidzom z programu „Klinika zdrowego człowieka"), przewodniczący Rady Naukowej przy Ministrze Zdrowia twierdzi:

— Medycyna to nauka otwarta i trochę tajemna. Znamy na przykład sposoby leczenia pewnych chorób, ale nie poznaliśmy ich istoty lub odwrotnie. W końcu zawsze istnieje szansa, że w medycynie niekonwencjonalnej pojawi się jakaś genialna myśl lub metoda leczenia, choć osobiście uważam, że jest to nikłe. W naszym kraju upowszechnia się w zastraszającym tempie wiara w skuteczność niemedycznych środków leczenia i tego zjawiska nie należy zwalczać jedynie inwektywami. Potrzeba poważnych argumentów. Musimy przyjrzeć się metodom działania uzdrowicieli.

— Klęską wielu poradni i wielu lekarzy są pacjenci nie mający do nich zaufania — mówi wiceprezes Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, przewodniczący Komisji do spraw Niekonwencjonalnych Metod Leczenia przy Radzie Naukowej Ministra Zdrowia, Bogusław Kamiński. *— Jeden lekarz rozpoznał taką chorobę, drugi inną i tak bez końca. Wiele sukcesów różnych bioenergoterapeutów polega na dużym kredycie zaufania. Człowiek po wizycie u bioenergoterapeuty może czuć się lepiej, ale nie będzie zdrowszy. Jeśli ktoś czuje się lepiej, niech z tych usług skorzysta.*

Dalej prof. Bogusław Kamiński stwierdza na łamach „Tygodnika Kulturalnego" z 19 maja 1985 r., iż jest obecnie więcej szarlatanów, którzy mogą szkodzić.

Tymczasem w czerwcu 1984 r. decyzją Sejmu PRL rozwiązano Polskie Towarzystwo Biocenotyczne. Skupiało ono także wiele sław medycznych i m. in. dbało o to, żeby nie było u nas bioenergoterapeutów-szarlatanów. Odbywały się kursy dla posiadaczy zdolności oddziaływania biopolem. Zajęcia prowadzili m. in.: lek. med. J. Putz, dr hab. med. I. Janczarski, dr med. A. Horosiewicz, dr med. T. Wysokińska, dr med. J. Sosnowski, dr med. A. Trzaskowski, dr hab. med. St. Hubl i inni. Słuchacze posiadali indeksy, a po zakończeniu kursu mieli otrzymać dyplomy uprawniające do legalnego wykonywania swych praktyk. Dostawali też zaświadczenia będące podstawą do ubiegania się o praktykę bioenergoterapeutyczną prowadzoną pod wyłączną kontrolą lekarza w uspołecznionych placówkach służby zdrowia.

Mówi Teresa Matuszewska:

— Lekarz wojewódzki w Łodzi za nic nie chciał pozwolić nam na praktyki w szpitalach. Skierował nas do Departamentu Szkolnictwa Wyższego i Nauki przy MZiOS w Warszawie. Odbijano tylko pieczątki...

Profesor Bogusław Kamiński napisał na łamach „Polityki" (19.01.1985):

— Ludzie ci (bioenergoterapeuci — przyp. J. G.) *nie próbują nawet dociec istoty swego oddziaływania, wystarczy im bowiem świadomość, że przychodzą do nich cierpiący, szukający pomocy i wielu z nich znajduje to, czego szuka. Poprawia się samopoczucie tak leczonych, często poprawia się swego oddziaływania. Medycyna nie broni tu własnych pozycji, broni prawa ludzi chorych do świadomego podejmowania decyzji dotyczących ich samych. W tym celu przeciętny pacjent musi znać tło toczącego się sporu i sam dokonywać wyboru.*

Trudno jednoznacznie ocenić wypowiedzi cytowanych członków Rady Naukowej przy Ministrze Zdrowia, ale wydaje mi się, iż są one bardziej „za" niż „przeciw". A przecież to właśnie Rada Naukowa — jak podaje rzecznik prasowy MZiOS — zgromadziła dowody kwestionujące wyniki bioenergoterapii. Czyżby więc był to dualizm słów i czynów? Ciągle jednak nie rozwiązany jest problem: czemu społeczeństwo nie wierzy ministerstwu i lekarzom; co pcha ludzi do kolejek, w których oczekują na poddanie się bezprawnym już teraz praktykom?

Zanim jeszcze zapadła decyzja min. Tadeusza Szelachowskiego, F. Penczek w „Politechniku" z 18 listopada 1984 r. napisał:

„Mimo że zjawisko funkcjonuje w tak masowej skali od trzech lat, resort zdrowia poza negatywną opinią nie zrobił nic, by sprawę zbadać, gdyż Komisja d/s Niekonwencjonalnych Metod Leczenia, której utworzenie zapowiadał min. Szelachowski jeszcze do 1.10.84 r. nie zebrała się. Skąd zatem pewność w oświadczeniach profesorów i komunikacie ministra, skoro są to dotąd sprawy niezbadane? Moim zdaniem komisja powinna działać już od dawna i dopiero opierając się na wynikach jej badań resort mógłby zająć jakieś stanowisko. Nawet negatywne, lecz uczciwe, nie w oparciu o subiektywną ocenę, ale o obiektywne dane",

4.

„Nieznany świat" — jednodniówka nie istniejącego już Polskiego Towarzystwa Biocenotycznego. Wypowiada się prof. dr hab. Irena Hausmanowa-Petrusewicz, prezes Polskiego Towarzystwa Neurologicznego:

— Bioenergoterapia to dziś zjawisko socjologiczne. Skoro dotyczy naszych pacjentów, nie wolno nam go lekceważyć. Uznaję, że istnieją zjawiska, które obserwuję, a których nie rozumiem i nie potrafię racjonalnie wytłumaczyć. Nie znaczy to, że je jednoznacznie odrzucam. Wiele środków medycyny ludowej, które cywilizowany człowiek uważał początkowo za zabobon, weszło do współczesnej farmakologii. Niemało jest zdesperowanych, umęczonych ludzi, którym współczesna medycyna, mimo że wykorzystywała całą swą wiedzę i fachowość, nie potrafi pomóc. Skoro w zjawisku bioenergoterapii może coś być, a my nie znamy przyczyn choroby i jej leczenia, dlaczego chory ma nie skorzystać z tej szansy?

Obok wypowiedź prof. dr hab. Magdaleny Sokołowskiej, przewodniczącej Europejskiego Towarzystwa Socjologów Medycyny przy Światowej Organizacji Zdrowia, lekarza i socjologa:

— Lekarze są nieufni do zjawisk, których nie rozumieją, które wydają się im sprzeczne z tym, czego ich uczono. Stąd bierze się ta niezdolność do uznania, że we wszystkich społeczeństwach na świecie leczeniem i uzdrawianiem zajmują się najrozmaitsze osoby, nie tylko przedstawiciele naukowej medycyny, że nie musi to zawsze znaczyć zacofania i szkodliwości dla chorego, i że chory ma prawo decyzji w tej sprawie. W niektórych wypadkach może lepiej byłoby przyjąć pomoc z zewnątrz niż stosować zasadę: sam nie mogę, ale drugiemu nie dam.

Małgorzata Sowińska z „Kuriera Polskiego" (20 marca 1985 r.) usiłuje zebrać głosy lekarzy na temat współpracy z biomasażystami. Mówi Zofia L.:

Z ponad półtorarocznej obserwacji mogę stwierdzić, że biomasaż pomaga w wielu schorzeniach. Na przykład w wypadku astmy oskrzelowej chorzy bardzo często sygnalizują poprawę. Bywa że są to osoby leczone przez wiele lat w tzw. sposób konwencjonalny. Częste poprawy zdrowia notuję przy nerwicach i psychonerwicach, mijające bóle korzonkowe, nerwobóle, zmniejszają się dolegliwości artretyczne, wieloletnie migreny. Zauważyłam, że jest to działanie pomocnicze przy bólach reumatycznych, chorobie wrzodowej, moczeniu nocnym. Dzieci z porażeniem mózgowym mają przyspieszony rozwój psycho-ruchowy, w ginekologii zdarzają się nieraz pacjentki, które nie mogą zajść w ciążę, przy czym lekarz specjalista nie znajduje przyczyn takiego stanu. Mieliśmy kilkanaście przypadków ciąży po działaniu biomasażu właśnie w takich przypadkach...

„Prawo i Życie" zamieściło 24.11.1984 r. artykuł M. Maciszewskiej pt. „A gdyby tak na stos". Komentuje go dr n. med. Piotr Müldner-Nieckowski:

— Przyczyną nieporozumień jest także prasa. Dziennikarze przedstawiają swe osobiste poglądy jako udokumentowane prawdy, jako objawienia, podpierając się jakimś z obca brzmiącym nazwiskiem, a to zagranicznym instytutem czegoś tam. Tego czynić nie należy, gdyż łatwo o szkodę społeczną. Co więcej, redaktorka (M. Maciszewska — przyp. J. G.) *nasuwa wspaniałomyślność bioenergoterapeuty, który część swych zarobków z tytułu leczenia dotykaniem przekazuje na instytucję ściśle lekarską i bliską naszemu sercu — Centrum Zdrowia Dziecka. Coś takiego popełniła też telewizja reklamując podobny wyczyn innego znachora, który zamierza przekazać pieniądze na Centrum Zdrowia Matki. Roczniki „Prawa i Życia" z czasem pokryje kurz. Niech no się do nich dobierze historyk i odkryje ślad dwudziestowiecznej ciemnoty uprawianej przez dziennikarzy, ludzi kształconych w logice i klarowności myśli. Wyobrażam sobie ten jego złośliwy zachwyt: nareszcie znalazłem, w ubiegłym wieku też wierzyli w energię supranatalną, nazywali to biopolem. Dość powiedzieć, że zanadto szumiący potoczek bioenergoterapii utonie w rzece medycyny, spokojnej i wytrwałej.*

5.

Nagromadziło się już sporo wypowiedzi wzajemnie sprzecznych. Żeby odeprzeć zarzuty takich lekarzy jak P. Müldner-Nieckowski starałem się nie przedstawiać swych poglądów i zebrałem wypowiedzi sław naukowych — po to także, aby nikt nie zarzucił mi, iż uprawiam dwudziestowieczną, dziennikarską ciemnotę, choć powinienem być kształcony w logice i klarowności myśli. Okazuje się jednak, że nawet wśród lekarzy klarowności brak, brak logiki i konsekwencji w zmienianych często poglądach i dualizmie słów i czynów. Tylko, że gdzies w ferworze dyskusji zapodziała się przysięga Hipokratesa i zasada: *„nie szkodzić"*. Zadaję pytanie: czy bioenergoterapeuta (ale ten wykwalifikowany, nie samouk) może zaszkodzić?! Jak, skoro wielu lekarzy twierdzi, iż seanse pomagają na zasadzie *„wiara czyni cuda"*? Czy opracował ktoś raport — dokładny, rzetelny — o szkodliwości tych zabiegów? Nie? Co z tego, że niektórzy lekarze twierdzą, że to nie pomaga? Widziałem już tyle dokumentów, że lakoniczne wyjaśnienie rzecznika prasowego MZiOS nie czyni na mnie wrażenia. Ktoś mnie oszukał, podrobił pieczątki, sfałszował opisy chorób? Proszę, niech to sprawdzi komisja. Zgodnie z F. Penczkiem z „Politechnika" twierdzę, że niezbyt gruntownie musiano zbadać problem i kierowano się nie faktami, lecz sugestiami. Tymczasem nie widziałem dotąd raportu, który podawałby, iż na przykład w wyniku dotknięcia dłoni pana Harrisa czy Rongena zmarło tyle a tyle osób, a tyle odczuło gwałtowne pogorszenie stanu zdrowia. Służba zdrowia wyszła więc z założenia: *„sam nie mogę, ale drugiemu nie dam"* (prof. dr hab. M. Sokołowska). Tymczasem nie takiego rozwiązania oczekują ludzie.

Nietrudno przewidzieć dalszy rozwój wypadków. Zapotrzebowanie na tego typu usługi wzrośnie, a praktyki „szarlatanów" (już bez cudzysłowu) zaczną w nie kontrolowany sposób żerować na kieszeni chorych. Być może jest to znakomita metoda na „załatwienie" niekonwencjonalnej medycyny; gdy oszuści zaczną szkodzić, może wtedy społeczeństwo odwróci się od bioterapii, ale... to wymaga ofiar. A przecież, gdy dyplomowani magnetyzerzy działali legalnie, chorzy najpierw szli do lekarza, a dopiero wtedy, kiedy medycyna bezradnie rozkładała ręce, pacjent szukał ostatniej deski ratunku u bioenergoterapeuty. Tam szli tylko ci skazani na cierpienie lub śmierć. Zlikwidowanie problemu „szarlatanów" odebrało ostatnią szansę — nawet jeśli nie „cudowne" wyleczenie to bezcenną nadzieję. Wiara czyni cuda? Być może... Tymczasem z analizy dokumentów przedstawiających wyniki pracy Johannesa Rongena śmiem twierdzić, że jest on naprawdę pomocny w wielu przypadkach, na które machnęła ręką współczesna medycyna. Podobne wyniki mają chyba i inni znani bioterapeuci. Dlaczego więc odbierać ludziom ostatnią szansę? Czyż to nie sprzeczne z etyką lekarską? Służba zdrowia może być spokojna, że pacjentów jej nie ubędzie (choć wszyscy narzekają na zbyt małą liczbę lekarzy i szpitali w stosunku do potrzeb) dopóty, dopóki będzie umiała ludziom pomóc. Trzeba podbudować wiarę czynami, a nie systemem zakazów. Powtarzam: czekamy na raport o szkodliwości bioenergoterapii.

Warto jednak dodać, że konwencjonalne metody leczenia nie zawsze są bezpieczne. Czy operacja serca lub usunięcie nowotworu (jeśli jest możliwe) nie wiążą się z ryzykiem zgonu? Tymczasem jakoś nie słyszy się o ofiarach bioenergoterapeutów z prawdziwego zdarzenia. Ba, ale któż może dać gwarancję, że pan X to prawdziwy terapeuta, a nie szarlatan? Myślę, że storpedowana inicjatywa Polskiego Towarzystwa Biocenotycznego (nad którą czuwali lekarze i oni to decydowali o tym, kto powinien dostać dyplom uprawniający do tego typu praktyki) jest odpowiedzią na to pytanie. Należy jednak pamiętać, opracowując tabelę skuteczności leczenia wśród lekarzy i „szarlatanów", że lekarze leczą zarówno katar jak i raka mózgu, natomiast magnetyzerzy z reguły kataru nie leczą, a przyjmują najczęściej tych z beznadziejnym stadium raka. I jeśli nie zawsze pomogą, może to tylko świadczyć na korzyść lekarzy: faktycznie, tego pacjenta uratować się nie dało.

6.

Wracając jeszcze do Johannesa Rongena — skoro nie jest to bioenergoterapeuta, tylko magnetyzer z zagranicy, ma uprawnienia i udokumentowane wyniki swych praktyk, to może ktoś wreszcie wypowie się w sprawie zalegalizowania seansów prowadzonych przez J. Rongena dla niepełnosprawnych dzieci zarejestrowanych w Specjalistycznym ZOZ Matki i Dziecka oraz dla pozostałych mieszkańców Łodzi? Jak dotąd współpraca ze wspomnianym ZOZ układała się znakomicie, u wielu dzieci (także z porażeniem mózgowym) rodzice zaobserwowali znaczną poprawę (pole do działania dla Rady Naukowej — zobaczenie wyników i rozmowa z rodzicami). Odbyły się cztery bezpłatne seanse, na które jeszcze lekarz wojewódzki wyraził zgodę. Teraz miałyby odbywać się zabiegi płatne, przy czym wszystkie zarobione w ten sposób pieniądze Rongen chce przekazać na konto budowy Centrum Zdrowia Matki-Polki, samemu pokrywając koszty wyżywienia, zakwaterowania i przyjazdu. Ale władze trudno przekonać, że za tą bezinteresownością nie kryje się oszustwo.

JACEK GŁĘBSKI

P. S. Rozmowa z dr med. Rubenem Durinianem, dyrektorem Centralnego Instytutu Naukowo-Badawczego Refleksoterapii w Moskwie („Kulisy-Express Wieczorny" 1, 2, 3 czerwca 1985 r.) Twierdzi on:

— Poważnym mankamentem współczesnego lecznictwa jest nadmierna jego chemizacja, nadużywanie leków. Są już nawet choroby polekowe, które powstają na skutek niewłaściwego zastosowania środków farmakologicznych. W tej sytuacji z chęci uniknięcia ubocznych konsekwencji terapii lekami poszukuje się metod naturalnych, prostych, nie mających działań ubocznych...

(J. G.)

Grać Chopina — to grać siebie

Rozmowa z ARTUREM PAPAZJANEM — radzieckim pianistą, laureatem III nagrody X Konkursu Chopinowskiego.

Być uczestnikiem Konkursu Chopinowskiego znaczy już dużo, być laureatem jeszcze więcej. Wynik konkursu można by uznać za pewnego rodzaju przepustkę do światowej kariery. Reszta zależy w dużej mierze od samego pianisty — jego pracy nad sobą, ale i także od pewnych przedsięwzięć organizacyjnych. Minęły cztery lata od konkursu, w którym zdobyłeś III nagrodę. Dziś masz 30 lat. Jesteś w Nowym Jorku z całkiem niezłą perspektywą aktywności muzycznej. Co w tym czasie wydarzyło się w twoim życiu artystycznym?

— Po konkursie miałem jeszcze raz okazję być w Polsce w 1981 roku, koncertując w kilku miastach. Nagrałem też wtedy dla „Veritonu" dwie płyty: jedną z repertuaru chopinowskiego, drugą z Partitą VI e-moll Bacha i 32 sonatą Beethovena (op.111). W 1985 roku płyta z muzyką Chopina miała być powtórzona — wniosek z tego, że była przez polskich melomanów dobrze przyjęta. W sierpniu 1982 roku nagrałem także dla „Melodii" płytę chopinowską, na którą zapotrzebowanie zgłosili przedstawiciele krajów zachodnich (Belgii i Austrii); w październiku tegoż roku, kiedy wyjeżdżałem ze Związku Radzieckiego, w Moskwie tę płytę już rozprzedano. A potem też zyskała powodzenie.

— Wyjeżdżałeś z kraju w celach pozaartystycznych?

— Tak. Poza koncertami w Polsce i Związku Radzieckim nigdzie za granicą nie występowałem. W maju 1982 roku pojechałem z wycieczką do Stanów Zjednoczonych, gdzie poznałem rodaczkę — Ormiankę, której rodzice stale mieszkają w Syrii. Studiowała w Nowym Jorku inżynierię budowlaną. Ponieważ okazało się, że to właśnie ona mnie szukała, a ja ją, więc pobraliśmy się.

— Czy z tym faktem wiązałeś dalsze losy swej kariery?

— Nie ożeniłem się dla kariery. Zastanawialiśmy się długo z żoną, czy po ślubie jechać do Erewania, czy do niej i tam rozpocząć pracę. Na decyzji zaważył fakt, że większość mojej rodziny mieszka za granicą, w Erewaniu mieszkają tylko moi rodzice. Poza tym żona zaczęła pisać w Nowym Jorku rozprawę doktorską z inżynierii budowy mostów i tuneli. Jest jedną z pierwszych kobiet w Ameryce, która doktoryzuje się w tej specjalności. Nie pojechałem na Zachód dla uprawiania antyradzieckiej propagandy, ale po to, by propagować sztukę radziecką. Mogę być wdzięczny Związkowi Radzieckiemu za naukę w konserwatorium w Erewaniu i Moskwie. Wdzięczny jestem także za to, że zrozumiano moje intencje i uznano godnym do reprezentowania życia artystycznego mojego kraju. Mogę z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że wszystko co do tej pory uczyniłem za granicą w dziedzinie artystycznej (bo tylko w tej się udzielam) — uczyniłem w myśl rozwoju swego talentu, ale nie za wszelką cenę. Dzięki temu mogę czuć się artystą w pełni niezależnym — nie starającym się o błyskotliwość i popularność poprzez „szczekanie" na własny kraj, poprzez polityczną reklamę. Mieszkając w Nowym Jorku pozostaję obywatelem Związku Radzieckiego, zawsze mogę pojechać do rodzinnego Erewania.

— Jak dostałeś się na afisz koncertowy Carnegie Hall?

— Kiedy pojawiłem się w Nowym Jorku, wysłałem swoją biografię kilku menażerom. 31 grudzień 1983 roku — była to dla mnie data szczególna — byliśmy razem z żoną w sklepie, gdzie szukałem dla siebie instrumentu. Kiedy zacząłem grać na jednym z wystawionych fortepianów, zwrócił na mnie uwagę i zaczął słuchać przebywający tam kolega właściciela sklepu — były impresario. Moja wizyta w sklepie przerodziła się w mały recital. Żona wdała się w rozmowę z owym panem, który pytał o moich sponsorów. Kiedy dowiedział się, że za moimi ofertami wysłanymi menażerom nikt nie stoi, że swa obecność artystyczna w Ameryce zaczynam samotnie, stwierdził: „Jeśli on będzie sam, to muzyczni kupcy wyssają z niego krew". Pobyt w sklepie, sklepowy koncert, rozmowa z byłym impresario — to wszystko stało się początkiem niemalże bajecznego zbiegu zdarzeń. Okazało się, że w tym samym czasie słuchał mojej gry i był świadkiem owej rozmowy jeden z nowojorskich milionerów Stephen S. Smith, który bez wahania stwierdził: „Ja będę jego sponsorem".

Smith zaangażował dla mnie, jako impresario wiceprezesa Barrett Management Richards Corrado, który doprowadził do mojego spotkania z radą programową Carnegie Hall. Powiedziano mi: — Ma pan 30 minut — słuchamy — co pan zagra? Powiedziałem: — Sonatę h-moll Liszta. Wywołało to zdziwienie, bo to rzeczywiście bardzo trudna sonata. Kiedy skończyłem, orzekli: — To chłopiec gigant, musimy mieć go w Carnegie Hall. Zaproponowano mi, bym wystąpił w sezonie 1984/85 w ramach cyklu „Wirtuozi klawiatury" — z zastrzeżeniem, że do tego momentu nie będę koncertował w Stanach Zjednoczonych. Zadowolony z takiego obrotu sprawy pojechałem z żoną na kilka koncertów do Włoch. Po powrocie dowiedziałem się, że mój impresario chce zmienić firmę — odejście z Barrett Management do ICM Management. Smith gotów był wykupić Barret Management z zastrzeżeniem, że Corrado pozostanie moim impresario.

W sierpniu 1984 roku moja bajkowa przygoda w Nowym Jorku przybrała bardziej okrutne kształty. W Harlemie, u zbiegu 208 ulicy i Broadwayu znaleziono ciało zamordowanego sponsora. Tego mordu dokonał najprawdopodobniej jakiś zawodowy zabójca. Nie posiadałem ze Smithem żadnej umowy, zostałem więc na ulicy. Corrado przeszedł do ICM. Minął rok i trzeba było wszystko zaczynać od początku.

— A ustalenia poczynione w Carnegie Hall?

— Zaangażowanie artysty do programu, to bardzo ważna kwestia, ale dla realizacji koncertu, na to, by Carnegie Hall mogła funkcjonować, potrzebne są pieniądze. Nie miałem pieniędzy. Na dochód z jednego koncertu, który miał być debiutem, nigdy nie można liczyć. Całe szczęście, że przedstawiciele Carnegie Hall postanowili, że sami będą subsydiować ten mój debiut, który wyznaczono na 20 marca 1985 roku.

— Czym jeszcze zajmujesz się w USA?

— Podjąłem się na Uniwersytecie w Hartford prowadzenia zajęć w klasie mistrzowskiej podobne lekcje będę miał w konserwatorium w Toronto, gdzie zresztą 10 marca 1985 r. był mój kanadyjski debiut jako pianisty.

— Co prezentujesz publiczności?

— Przede wszystkim Chopina.

— Dlaczego w Carnegie Hall grałeś sonatę Liszta?

— Na takim przesłuchaniu trzeba pokazać możliwie wszystkie swoje wirtuozowskie umiejętności, technikę gry. Na tym etapie zainteresowania słuchających krytyków skupiają się nie tyle na możliwościach interpretatorskich pianisty, lecz na jego technicznej sprawności — od tego zaczyna się zaufanie do pianisty, bez względu na to, jaki on będzie później prezentował repertuar. Na tym polega też odpowiedzialność organizatorów Carnegie Hall za dobór wykonawców koncertów. Po każdym takim koncercie oficjalna krytyka, zawsze obecna całą plejadą, może rozprawiać o takich czy innych wizjach interpretacyjnych, ale nie może kwestionować klasy wykonawcy. Sonata Liszta wydaje się jednym z najlepszych testów pianistycznej sprawności. Chopin nie jest „akademikiem", to jest ideał, gdzie przy spełnieniu wszystkich kryteriów formy, rzeczywiste piękno ujawnia się w interpretacji.

— Jaką rolę w twoim stosunku do Chopina odegrał konkurs warszawski?

— Konkurs był pierwszym etapem, kiedy fascynacja tym kompozytorem mogła znaleźć ujście. Później bardzo dużo czytałem, rozmyślałem. Starałem się jak najlepiej poznać Polskę, jej kulturę, język — poznać ducha narodu Chopina. W ogóle żeby dobrze grać kompozytora ważna jest znajomość jego narodu — dla muzyka zwłaszcza — znajomość języka: jego intonacji, brzmienia. Dziś mogę powiedzieć, że mówię po polsku i gram po polsku.

— Czyli można mówić o coraz dojrzalszej miłości?

— Kompozycje Chopina są dla mnie absolutnym pięknem, gdzie wspaniała technika łączy się w jedno z myślą treścią i z ruchem — to jest absolutna harmonia. Są kompozytorzy pełni technicznej wspaniałości, filozoficznych odcieni, na przykład Bach, ale tylko u Chopina stanowi to wszystko jedność. Przed Konkursem Chopinowskim nie mogłem powiedzieć, że wiem o tym wszystko.

— Wynika z tego, że Chopin jest trudnym kompozytorem, bo poprzez bogactwo duchowe swoich kompozycji wymaga od pianisty identyfikacji z nim?

— Jest wielu świetnych pianistów, którzy grają bardzo dobrze — robiąc światowe kariery, ale Chopina omijają. Dla wielu staje się on wręcz pułapką, nie mogą sprostać specjalnemu uderzeniu w klawiaturę. Mnie się wydaje, że czuję tego kompozytora jak siebie samego. Kiedy gram Chopina nie muszę doszukiwać się szczególnej interpretacji: grać Chopina, to grać siebie. W tym chyba jest cała tajemnica.

Rozmawiał:
WŁODZIMIERZ TOMASZEWSKI

Powtórka z pamięci

Nauczyciel, który pozwoli swojemu uczniowi być dla siebie partnerem, spełnia główny warunek mistrza. Mistrzów więc przywołuje moja pamięć i szczyci się, że była pod ich wpływem. A przecież nie jestem jedynym tego przykładem.

Przywołanie z pamięci pierwsze — **Wacław Bryszewski.** Ponad pół wieku nauczycielskiej służby w szkołach podstawowych i średnich. Pół wieku z młodzieżą w szkołach wiejskich, małomiasteczkowych i w łódzkiej metropolii oświatowej. Kochany i szanowany. I był tak dobrym jak i złym nauczycielem, bo nie poskąpił trójki, gdy kto pomylił Missisipi z Amazonką, ale sierdził się słysząc dukanie o krainie tysiąca jezior czy o urokach mazowieckiej niziny. Przepuścił chłopakowi przekomarzanie się z dziewczyną, ale tępił kłamstwo, lenistwo i brak dyscypliny. Przymykał ucho na głupawe piosenki i z żarem tłumaczył, że podczas hymnu trzeba stać na baczność. Był Polakiem i żołnierzem dwóch wojen, a do pierwszej uciekł z domu, nim jeszcze zaszumiał wąs pod nosem. To z tego czasu pochodził nawyk proszenia o powtórzenie jakiegoś zdania w trakcie rozmowy, to od owego epizodu, gdy został sam przy karabinie maszynowym, osłaniając przeprawę swojego oddziału.

Pamiętają Wacława Bryszewskiego ludzie z Wiskitna, Leszna, Kazimierza, Nowego Rokicia — kolejnych lat kierownikowania, okupacyjnej Soboty, gdzie umknął przed ścigającym go za aktywną polskość, gestapo. Wreszcie Łódź. Niełatwe lata dla głośnego patriotyzmu Wacława Bryszewskiego. I nieustanna pasja zachęcania młodych do mądrego pielęgnowania ojczystej przyrody. „Będziesz lepszy, mawiał, gdy choć przez chwilę popatrzysz jak kwitnie sad, jak się las podnosi do wiosny. I będzie ci godniej żyć, kiedy wystawisz ptakom garść ziarna w ostrą zimę".

Nie o poetyckie nastroje tylko szło, ale głęboką filozofię życia człowieka w zgodzie z otaczającą go przyrodą. Zapisał tę swoją życiową misję drobnym znakiem w podłódzkiej wsi Swędów — ponazywał w kompleksie działkowym uliczki nazwami ze świata przyrody. I nie Krzyż Kawalerski będzie tylko za nim świadczył, ale okruch zachowanej dla potomności ojczystej przyrody.

Przypomnienie drugie — **Jan Koryciński:** z wykształcenia ekonomista w specjalności gospodarowania w przemyśle skórzanym, z powołania nauczyciel i wychowawca, z pasji działacz spółdzielczy. Jednym błyskotliwym zwrotem poskramiał czeredę podrostków za zielonymi ławami szkolnej klasy. Na „Korytą" nie można było się nie przygotować i nie można było recytować. „No, koniowie, w tym kraju trzeba myślących ludzi, a nie papug". I po drugie: „Ty pomożesz, pomogą i tobie". I po trzecie: „Ziarnko do ziarnka...".

Znaczyło to wszystko, że człowiek nie żyje sam, ale w grupie. A największą grupą jest naród. Jemu oddał część swojej krwi oficer rezerwy, Jan Koryciński, podczas kampanii wrześniowej. Pytają niektórzy, czy można „uczyć Polski na ekonomii"? Można, podpowiada mi pamięć i przywołuje mojego nauczyciela, Jana Korycińskiego. Można to robić lepiej i na lekcjach języka polskiego — tłumaczy elegancko i cierpliwie, lecz stanowczo, mój dawny wizytator, Jan Koryciński. I może młodzież wchodzić w pożyteczne role społeczne, gdy widzi autentyczny tego sens i naturalną formę działania. A była i jest taka forma — spółdzielczość uczniowska: szkoła zaradności i gospodarności, współpracy i współodpowiedzialności za społeczne dobro. I były wielkie wyprawy za miasto zorganizowane przez spółdzielczy ruch uczniowski pod dyskretnym przewodnictwem Zygmunta Wacka i mojego nauczyciela Jana Korycińskiego.

Przypomnienie trzecie — **Henryk Dinter:** nauczyciel i działacz społeczny, wychowawca młodzieży i nauczyciel nauczycieli, pisarz i badacz nauczycielskiej profesji. Zgasło w swoim fizycznym wymiarze uważne i pogodne spojrzenie kierowane na rozmówcę spod krzaczastych brwi. Zamknęła się biografia ilustrująca wymownie pewien typ myślenia i postawy wobec życia: wychowawcy — twórcy.

Nauczyciel jest postacią publiczną — mawiał, a każdy, kto uczestniczy w działaniu społecznym, każdy, kto sobą przykład daje, musi się liczyć ze skutkami tego przykładu, w przeciwnym razie robi więcej złego, niżby nic nie robił. W działaniu nauczycielskim sprowadzał to do swoistej maksymy: tego tylko nauczyciela praca będzie lepsza, który sam starać się będzie lepszym być, niż wymagają tego urzędowe normy. W swojej działalności nauczycielskiej i w swej praktyce kierownika zakładów kształcenia nauczycieli konsekwentnie wielki nacisk kładł na samosterujący się mechanizm rozwoju intelektualnego, moralnego i ideowego wzbogacania się wychowawcy, obywatela oraz po prostu człowieka uwikłanego w konkretną rzeczywistość. Aktywność społeczna i umysłowa, rzetelność zawodowa, humanistyczna dociekliwość i pełna ufności tolerancja wyznaczyły kierunek zawodowej kariery H. Dintera już u progu jego samodzielności. W takim duchu wychowywany, sam zaczął wychowywać według tej miary. Z tego też brała swój ożywczy impuls niezależność postawy zapalonego wychowawcy i animatora nowatorstwa oświatowego, nim jeszcze termin ten nabrał specjalnego choć nie zawsze przekonywającego znaczenia.

Z podziwu godną czujnością, ten na co dzień skupiony, trochę nieśmiały i przymknięty w sobie człowiek — w rzeczy samej był nieustannie otwarty na wszystko, co niesie aktualna rzeczywistość. Umiał pod grubą warstwą niejasności, pomieszań i omyłek doszukać się sensów istotnych.

Otwarty na nowe w całokształcie edukacji narodowej, skłaniał się chętnie do refleksji nad tradycją, w której widział nie tylko źródło korekt, ale także potwierdzenie zasadności powiązań dawnego z dzisiejszym. Roztropnie przestrzegał przed koniunkturalnym nowinkarstwem i pozornymi odkryciami, co nie zawsze przysparzało mu sympatii zawodowych administratorów i funkcyjnych działaczy. Można w największym skrócie powiedzieć, że cenił sobie najwyżej rzetelność, śmiałość i konsekwencję w działaniu — podstawowe źródła powodzeń każdej reformy, w tym i oświatowej. Dawał wyraz swoim opiniom również poza wąskim kręgiem zawodowym. Czynny członek ZNP, w swoim czasie obecny we władzach okręgowych, odwoływał się do młodych pracowników oświaty.

Nie w pełni wykorzystany, przebijał się na powierzchnię publicznych dyskusji i zyskiwał sobie uznanie i niekłamaną sympatię tych szczególnie, którzy mieliśmy okazję zetknąć się z nim osobiście i umieli korzystać z jego wiedzy i doświadczenia. Nie zawsze podpisywał się pod optymistycznymi laurkami pod adresem ekip nakręcających polski mechanizm oświatowy chyba dlatego, że widział nieco głębiej źródła pęknięć i zahamowań.

W końcowym piętnastoleciu pracowitego i aktywnego życia nastały dokonania książkowe z pogranicza nauki i literatury. Po drobniejszych pozycjach pojawiły się tomy okazałe i znaczące. I jakby dla zadziwienia otoczenia powstały książki nie związane bezpośrednio z profesją uprawianą przez autora w ciągu ponad trzydziestu lat. Inaczej zresztą być nie mogło, gdyż dwie z nich dotyczą Łodzi, trzecia — „Patrząc na warszawską Nike" (1972) drugiego rodzinnego miasta H. Dintera. Ujawniają się w niej najgłębsze przejawy uczuciowych więzi ze stolicą i z jej dramatycznymi dziejami w latach wojny i okupacji splatającymi się z biografią pisarza. Dwie inne książki: „Dzieje wielkiej kariery" (1965) i „Spod czarnych dymów" (1978) w biografii tej znajdują istotny imperatyw badawczy. Kto sięgnie po te książki, zetknie się nie tylko z faktami i wybornym piórem, ale pozna też rękę i serce nauczyciela. W burzliwych dziejach miasta zaznaczył tak znamienny splot spraw, jakimi są rewolucyjne ruchy proletariatu z towarzyszącymi im faktami kształtowania się łódzkiej oświaty. To właśnie w Łodzi nauczycielstwo przyczyniło się do objęcia powszechnym nauczaniem dzieci proletariuszy. To piękna karta łódzkiej szkoły i nauczyciela. I uzasadniony powód do dumy.

MICHAŁ S. DALECKI

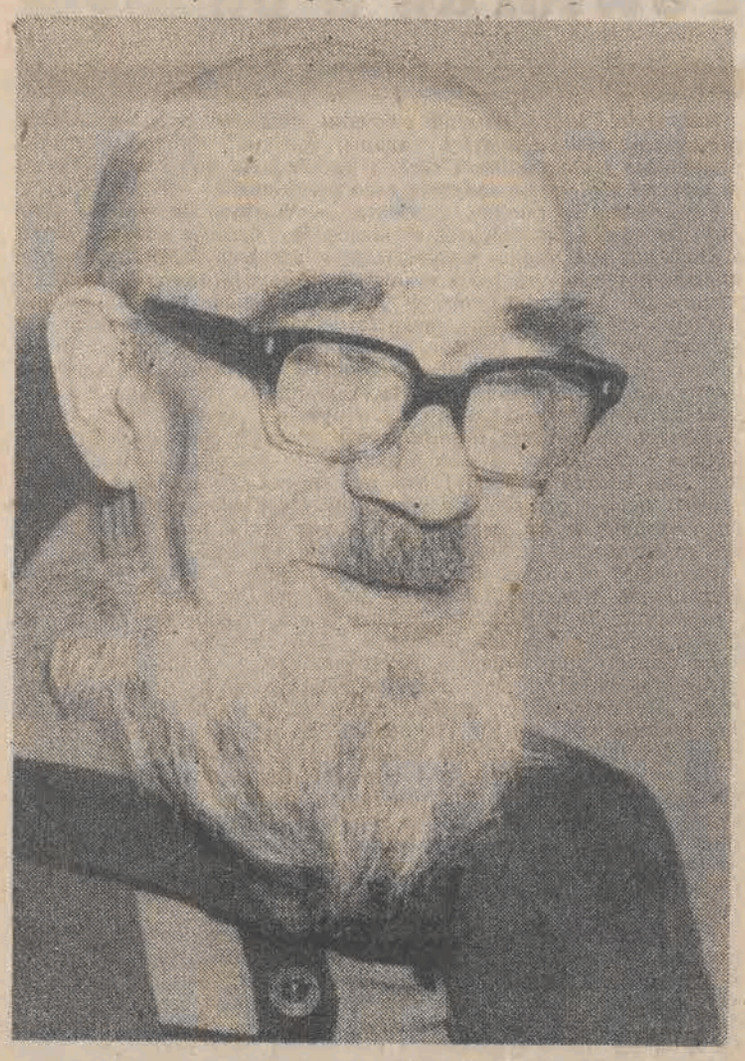

Foto: Grzegorz Gałasiński

Kultura jest jedna

ze str. 1

— Panie Janie, pragnąłbym rozszyfrować pseudonim, pod jakim ukazywały się Pańskie wiersze. Dlaczego Jan Olechno? Czyżby Jan Huszcza brzmiało gorzej?

— Właściwie to nie jest pseudonim. Jest to pierwszy człon naszego rodowego nazwiska. A że w owym czasie żyliśmy raczej skromnie, podwójne nazwisko wywoływało u mnie „śmiech pusty" Stąd w druku był Jan Olechno, a nie Jan Olechno-Huszcza.

— Nasza rozmowa byłaby niepełna, gdybyśmy nie wspomnieli o dwutygodniku „Poprostu", z którym Pan był przecież związany.

— Był to dwutygodnik lewicowy (pisany łącznie „Poprostu", na co uczulam korektę). W podtytule nosił nazwę dwutygodnika literacko-społecznego. Ja przez jakiś okres czasu byłem członkiem kolegium redakcyjnego, ale niczym szczególnym nie wyróżniłem się. Zajmowałem się poradnictwem literackim, bowiem redakcja prowadziła tak zwaną skrzynkę na listy. Razem ze mną zajmowali się tym Jerzy Putrament, Anatol Mikułko i Aleksander Rymkiewicz. Dostawaliśmy po prostu przydział korespondencji do załatwienia, czyli mówiąc dokładniej, zajmowaliśmy się nadsyłanymi tekstami literackimi.

Po tym, jak „Poprostu" przestało się ukazywać, pojawił się tygodnik „Karta", ale jego żywot był bardzo krótki, ukazały się bodaj dwa czy trzy numery.

— Dziś przeglądając pożółkłe stronice „Poprostu" znajdujemy wiele nazwisk ludzi, którzy na stałe weszli do naszej kultury, mieli poważny wpływ na politykę powojennej Polski, odegrali ważną rolę w rozwoju nauki. Czy pamięta Pan ich wszystkich?

— Czy wszystkich, nie wiem. Już zaczyna zawodzić czasami pamięć. Wszystko odlegleje... Postaram się jednak wymienić bodaj tych najważniejszych. A więc: Teodor Bujnicki, Tadeusz Byrski, Stanisław Czernik, Zofia Dembińska — po wojnie wraz z Jerzym Borejszą współtwórczyni „Czytelnika", Stanisław Ryszard Dobrowolski, Kazimierz Andrzej Jaworski, Anna Jędrychowska — żona Stefana Jędrychowskiego, Stefan Jędrychowski, Rafał Len, Anatol Mikułko — założyciel „Dziennika Łódzkiego", Antoni Olcha dr Jerzy Orda, Leon Pasternak, Lech Piwowar, Jerzy Putrament, Wojciech Skuza, Maksym Tank — jego wiersze drukowaliśmy w oryginale łacinką, Jerzy Zagórski, Maria Żeromska, ale chyba nie mająca koligacji z wielkim Stefanem Żeromskim, Ignacy Fik... Sporo tego, prawda?

Dla mnie „Poprostu" łączy się z jeszcze jednym ważnym wydarzeniem z osobistego życia. Oto 7 grudnia 1935 roku na jego łamach zamieściłem oświadczenie następującej treści: „Do redakcji pisma „Poprostu" w Wilnie. Zgłaszam swoje przystąpienie do jednolitego frontu pisarzy lewicowych w Polsce. Jan Huszcza (Jan Olechno)".

Szczególną rolę odegrał w życiu lewicy akademickiej i „Poprostu" znakomity publicysta i działacz, uroczy człowiek Henryk Dembiński zamordowany na Kresach przez Niemców. Zresztą wydano książkę jemu poświęconą. Jest też monografia „Poprostu" i „Karty" wydana w Ossolineum.

— Wkrótce wybuchła wojna. Tragedia niepodległego dotąd kraju i narodu stała się także i Pańskim udziałem. Jak wielu Polaków zamieszkujących tereny wschodnie także i Pan znalazł się w Kazachstanie. Był Pan młodym mężczyzną, dwudziestodwuletnim, zdolnym do noszenia broni. Ale dopiero formowanie się I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki w lasach nad Oką spowodowało, że włożył Pan mundur żołnierski. Dlaczego?

— Miałem kategorię wojskowa, która zwalniała mnie od służby. Bardzo nad tym ubolewałem. A kiedy dowiedziałem się, że powstaje Wojsko Polskie, postanowiłem, że tym razem nie dam się żadnej komisji lekarskiej. I niejako przemocą wdarłem się do wojska. Trafiłem do III Dywizji. Byłem tam od stycznia do kwietnia. Później wysłano mnie do Moskwy, gdzie zostałem adiustatorem tekstów w „Nowych Widnokręgach". Był to dwutygodnik i jak sama nazwa wskazuje ukazywał się raz na miesiąc. Było to pismo społeczno-literackie, a jego opiekunem był Jerzy Borejsza. Pismo, obok „Wolnej Polski" było organem Związku Patriotów Polskich.

— I tak oto dochodzimy do momentu, kiedy na ziemi polskiej pojawiły się piastowskie orły. Pan także uczestniczył w tym historycznym zdarzeniu...

— No, niezupełnie. W Chełmie Lubelskim znalazłem się pod koniec lipca 1944 roku. Naszym szefem był Jerzy Borejsza. Właśnie wtedy przystąpiliśmy do wydawania codziennego pisma, czyli zwyczajnie gazety noszącej nazwę „Rzeczypospolitej". Pracowali w niej m.in. Józef Giebułtowicz, Zofia Bystrzycka, Anatol Mikułko, Ignacy Witz a redaktorem naczelnym był Jerzy Borejsza. Nie chcę na ten temat specjalnie się rozwodzić, bowiem czasy te są dość dokładnie opisane w książce Ireneusza J. Kamińskiego pod tytułem „Kwiat na ruinie". Ja też często w niej występuję.

— Po Lublinie była Łódź, miasto, z którym związał się Pan na dobre i na złe. I jakbyśmy dziś nie oceniali Pana twórczości sprzed wojny, prawda będzie taka, że to właśnie tu, w Łodzi napisał Pan najwięcej książek, że w tym „nie kochanym" mieście w pełni rozwinął się Pański talent...

— Najpierw przeniósł się tutaj Anatol Mikułko, który dość szybko wciągnął mnie do „Dziennika Łódzkiego". Był to rok 1947. Jako przyczynek do swojej biografii chcę powiedzieć, iż etat w „Dzienniku Łódzkim" był ostatnim etatem, czy jak to się dawniej mówiło, ostatnią moją posadą. Od tamtego czasu żyję „z pióra". Nie muszę dodawać, że niekiedy było mi bardzo trudno lub wręcz ciężko. Poratowania szukałem w Warszawie i w bliskim mi Olsztynie.

Wie pan, przeżywałem w moim życiu różne okresy, ale z największym sentymentem wspominam okres wileński i grupkę kolegów z tamtych lat. Z ciepłem myślę także o czasach lubelskich i o pierwszych latach na łódzkim bruku. O tym, co było później wolę nie wspominać, co nie znaczy, że było tylko źle.

Jak pan widzi znałem niemal wszystkich wielkich naszej powojennej literatury, którzy tu osiedlili się po wojnie. Ale wszystko to zostało już dokładnie opisane przez innych.

Przy okazji: protestuję przeciwko używaniu określeń: poeta łódzki, prozaik łódzki. To absurd. Kultura jest jedna i niepodzielna. Przecież nie ma kultury łódzkiej, krakowskiej czy warszawskiej, jest kultura polska!

— Powiedziałem, że w Łodzi powstały Pana najlepsze książki, w każdym razie napisał Pan tutaj ich większość. Jak więc przedstawia się „temat łódzki" w Pańskiej twórczości?

— Jest skromny. Zaledwie kilka wierszy, z których do dwóch jestem przywiązany. Jeden zaczyna się słowami „w mieście rodzinnym mojego syna", drugi jest o wyzwoleniu Łodzi. Byłbym zapomniał! Nakładem Muzeum Historii Miasta Łodzi, z inicjatywy dyrektora Antoniego Szrama wyszedł w 1983 roku album zawierający urocze zdjęcia dawnych łódzkich studzien. Otóż do tych zdjęć napisałem tekst „Panna Studzianna". Niektórzy nazywają to poematem, ja zaś poemacikiem. Niech „Panna Studzianna" nadal czuwa nad wodami Łodzi i okolic.

— Panie Janie, Dostojny Jubilacie, proszę więc przyjąć od redakcji „Odgłosów" i ode mnie życzenia wielu nowych, wspaniałych wierszy i ciętej satyry.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

Jan Huszcza

Podczas pogody

Na wzgórzach suchych ballady, szumy wiatr układa,
w trawę cieniem wtulają się grusze.
We mnie biją zapachów grady —
grzęznę w jabłonkowych pióropuszach.

Rzewną czułością gałęzi podchodzą klony.
Dom, stary dom
spokojnie dogasa w ciepłym blasku drzew pochylonych.
Słoneczne dziewczęta rozsypują włosy
śpiewem, sielanką.
Nogi bose
dzwonią o schody spróchniałych ganków.

Nocą, zatrzepocze się księżyc w jedwabiu lipowym,
wzejdzie na stawach srebrną muzyką —
A nad polami długo będzie kołować,
warkoczom brzóz umykać.

Białonogie jabłonie
z gruszami pobiegną zamieniać pierścionki,
potoczą się kleistą wonią
topolowe pąki.

Ludzie, wozy, konie
drogami w pył po wielkość, po bujne plony,
tu —
sady zielone.

(Wiersz otwarcia z tomiku „Ballada o podróżnych", Wilno 1938)

Do przyjaciela Białorusina

Powracaliśmy do wsi.

Po zimnym niebie obłoki sunęły dojrzałe,
październik brzóz rude świece zapalił —
łysych wzgórz pilnowały,
gdy polami biegł cały w czerwonej chwale.

Stygło milczenie ruczajów.
Szliśmy ścieżkami wśród płotów,
staw kałużami łąki na blaski brązowe pogasłe krajał,
nogi nasze chwytało uparte błoto.

Noc grzbiety bezbronne chat zanurzyła we mgle.
Żaden krzyk snu nie przerywał,
ciszy chat ciemnych puste wtórowały obory.

Pokazałeś mi oczy swoje od mgły mokrej siwe
szeptem:
„Białoruś, moja Białoruś!"

(Dwutygodnik „POPROSTU", Wilno 1935, nr 8).

Wigilia

Na stół pusty popatrzyli,
nieobecnych policzyli —
potem długo w noc mówili
o choince, o Wigilii.

(Kazachstan, 26.XII.1942)

Pieśń o Rzeczypospolitej

I

Zaczynał ospę złotą liściom szczepić wrzesień,
gdy czołgom na zniszczenie życie swe ponieśli.
Patrz, chorąży zdziwiony w sztandar się zatulił,
żal go nago nagle powalił czy zbłąkana kula,
cienie wierzby przydrożnej padły mu na oczy
może domem i gruszą lub może warkoczem...
Wyniosła a bezbronna! Potem wciąż martwiały
we krwi lepkiej nurzane okrzyki i ciała!
Jeszcze jedna wichura w ciebie uderzyła,
ziemio wieżyc kościelnych, rzek grających tiem,
ziemio zmierzchów lipcowych, bzów i domów siwych,
Rzeczpospolito nasza...

Pustoszały niwy,
dymy biegły na przełaj. Na spotkanie krajom,
obcym wodom i lasom, gdzieś na dróg rozstaje
rozbiegli się synowie. Ci, co zostawali,
z tamtymi razem broni wierność przysięgali,
szabli jasno świecącej z dna rzeki mulistej
dotykał zawsze chętnie pocałunek czysty.
I nie dla nut, dla smyczków, nie dla skrzypiec, szlochu
brwi czarne młody żegnał, brwi, które tak kochał.

II

Odwilż w lasach rosyjskich, błysk ciemny jałowca,
jak poranek śnieg siny pod stopą wędrowca,
a ten, zdziwiony, czuło w szumy zasłuchany:
w trzydziestym którymś roku tak wczesna Wielkanoc
brzegom Wisły szumiała. Może to tym szumom,
nad dachem może srebrnym białych brzóz zadumom —
poeto, czy odpowiesz — życie swe dawali,
bez trwogi śmierć witając.

Ty, trwająca dalej,
w smudze lasów sosnowych, wśród lip i jesionów
mięty wonią wieczorną, mgłami zamyślona
lub polami idąca przez rzekę czy ruczaj,
wyuczona na pamięć, dlaczego w snach huczysz,
dopędzasz synów wszędzie, chociaż z mapy starta?
Gdzie jedno serce bije, tam jest Bug i Warta,
gdzie w polskim ręku granat, tam bez przerwy wolna,
w czyn i mowę zaklęta, ziemio żyjesz polna,
któraś pieśnią jedyną, czarnych nocy łuną,
modlitwą i rozkazem, różą i piołunem.

(Nad Oką, 3 DP, luty 1944)

Księżyc kazachstański

Za boru brzeg wieczór słońce prowadzi,
choć dyszy upałem step rudordzawy.
Zwaliliśmy wiele pni ciężkich za dzień:
chleb nikły wydadzą, wodę miast kawy.

Szeptami, pierzem cichnie ognisko.
Dopalić ogarek, lec na kapotę —
i można by usnąć, gdyby to wszystko...
Mży księżyc, w gałęzie wpisany złotem.

Ach, księżyc ten ujrzeć teraz nad Dźwiną,
opluskać trzcinami ręce i wiosła —
u wierzb doczekać się ciebie i płynąć
jak wtedy, gdy młodość wśród sadów rosła!

Ramadan, 9.IX.1940
(Twórczość, styczeń 1957)

☆ ★ ☆

Możemy pić aż do rana
Możemy chichotać
aż po rękojeść noża

Możemy oszukiwać się wzajem
przestawiając nakazy
i zakazy
z uporem błędy powtarzając

Malowniczy kraj
i wcale nie biedny
choć między brzozami
tyle ciemnych snów
Rozległa przeszłość
pochrzęst śniegu i broni
czasem srebrniki na dłoni
łoże i rózgi słów

Zawsze ktoś ocali naszą godność

I rocznie
będziemy mieli
do wyboru

(Od starorzecza. Wyd. Łódzkie 1978)

Ballada o emerycie

Dom znów drewniany, dalie przed oknami,
hojna młodości, módl się ty za nami!

Zbyt drobne troski, by z nimi do Boga,
jeszcze największa nie nadeszła trwoga.

Może spaść nagle jak grad w środku lata:
już Furty szukać, żeby zakołatać!

Jeszcze na polach wrzeszcz ozimina,
ciasto w bochenkach rosnąć też zaczyna,

z krzepkiej maślnicy masło jak zapusty,
oselki w liściach chrzanu lub kapusty!

Te wasze jabłka w siatkach z sztucznej przędzy!
Proszę, kalwile.. Bierzcie bez pieniędzy!

Co niesie przyszłość, młodzi niech się trwożą,
żyjąc przykładniej, a z pomocą bożą,

siebie szukając także i w przeszłości,
w myśli krytycznej, drwiącej z uległości!

Zima za pasem, trza robić zapasy,
warto uwędzić szynek i kiełbasy!

Dziki co prawda gdzieś w mazurskich borach,
lecz wiersz i z nimi łatwo się upora!

Hej, zapas rymów zgromadzić na zimę,
wilgotne drewka podsyci się rymem!

Rymy jak sanie, koń jak rymowany,
wista przez bory i białe polany!

Krótka przygoda, rzewne wspominanie:
koń był prawdziwy, a sanie? Ach, sanie!

Zwykle rozwalnie, nie okute płozy,
w zaspie ugrzęzły, nigdzie nie dowiozły!

Z półki recenzenta

BIOGRAFIA REMBRANDTA

Zapewne nie jest łatwo pisać historię życia innego człowieka, a co dopiero, jeśli jest to człowiek wybitny lub genialny. Dlatego z pełnym uznaniem należy odnieść się do pracy Jerzego Cepika noszącej tytuł „Samotny o zmierzchu", a traktującej o życiu Rembrandta van Rijn. W zakończeniu autor pisze: „Malarstwo było dla Rembrandta badaniem i sposobem opisywania świata w jego kształcie fizycznym, a więc zewnętrznym, i duchowym jakim jest kosmos myśli artysty, przenikających świat i dusze ludzi, duszę natury"

Całość jest bogato ilustrowana reprodukcjami dzieł Rembrandta.

Jerzy Cepik: Samotny o zmierzchu. Wyd. Śląsk 1985. Str. 298. Cena 320 zł.

LOCHY WATYKANU

Ta książka nie będzie długo leżeć na ladach księgarskich. „Lochy Watykanu" są bowiem tą powieścią, której kolejne wznowienie znika natychmiast. André Gide na stałe zadomowił się w świadomości polskiego czytelnika, a „Lochy Watykanu" ze względu na swoją wręcz sensacyjno-kryminalną fabułę przyciągają uwagę nie tylko znawców i smakoszy dobrej literatury. Gide wyznawał filozofię, że każdej jednostce została dana nieograniczona wolność i dlatego każdy człowiek winien zawsze być wierny własnemu ja. Świat, przyszłość należą do ludzi nieulegiych. Książka, którą rekomenduję, potwierdza tę jego filozoficzną wykładnię.

Przełożył Tadeusz Żeleński-Boy.

André Gide: Lochy Watykanu. WL 1985. Str. 168. Cena 160 zł.

ANEKS DO HISTORII NAJNOWSZEJ

To już trzecie wydanie tej dobrze napisanej książki. Mówię o „Przechodniu powiedz Polsce..." M. Łozińskiego, uczestnika walk wraz z 2 Korpusem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Właściwie są to zbeletryzowane wspomnienia rozpoczynające się formowaniem pierwszych oddziałów polskich na Uralu i obejmujących długą drogę przez Iran, Palestynę, Aden, Irak, Egipt, aż po Monte Cassino. Czy była to słuszna droga? Na to pytanie odpowiedzieli historycy. Jedno jest pewne: nie była to droga najkrótsza do Polski.

Książka jest bogato ilustrowana fotografiami z okresu walk o Monte Cassino.

M. Łoziński: Przechodniu powiedz Polsce... WL 1985. Str. 374. Cena 260 zł.

KRONIKA RODU HOHENZOLLERNÓW

Ján Lenčo jest znany naszym czytelnikom z wydanych w Polsce książek: „Egipcjanka Nitokris" i „Rozpamiętywanie". Teraz ukazała się „Dydaktyczna kronika rodu Hohenzollernów" — zbiór wyśmienitych utworów miniaturowych, gdzie z reguły zostaje rozwinięty jakiś problem, często niezwykle ważny z punktu widzenia moralności i etyki, by w ostateczności rzecz zakończyć pointą będącą przesłaniem, nauką, a czasem zwyczajnym przypomnieniem o obowiązku wobec innego człowieka.

Przełożyła Zofia Bik.

Ján Lenčo: Dydaktyczna kronika rodu Hohenzollernów. WL 1985. Str. 226. Cena 150 zł.

APOPHTHEGMATA

Jakub Zdzisław Cichański wykonał rzetelną pracę: wybrał, opatrzył wstępem i przypisami tzw. „złote myśli" z dzieł Mikołaja Reja, Łukasza Górnickiego, Jana Dymitra Solikowskiego, Anzelma Gostomskiego, Jakuba Sieleneichera oraz autora anonimowego. W sumie wyszła ciekawa książeczka, gdzie można znaleźć rozważania o godziwości, o cnotach obywatelskich, o poszanowaniu prawa i obyczajów. Bo jak zostało napisane: „...wolność tylko ta wolnością ma być zwana, której rozum, nie zmysły ani pochoci (jeśli affekty tak zwać mamy) panują". Otóż to.

Apophthegmata. LSW 1985. Str. 78. Cena 60 zł.

REHABILITACJA

Tę książkę polecam szczególnej uwadze Czytelników. Otrzymaliśmy napisaną ze swadą i talentem rzecz dość szczególną: powieść, której akcja toczy się w latach pięćdziesiątych, a jednocześnie ma ona swoje moralne i ludzkie odniesienia niemal do całej naszej powojennej historii. Rzecz dzieje się bowiem — sugeruje to akcja — w urzędzie zajmującym się sprawami bezpieczeństwa wewnętrznego, na posiedzeniu egzekutywy i dotyczy rehabilitacji człowieka, którego obecni na naradzie niegdyś skazali wiedząc, że jest niewinny. Chodzi o to, czy zrehabilitować człowieka, który kiedyś nie wykonał rozkazu zalecającego mu dokonanie prowokacji. A jak się skończyło to posiedzenie egzekutywy, niech Czytelnik przekona się sam sięgając do tej ciekawej książki.

Kazimierz Koźniewski: Rehabilitacja. WL 1985. Str. 156. Cena 120 zł.

Geniusz i styl...

Twórczość dramatyczną we współczesnej Szwecji uprawiają powieściopisarze i poeci, wśród nich, zresztą znany prozaik **Per Olov Enquist**, znany nam już ze sztuki na tle życia Strindberga „Noc trybad", przyjmowanej wszędzie z wielkim zainteresowaniem. Po kilku latach Teatr im. Jaracza znów sięgnął po sztukę Enquista, zatytułowaną w pierwotnym polskim przekładzie „Z życia dżdżownic", a obecnie „Z życia glist", chyba bardziej trafnie, jeżeli tytuł ma budzić niemiłe skojarzenia.

Na czas akcji sztuki wskazywałby podtytuł „Obraz rodziny z 1836 r.", a ta czasowa precyzja przydaje wiarygodności pewnemu drastycznemu wydarzeniu, które miało się przytrafić jednej z postaci. Bo właśnie bohaterami sztuki są postacie historyczne, odgrywające rolę w życiu kulturalnym Danii: baśniopisarz o nieprzemijającej sławie, Hans Christian Andersen oraz niezwykle wpływowi reprezentanci środowiska artystycznego Kopenhagi, małżonkowie Heiberg. On, Johann Ludvig, autor komedii i wodewilów, ceniony krytyk i prawodawca dobrego smaku, zbieżnego z wymaganiami sfer dworskich. Ona, Johanne Luise, najsłynniejsza aktorka ówczesnej Europy, ale również wzięta powieściopisarka.

Zastanawiająca wydaje mi się ta fascynacja Enquista jako autora postaciami historycznymi, w szczególności wybitnymi ludźmi ze świata sztuki, jakby właśnie w ich osobowości można było wyczytać jeszcze jakąś tajemnicę, poza tajemniczym zawsze związkiem sztuki i życia. To już zresztą wystarczający impuls dla autora, ale jednak zdawać by się mogło, że taki wybór bohaterów musi ograniczać w jakiejś mierze swobodę autora w układaniu fabuły, a nawet w psychologicznej interpretacji czynów bohaterów. Są oni własnością ogółu, który wprawdzie chętnie nadstawia ucha na plotki o nich, ale gotów też bywa do obrony swoich wyobrażeń. Zobaczmy jednak, co uzyskuje autor z udramatyzowania życia trojga autentycznych Duńczyków.

W sztuce ścierają się różne światy i różne postawy. Pozornie po jednej stronie znajdują się Heibergowie, pozostający w kręgu dworskiego establishmentu i znający reguły wielkoświatowej gry, z drugiej zaś ufny i spontaniczny, nadmiernie uczuciowy, wywodzący się z plebsu baśniopisarz. To jakby przeciwko niemu przyjmują wspólne pozycje obronne Heibergowie, a raczej Johann Ludvig zasłania się żoną jak tarczą przeciwko natrętnemu i wątpliwym manierom Andersena. Między małżonkami bowiem utrzymuje się coś z wzajemnego stosunku mistrza i uczennicy lub nawet — twórcy i jego utworu, gdyż Heiberg, jak Pigmalion, ukształtował w dostępnych mu granicach jeśli nie osobowość znacznie młodszej od siebie i mniej wykształconej kobiety, to przynajmniej pewien model jej zachowań wobec ludzi. Naiwnemu Andersenowi, który nie odczuwa z początku wewnętrznych napięć między małżonkami, jawią się oni (po fiasku apoteozy rodziny królewskiej), jako przykładna i czcigodna para.

Myślę, że nie bez wpływu na to pozorne przeciwstawienie jest wyznawanie (czy też oficjalne deklarowanie) przez Heibergów programu ideowo-artystycznego, opartego na przekonaniu o niewzruszalności kanonów sztuki jako „wiecznych wartości", których zrozumienie dostępne jest lepiej urodzonym i staranniej wykształconym gdy tymczasem twórczość Andersena, nasycona silnymi emocjami czerpie inspiracje z wątków ludowych, a więc „ulicznych".

Jest to niemal szkolna ilustracja (nieznanej oczywiście Enquistowi) rozprawki Kazimierza Brodzińskiego: „O klasyczności i romantyczności", ale, o dziwo, Heiberg zaliczany jest w historii literatury szwedzkiej do obozu romantyków.

Klasyczność czy romantyczność, to nie tylko wybór tematów i środków artystycznych to także — po jednej stronie umiar, powściągliwość i zachowanie „stylu", a po drugiej — prawo do rozwichrzenia, do wylewania łez bez umiaru, a także dążenie do miłości idealnej. Ale sztukę tę napisano nie w połowie ubiegłego wieku lecz parę lat temu i zaadresowano do widza, który nie ma złudzeń co do autentyczności romantycznych postaw, ogrywanych na jednej nucie ufnej naiwności, który wie, ile zakłamania i obłudy stosują ludzie i jak upiększają swój życiorys, by stworzyć sobie idealistyczno-romantyczne „image".

W sztuce Enquista takie na wskroś nowoczesne widzenie człowieka i uwarunkowań życiowych, reprezentuje jedynie Johanne Luise, obdarzona wnikliwością umysłu i zdolnością chłodnej, bezlitosnej introspekcji, czym góruje zarówno nad nienawykłym do takich analiz Andersenem, jak i nad Johannem Ludvigiem, osłaniającym się tarczą etykiety i opanowania. Tylko ona wie o tym, z jakim wysiłkiem i uporem ona sama, córka prześladowanej, żydowskiej handlarki czy też Andersen, syn pijaczki i prostytutki, której pozwolił umrzeć w przytułku, wyrwali się ze społecznych nizin i jak skrzętnie pozacierali kompromitujące ślady. Nie potrafią jednak wymazać z pamięci upokarzających okoliczności, stąd poszukiwanie „duszy bratniej", z którą można wspólnie się udręczyć i oczyścić, bo ona potrafi zrozumieć lub się wczuć. Można więc uznać, że podobieństwo losów wynikłe ze wspólnoty pochodzenia społecznego Johanny Luizy i Andersena bierze chwilami górę nad wspólnotą obecnych interesów i sytuacji społeczno-towarzyskiej małżonków Heiberg, zwłaszcza iż podobieństwo obejmuje stłumione (u Luizy) czy nie rozwinięte (u Andersena) pragnienie idealnej, czystej miłości.

Najtrudniejsze zadania aktorskie przypadają więc aktorce kreującej **Johannę Luizę**. W tej roli EWA MIROWSKA potrafiła artystycznie dozować „otwieranie się" postaci przed widzem, w miarę nawiązywania przez Luizę bliższego kontaktu wewnętrznego z Andersenem. Rozpoczęła grę tonem chłodnym, nieco oschłym, jakby znużona zdawkowością wymiany zdań z mężem, niesklonna też do zadawania sobie trudu, by przed nim udawać, obserwowaliśmy potem całą gamę reakcji aktorki na irytującą i żenującą elokwencje Andersena: zniecierpliwienie, to znów rozbawione zaciekawienie, na przemian wyraz niesmaku i zniechęcenia i przypływ ludzkiej serdeczności. Ze stonowanymi środkami wyrazu kontrastowały tym silniej momenty gwałtownego wybuchu, zapamietania się w zacietrzewieniu czy gniewie.

W znacznie bardziej jednoznacznie zarysowana postać **Andersena** wcielił się z powodzeniem STANISŁAW JASKUŁKA, oddając wyrazistością zmiennej mimiki prawdę wewnetrzną bohatera. Jakby niedookreśloną przez autora, dającą za to wieksza swobode aktorowi wydała mi się rola **Johanna Ludviga**, wykonana przez ZBIGNIEWA JÓZEFOWICZA. Jednego obdarza Bóg geniuszem, innemu daje styl" — mając na myśli obu mężczyzn powiedziała Johanna Luiza. Sądzę, że ważny w tej roli jest styl światowca, wytrawnego gracza i oportunisty, jakim musiał chyba być dyrektor teatrów królewskich w Kopenhadze, gdzie wiele, jak się wydaje — zależało od królewskiej konkubiny, osoby dość (według opinii Luizy) prymitywnej. W roli **Łysej** wystąpiła HALINA DOBRUCKA.

Czytając po przedstawieniu tekst sztuki w „Dialogu" miałem w pierwszym momencie za złe reżyserowi, że w końcowej partii sztuki zrezygnował ze sporego fragmentu opowiadanej przez Andersena baśni o królowej śniegu i z fragmentu dialogu Andersena z Luizą, uzasadniającego „odnalezienie się wzajemne tych obojga". Wydaje mi się jednak, że postąpił słusznie, ponieważ nie dałaby się chyba wybronić ta wzajemna egzaltacja („siostrzyczko, braciszku"), torująca nieuchronnie drogę silnej ekscytacji erotycznej, z czego Enquist najwidoczniej nie zdaje sobie sprawy i popada w ckliwość.

JERZY KWIECIŃSKI

Teatr im. Stefana Jaracza. Mała scena. Per Olov Enquist: „Z życia glist", przekład — Andrzej Krajewski-Bola. Reżyseria — Wojciech Szulczyński, scenografia — Anna Sekuła, opracowanie muzyczne — Piotr Hertel, ruch sceniczny — Janina Niesobska.

Premiera prasowa 5 października 1985 r.

Ewa Mirowska (Johanna Luiza) i Stanisław Jaskułka (Andersen)
Foto: Romuald Sakowicz

Kronika kulturalna

TRZYDZIEŚCI dwa kraje reprezentowało 105 artystów na **V Międzynarodowym Triennale Tkaniny**, eksponowanym w Centralnym Muzeum Włókiennictwa w Łodzi.

Jury nie przyznało złotego medalu „ze względu na ogólnie wyrównany poziom". Srebrnymi medalami podzieliły się: **Maria Chojnacka** za pracę „Diuny" i **Akio Hamatani** (Japonia) za „Biały łuk 6". Medale brązowe otrzymali: **Rebecca Medel** (USA), **Veerle Rougart** (Belgia), **Maisa Tikkanne** (Finlandia), **Teruyoshi Yoshida** (Japonia). Medal Centralnego Muzeum Włókiennictwa przyznano **Andrzejowi Rajchowi**.

Triennale towarzyszą interesujące imprezy — IV Ogólnopolska Wystawa Tkaniny Unikatowej, Ogólnopolska Wystawa Miniatury Tkackiej i wystawy indywidualne tkanin Jolanty Owidzkiej i Emilii Bohdziewicz-Winiarskiej. Eksponowana jest także wystawa artystów flamandzkich.

W ŁODZI odbyło się seminarium wydawców na temat współczesnej literatury radzieckiej. Udział wzięli przedstawiciele czterdziestu oficyn i goście — pisarze radzieccy (o seminarium poinformujemy szerzej — osobno).

POWAŻNYM sukcesem zakończyła się prezentacja **„Krakowiaków i Górali" Wojciecha Bogusławskiego**, w wykonaniu łódzkiego teatru lalek **„Pinokio"** na Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Lalek w Opolu. Zespół dosłownie został obsypany deszczem nagród: pierwszą nagrodę za reżyserię otrzymał **Wojciech Kobrzyński**, pierwszą nagrodę aktorską otrzymała **Maria Paprot**, cały zespół otrzymał zbiorową nagrodę aktorską. Ponadto nagrody specjalne przyznano **Markowi Jaszczakowi** za kierownictwo muzyczne i **Michałowi Dorosiowi** za przygotowanie wokalne zespołu.

Nie koniec na tym: ZASP ufundował dodatkowo dwie nagrody i 3 wyróżnienia.

INAUGURACJA DNI KULTURY ROBOTNICZEJ

IMPREZY z okazji 25-lecia **Klubu Młodych Pisarzy „Wiadukt"** efektownie zainaugurowały łódzkie **Dni Kultury Robotniczej**. I tak, w niedzielny dzień 20 października br., w salach Domu Kultury ŁZPB im. Obrońców Pokoju „Uniontex", organizatorzy zaproponowali: wystawę poświęconą 65-leciu upowszechniania kultury w tej placówce; seminarium w czasie którego mgr **Ewa Głębicka** mówiła o łódzkich grupach literackich w latach 1945—1985 a dr **Henryk Pustkowski** przedstawił programy i poetykę klubu „Wiadukt"; dyskusję o sytuacji młodych pisarzy zainicjowaną wypowiedzią **Stanisława Nawrockiego**, przewodniczącego Rady Krajowej Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy oraz na zakończenie Turniej Jednego Wiersza, którego zwycięzca został **Andrzej Krakowski**.

Kulminacyjnym momentem tego literackiego sympozjum było rozstrzygnięcie dorocznego, ogólnopolskiego konkursu o nagrodę **„Czółenka Tkackiego"**. Jury pod przewodnictwem **Jerzego Wawrzaka**, w składzie **Andrzej Adler, Kazimierz Arendt, Józef Gałecki, Grzegorz Gazda, Jerzy Jarmołowski, Henryk Pustkowski** przyznało następujące nagrody: w dziale poezji: I (Czółenko Tkackie) **Dariuszowi Muszerowi** (Strzelce Krajeńskie) za cykl wierszy „Dzieci krótszej nogi Syzyfa"; II — **Leszkowi Jaraczewskiemu** (Warszawa) za cykl „Dramatis personae"; III — **Mariuszowi Baryle** (Piotrków Tryb.) oraz dwa wyróżnienia dla **Marka W. Czuby** (Bydgoszcz) i **Andrzeja Jakuba Mularczyka** (Lubin). W dziale prozy jurorzy przyznali pięć równorzędnych wyróżnień dla **Janusza Bartlewicza** (Łódź), **Mirosława Osowskiego** (Stalowa Wola), **Lucjana Zuzi** (Kraków), **Jana Radzimowskiego** (Sandomierz) i **Tadeusza B. Adamskiego** (Gdańsk). Również w dwu pozostałych kategoriach jury ograniczyło swoje honory do wyróżnień. W dziale bajek dla dzieci uzyskali je: **Danuta Reder** (Mysłowice), **Zbigniew Borowski** (Piotrków Tryb.), **Grażyna Bąkiewicz** (Łódź), **Grażyna Kulesza-Szypulska** (Łomża) i **Andrzej Strak** (Łódź). W dziale reportażu tylko jedno wyróżnienie dla **Marka Brymora** (Kalisz) za wiersz — poetycki reportaż pt. „Jak powstało województwo kaliskie".

Wręczono też już po raz kolejny nagrodę im. Krzysztofa Wojtkiewicza za najlepszy, wydawniczy debiut poetycki łódzkiego środowiska. Tę nagrodę, o ustalonej już randze, przyznano w tym roku **Dariuszowi Wiśniewskiemu** za tom opublikowany przez Wydawnictwo Łódzkie pt. „Lazaret".

(GRZ.)

W RAMACH bogatego programu Łódzkich Dni Kultury Robotniczej odbyły się ponadto następujące imprezy:

— wieczór teatralny, przegląd amatorskich zespołów instrumentalno-wokalnych, spotkanie z okazji 40-lecia działalności ZDK ZPB im. Szymona Harnama, przegląd kapel folkloru miejskiego, przegląd dziecięcych zespołów artystycznych.

Z imprez pozaartystycznych na uwagę zasługuje seminarium poświęcone uczestnictwu w kulturze robotników łódzkich w latach osiemdziesiątych.

Chmury zasłaniają cztery słońca...

WASYL KOCZNOW

W roku bieżącym na wniosek UNESCO cały świat obchodzi 800-lecie „Słowa o wyprawie Igora" — znakomitego zabytku piśmiennictwa średniowiecznego, który od momentu odkrycia go pod koniec XVIII wieku wzbudzał niemałą sensację wśród historyków, lingwistów i literaturoznawców. Poemat uznano za genialny, choć nie brakło sceptyków, którzy powątpiewali w jego autentyczność. Przez cały wiek XIX wielokrotnie próbowano udowodnić, że poemat: musi być falsyfikatem, gdyż wysoki kunszt poetycki wydawał się niemożliwy i nieprawdopodobny dla okresu, w którym powstał. Jednak jego entuzjaści wzrastali zarówno liczebnie jak i intelektualnie, coraz więcej naukowo uzasadnionych argumentów świadczyło o autentyczności „Słowa o wyprawie Igora".

W ZSRR i za granicą ukazują się ciekawe monografie, interpretacje i nowe przekłady tego utworu. Badacze i translatorzy odkrywają w nim coraz to nowe problemy związane z językiem, mitologią i historią. Jeśli mielibyśmy do czynienia z „falsyfikatem", to tak czy owak — genialnym. Spór dotyczy okresu powstania poematu. Czy jednak było możliwe, by stworzył go któryś z poetów wieku XVIII? By stworzyć wiarygodny falsyfikat średniowiecznego piśmiennictwa trzeba posiadać niemałą kulturę literacką, doskonale znać język tamtej epoki, styl wypowiedzi, świetnie panować nad historią. Jak pod tym względem prezentuje się „Słowo o wyprawie Igora"?

Lingwistyka porównawcza zajmująca się między innymi interferencją językową na terenie Europy Wschodniej traktuje „Słowo..." jako źródło interesujących dociekań językowych, które znajdują potwierdzenie w badaniach historyków, etnografów i archeologów.

W ZSRR w związku z obchodami 800-lecia utworu wszystkie periodyki zamieszczają jubileuszowe publikacje, organizowane są sympozja i spotkania, w Jarosławiu, zabytkowym mieście nad Wołgą, gdzie „Słowo o wyprawie Igora" zostało odnalezione, otwarto muzeum tego dzieła. Poetycki opis wydarzeń w „Słowie..." już od dwu wieków znajduje swe odbicie w malarstwie, literaturze, w języku potocznym narodu rosyjskiego, stał się częścią jego zbiorowej świadomości. Gdyby poemat mówił jedynie o klęsce Rusi w bitwie z Połowcami, to zainteresowanie nim dawno by zanikło, gdyż na temat walki z koczownikami napisano niemało utworów, o których dziś nikt już nie pamięta. Więc chyba nie jest najistotniejsze, kiedy „Słowo..." zostało napisane — w XII czy XVIII wieku — gdyż w każdym wypadku sięga ono daleko poza swoją epokę zarówno mistrzostwem poezji, jak i opisem zagadnień społeczno-politycznych, które zawiera.

Poemat o pograniczu rusko-połowieckim, o ścieraniu się Rusi i Pola (Stepu), o konflikcie dwóch przeciwstawnych systemów społecznych, osiadłego i koczowniczego, dwóch cywilizacji, o problemach wojny i pokoju między dwoma światami — pogańskim i chrześcijańskim. Treść poematu zawiera wiele elementów pogańskich, które odchodząc w głąb dziejów wypierane były przez chrześcijaństwo, aby w końcu stać się zupełnie niezrozumiałymi dla przeciętnego odbiorcy.

Czołowi poeci rosyjscy zdawali sobie sprawę z faktu, że nie do końca rozumieją „Słowo o wyprawie Igora". Nie podejmowali trudu translacji utworu na nowoczesny język ani Puszkin, ani Lermontow, ani inni „wielcy". Jedynie W. Żukowskij w XIX wieku i N. Zabołockij w XX, a także J. Tuwim po polsku i M. Rylski po ukraińsku dają w swych przekładach pewne wyobrażenie o tym dziele, choć i oni grzeszą nadmiernym „domyślaniem się" sensu poetyckich obrazów „Słowa..."

Myśl przewodnia utworu — wojna i pokój — w przekładach tych jest prawie niedostrzegalna, gdyż przede wszystkim zwrócono w nich uwagę na „wezwania do jedności" Wielkiego Księcia Kijowskiego Światosława, zaś pozostali książęta ruscy otrzymali charakterystykę dość subiektywną, daleką od tego, co naprawdę mówi o nich Światosław, a także sam autor „Słowa...".

Tłumacze nie zrozumieli wielu wyrazów i pojęć właściwych dla wieku XII. „Bez wyjaśnienia wszystkich niejasnych »miejsc« w „Słowie o wyprawie Igora", bez dogłębnego ich zrozumienia, — pisze turkolog, bałkarski poeta Ali Bajzuła w swej książce „Ruś i Pole", — nie można dokonać przekładu". A takich „niejasnych miejsc" jest w utworze sporo. „Słowo o wyprawie Igora" pełne jest idiomów, zarówno słowiańskich jak i „przekalkowanych" turkijskich. Poza tym występują w tekście wyrazy, które już w XII wieku były archaizmami. Nie bez znaczenia są również zmiany wątku narracji i liczne dygresje". Dodatkowym utrudnieniem jest zwartość tekstu w rękopisie, która nie pomaga w jego prawidłowym odczytaniu.

Wiele lat bezskutecznych poszukiwań lingwistycznych w językach słowiańskich zmusiło do odkrycia banalnej prawdy, że Połowcy-Kipczakowie (znani również jako Kumanowie) byli turkijskojęzycznym plemieniem. Dopiero teraz stawia się najprostsze pytania: czy to możliwe, aby naród mógł zniknąć bez śladu? Musiało przecież coś pozostać po Połowcach w obyczajach, języku ich potomków i sąsiadów. Przecież nawet Mongołowie, którzy dosięgli Europy w XIII wieku, już pod koniec XV wieku zostali wchłonięci przez Połowców. Złota Orda mówiła już po kipczacku, została zasymilowana, lecz ślad po niej pozostał.

O znakomitym zabytku piśmiennictwa więcej wypowiadano się pod kątem jego ewentualnej autentyczności, niż faktycznie badano jego język. Na szczęście wśród turkijskojęzycznych narodów Europy Wschodniej, wśród potomków Połowców-Kipczaków, wyrośli wybitni uczeni-slawiści, a z kolei Słowianie mają również kilku uznanych turkologów. Pierwsi, znając dobrze dwie kultury, dwa języki — ojczysty i rosyjski, są wręcz zafascynowani swoją przeszłością, tropią dawne obyczaje i wierzenia w folklorze, badają język. To właśnie oni wnieśli wiele nowego do nauki o staroruskim piśmiennictwie, a przede wszystkim o „Słowie...", gdyż zabytek ten bardziej niż inne ilustruje stosunki rusko-połowieckie. Z kolei słowiańscy turkolodzy zajmując się wschodnioeuropejską etnografią znaleźli ślady Połowców wśród kaukaskich Bałkarów i Karaczajów, wśród Karaimów i krymskich Tatarów. Ci ostatni zamieszkiwali niegdyś także polskie pogranicze, stąd również w języku polskim znaleźć można połowiecko-kipczackie słowa, jak: ułan, szabla, tłumacz, step, kozak (od połowieckiego chana Kzaka występującego w „Słowie") i inne. Wśród znanych turkologów znajduje się również Polak, prof. Zajączkowski i Rosjanin L. Gumilow — syn Anny Achmatowej i Nikołaja Gumilowa, który odkrył na Dolnym Powołżu wczesnośredniowieczną Chazarię i udowodnił połowieckie pochodzenie Bałkarów i Karaczajów na Kaukazie. Jest on także autorem książki o Mongołach „W poszukiwaniu carstwa prezbitera Johanna".

Jeśli istnieją potomkowie Połowców, ich język, wiara i obyczaje, winni oni pomóc w wytłumaczeniu „niejasnych miejsc" poematu.

A tymczasem wszystkie „niejasności" w poemacie interpretowane były i tłumaczone zupełnie dowolnie, każdy zaś tłumacz w najlepszej wierze uważał, że jego przekład jest najbardziej właściwy. Ali Bajzuła przytacza na to dziesiątki przykładów, jak choćby ten: „włożite mieczi w e r e ż n y" przełożono jako „włożite mieczi w nożny" (do pochew), podczas gdy „wereżny" — to turkizm i oznaczał on spłaszczone kółko umocowane z lewej strony skórzanego pasa, w które wkładano miecz. Takimi kółkami posługiwali się zwykli wojownicy i użycie tego wyrazu świadczy dowodnie, że Ruś zapożyczyła przedmiot wraz z nazwą. Miecze w pochwach nosili jedynie książęta i wyżsi dowódcy, widocznie zaopatrzenie w pochwy całej 50—100-tysięcznej armii było niemożliwe. Niewykluczone, że pochwa na miecz była również wyróżnikiem statusu społecznego i prości wojownicy nie mieli prawa jej nosić. Zgodnie z taką hipotezą Ali Bajzuła daje ciekawą, choć niewątpliwie kontrowersyjną etymologię słowa „kniaź" (kneź, książę). Tradycyjnie wyprowadza się je ze starogermańskiego „kuning" („koenig"). Bałkarczyk dopatruje się tutaj dwóch kipczackich słów: „kyn" — pochwa na miecz i „as" —wieszaj, tj. „kniaź" byłby tym, który przywiesza sobie pochwę na miecz, inaczej mówiąc, tym, kto nosi miecz w pochwie i wyróżnia się spośród innych wojowników. Być może mamy tu do czynienia z przypadkową zbieżnością fonetyczną, jednak staroruskie „koniaź", czy polskie „kneź" jest bliższe turkijskiemu „kynas" niż germańskiemu „koenig".

Turkolodzy dokonali nowego podziału wersów poematu i muszę powiedzieć, że ich propozycja faktycznie ułatwia zrozumienie ciągłości narracji, czyni ją bardziej logiczną, a przez to również bardziej poetycką. Mógłbym przytoczyć przykłady, lecz rozmiary tego artykułu dla „Odgłosów" powstrzymują moje pióro.

Step i Ruś przez długie wieki były dobrymi sąsiadami. Nie znajdowano podstaw do wrogości. Jedni i drudzy będąc poganami czcili Słońce jako naczelne bóstwo, a i pomniejsze bóstwa otaczali jednakim kultem. Pogranicze, jak wszędzie i zawsze, stanowiło mieszaninę narodowościową, społeczną i kulturową. Koczujące plemiona tu właśnie zaczynały wchodzić w związki handlowe i rodzinne z osiadłą Rusią, same zaczynały zapuszczać korzenie. Kroniki ruskie notują dziesiątki małżeństw między słowiańskimi kneziami, połowieckimi chanami.

Wrogość i nienawiść między Polem a Rusią rozpoczęła się zapewne w chwili przyjęcia przez Ruś chrześcijaństwa (988 r.). Wojny między nimi kroniki datują na początek XI wieku. Przyjęcie przez Ruś chrześcijaństwa było dla Połowców takim samym kataklizmem, jak dla Rusi przyjęcie przez Turkijczyków i Mongołów islamu. Małe, plemienne religie pogańskie jakoś umiały ze sobą współżyć, natomiast religie uniwersalne, kontynentalne, podobnie jak każde totalne ideologie nie potrafiły znaleźć ze sobą wspólnego języka.

W „Słowie o wyprawie Igora" opisany jest pewien etap tych wrogich już stosunków — 18-dniowa rusko-połowiecka wojna 1185 roku. Na czele wojsk ruskich stał książę Igor, którego przyjęto uważać za wielkiego patriotę i dzielnego rycerza. Ostatnio jednak postać ta poddawana jest surowej weryfikacji przez historyków. Borys Rybakow, członek Akademii Nauk ZSRR, który ma w swoim dorobku wiele prac poświęconych tej epoce, opublikował w sierpniowym numerze miesięcznika „Kommunist" esej dotyczący postaci księcia Igora. Polemizuje on ostro z innym uczonym Dymitrem Lichaczowem — apologetą postaci Igora.

Igor, jako syn Wielkiego Księcia Czernihowskiego Światosława, był drugorzędnym ruskim księciem tamtej epoki. Nie daje mu jednak spokoju sława ojca i dziada Olega, który za Władimira Monomacha, Wielkiego Księcia Kijowskiego, był sprawcą niejednej bratobójczej waśni i nawet z Połowcami zawierał sojusze przeciwko ruskim książętom. Igor jest próżny, marzy mu się sława przodków. Chciałby zostać Wielkim Księciem Kijowskim, lecz jak to zrobić? Rok wcześniej w 1184 roku Połowcy zostali pobici przez wojska ruskie pod wodzą Wielkiego Kijowskiego Światosława. Igor obmyśla następujący plan: ruszyć na osłabionych Połowców, zająć ziemie nad Donem, wziąć dużo jeńców i po powrocie obalić Światosława w Kijowie, siłą narzucić swą władzę pozostałym ruskim książętom. Igor dysponuje wojskiem swoim, swego brata Wsiewołoda, bratanka Światosława i własnego syna Władimira. Zebrawszy ogromne wojsko rusza ku połowieckim koczowiskom — „na tropę Turana". Gorzko się jednak przeliczył. „Słońce nagle zgasło i mrok drogę zasłonił", zrobiło się ciemno, jak w nocy. Zaćmienie słońca — to zły znak, lecz Igor nie rezygnuje, zwraca się do wojowników z płomienną mową i przekonuje ich, że trzeba iść „zaczerpnąć hełmem modrego Donu". W dalszych wydarzeniach udział bierze już nie tylko Słońce, lecz cała dosłownie przyroda: dziwnie skrzeczą kruki i wrony, wilki i lisy wyciem zwiastują nieszczęście — „wilki w jarach burzę przywołują, lisy wyją na ruskie tarcze czerwone". Jakiś mityczny Diw woła nocą z wierzchołka drzewa, każąc słuchać „nieznanej ziemi". Dalej w poemacie następuje opis, który sprawiał czytelnikom wiele trudności. Dopiero turkolodzy analizując bałkarskie ballady ludowe wyjaśnili niektóre totemy połowieckie występujące w utworze. Teraz już wiedząc, że zwierzęta i ptaki były totemami poszczególnych plemion i rodów połowieckich, możemy zrozumieć ten fragment poematu.

O występującym w poemacie mitycznym Diwie napisano już wiele prac, jest to jedno z najmniej zrozumiałych „miejsc" w utworze, a jednocześnie jedno z najbardziej poetyckich. Do tej pory słowo to kojarzono ze słowiańskim Dziwem, lecz jeśli przyjąć, że jest to turkizm, to Diw (lub Dyf) nie jest żadnym mitycznym ptakiem, który z wierzchołków drzew ostrzega Połowców przed nadejściem Rusi. Dyż to ognisko rozpalone w koronie drzewa wzywające do walki z wrogim wojskiem. Cóż za metafora! Ognisko upodobnione do strasznego ptaka, który łopocze płomieniami skrzydeł z wierzchołków drzew. Przez długie wieki na ziemiach połowieckich dyfy były systemem sygnalizacji, jak u Słowian — wici. Indianie amerykańscy rozpalali ogniska na wzgórzach. Na płaskiej ziemi połowieckiej takimi wzniesieniami były drzewa i kurhany. Z takiego rodzaju sygnalizacji korzystali aż do XX wieku bałkarscy pasterze owiec, gdy ostrzegali współbraci przed złodziejami.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Noc z 10 na 11 maja 1185 roku wojsko Igora spędza w stepie, a wokół nich w głąb stepu płoną dyfy. Groźne Pole Połowieckie ze wszystkich stron obserwuje swych wrogów. Od strony morza nadciąga burza, chmury błyskają piorunami. Pod osłoną nocy i burzy mkną ku wojskom ruskim ordy Kzaka i Kończaka. O świcie Ruś z trzech stron otoczona jest przez wrogów, a totemy na proporcach wskazują, że są to rody Żmii, Wrony, Orła, Lisa i Łabędzia. Wycofać się nie ma gdzie, za nimi — wielkie jezioro Torskie, trzeba podjąć walkę. „Już czarne chmury — czytamy w poemacie — próbują zasłonić cztery jasne słońca, drżą w chmurach błyskawice modre..." Opis ten traktowano jako metaforę, to ordy połowieckie rzucają się na Ruś dowodzoną przez czterech kneziów w złotej zbroi — cztery jasne słońca. Turkolodzy zaprzeczają, jakoby istniała tu jakakolwiek metafora. Igora otoczyły ordy dwóch chanów Kzaka i Kończaka: cztery słońca — to realne słońca wyszyte na dwóch bojowych sztandarach, po dwa słońca na każdym, w górnym i dolnym rogu. Wszystkie ordy połowieckie miały jednakowe sztandary bojowe — czarne prostokąty z czerwonym słońcem na górze i na dole, zaś proporce z totemami rodów miały kształt trójkątów, zakończonych jedwabną niebieską kitą, które na tle chmur błyszczały jak modre błyskawice...

Połowcy mieli dużo totemów, posiadały one magiczną moc, ochraniały przed nieszczęściem, dodawały siły witalnej całemu rodowi lub plemieniu. Wiarę wyznawali wspólną — byli tengrystami, tj. politeistami z głównym kultem boga Tengry (Słońca), podobnie zresztą jak pogańscy Słowianie.

Znawca historii, życia i kultury Bałkarów Ali Bajzuła znalazł jeszcze jeden dowód: w zbiorach bałkarskiego poety Saida Szachmurzy (1883—1975) on sam widział wspomniany połowiecki sztandar bojowy i proporce z wyszytymi totemami m.in. z totemem Bałkarów — Kawka. Orda „Kawek" była pokonana przez wojska Igora w przeddzień zasadniczej bitwy, o czym wspominałem wyżej.

Starcie z głównymi siłami Połowców, rozpoczęte 11 maja 1185 roku trwało dwie i pół doby. Walczono na śmierć i życie. Okropne sceny bitwy, opisane w utworze, porównywane są przez anonimowego autora do krwawej uczty. W południe trzeciego dnia poległ ostatni wojowie ruscy, z kneziów wzięto do niewoli. Jak notują kroniki zaledwie 15 ruskich wojów uszło z życiem z tej bitwy. Droga na Ruś stanęła otworem i ordy połowieckie wtargnęły do bezbronnych wsi i miasteczek.

Wielu historyków uważa tę bitwę za lokalne starcie między Rusią a Polem, które nie wpłynęło na ich dalsze losy. Poemat jak też i kroniki historyczne nic nie mówią o liczebności ruskich i połowieckich wojsk, zaznaczony jest tylko czas trwania bitwy i jej okrucieństwo. Wiadomo jednak, że na przykład w bitwie między Rusią a Złotą Ordą na Kulikowym Polu siły obydwu stron były ogromne, a trwała ona zaledwie kilkanaście godzin. Możemy więc domyślać się tylko, że wojska Igora jak i połowieckich chanów były bardzo liczne. Bitwa toczyła się na ogromnej przestrzeni, rozpoczęła się blisko Donu nad Torskimi jeziorami, a zakończyła nad Kajałą, jak Połowcy nazywali Dniepr. Cóż, jak nie ufność w zwycięstwo powiodło Igora na tę szaleńczą wyprawę? Uzasadnione jest przypuszczenie, że Igor idący na czele wielkiego wojska nie wątpił w zwycięstwo, jeśli wziął na wyprawę nawet 10-letniego syna Olega, oprócz dorosłego Władimira, a i brat jego Wsiewołod wyruszył z synem Światosławem. Jak wilki szli na polowanie ze swymi wilczętami — zwycięska wojna dawała bogate trofea i niezliczoną ilość jeńców, którzy byli cennym towarem wymiennym i darmową siłą roboczą.

Jakim więc człowiekiem był Igor? Wielkim patriotą walczącym z wrogiem ojczyzny czy też zwyczajnym prowincjonalnym księciem, próżnym, żądnym władzy i bogactwa? Przed wyprawą złupił miasto Glebow, należące do sąsiedniego ruskiego księstwa. Jeśli uważnie i bez ubarwiających intencji czyta się ten genialny utwór, to można dostrzec, że jego autor bardzo krytycznie ocenia księcia Igora, jako okrutnego i podstępnego władcę. Taki sąd podziela wielu czytelników.

Połowcy ruszają palić i grabić Ruś, kierując się na północny wschód, niszczą całkowicie Księstwo Połockie.

Wezwanie do zjednoczenia sił przeciw Połowcom, tak mocno akcentowane przez wszystkich tłumaczy poematu, można rozumieć jako chęć uświadomienia bojarom, że ich walka z Polem dopóty nie będzie skuteczna, dopóki będą działać w pojedynkę, gdyż bez pomocy pozostałych księstw nawet Kijów nie ma szans na uratowanie Rusi. Turkolodzy uważają, że tłumacze-slawiści po prostu nie rozumieją podtekstu mowy Światosława. Nie biorą pod uwagę, że inne wydarzenia opisane w utworze przeczą takiej interpretacji. Światosław jako nadrzędny władca przedstawia Radzie ocenę sytuacji i choć zgodnie ze sztuką dyplomacji nie mówi formalnie o konieczności zawarcia natychmiastowego pokoju z Polem, to faktycznie jego ocena narzuca ten wniosek jako jedyny z możliwych. Rada zdaje sobie sprawę, że jakakolwiek centralizacja istniejących księstw dzielnicowych nie jest możliwa. Przyjęcie tej hipotezy pozwala również założyć, że między Światosławem a chanem Kończakiem mogły już trwać jakieś pertraktacje co do przyszłego pokoju, mogły być stawiane jakieś warunki.

Autor poematu ani jednym słowem nie wspomina, czy Światosław w ślad za swym płomiennym wezwaniem do walki organizuje jakąś wyprawę, by pomścić klęskę Igora i oddalić niebezpieczeństwo zawisłe nad Rusią. Za to szczegółowo opisuje ucieczkę Igora z niewoli połowieckiej. Co dziwniejsze, totemy połowieckie tak uprzednio wrogie wobec Igora, a więc Kawki, Wrony, Łabędzie itd. nagle stają się mu przyjazne i pomagają w ucieczce. Autor wprawdzie mówi, że chanowie Kzak i Kończak ruszają za nim w pogoń, lecz niczego nie osiągają wskutek działań owych totemów (poszczególnych rodów połowieckich), które go ukrywają.

Prawdopodobnie były to rody bezpośrednio sąsiadujące z Rusią, którym zależało na utrzymaniu z nią dobrych stosunków, mogły więc prowadzić własną politykę. Jeśli kroniki odnotowują nawet tak drobny fakt, jak obietnica Księcia Jarosława Czernihowskiego, że okaże Igorowi pomoc, to przecież nie przemilczałyby dużo większego wydarzenia, tj. gdyby Światosław i jego brat Ruryk taką pomoc rzeczywiście mu okazali. Znaczyłoby to, że Światosław nie miał żadnej ochoty pomagać Igorowi, dążącemu do zawładnięcia stołecznym Kijowem. Mógł się tylko cieszyć z jego pohańbienia. Teraz potrzebował pokoju z Polem. A Chanowie? Oni mają za sobą spalone i złupione ziemie ruskie, ale mają również rozproszone i pozbawione bojowego ducha ordy. Zebrać je teraz jesienią, gdy marzą o powrocie na swoje koczowiska i wydać decydującą bitwę Rusi wydaje się niemożliwe. Trzeba więc pozwolić uciec Igorowi, pozbawić Ruś pretekstu do nowej wyprawy, trzeba zawrzeć pokój. I przypieczętowaniem tej myśli jest opisany w poemacie ślub syna Igora, Władimira z córką chana Kończaka. Związki małżeńskie między panującymi były najlepszą gwarancją zachowania pokoju. Tak odczytuję główną myśl poematu. Ziemie ruskie i połowieckie bardzo ucierpiały wskutek wojny 1184—1185 roku, trzeba się było opamiętać, załagodzić konflikty, skończyć z przelewem krwi.

Pozostaje i pozostanie zagadką, kim był jego anonimowy autor. Turkolodzy oczywiście uważają, że mógł to być nawet jakiś osiadły na Rusi Połowiec, których Pole nazywało „szereszyrami" tj., zdrajcami, a książę Wsiewołod nawet „żywymi szereszyrami strzelał". Bez względu na to, czy był nim Stepowiec, czy Rusin jedno jest niewątpliwe — zrodziło go pogranicze, któremu drogi był pokój.

(fragment większej całości)

Polemiki • Listy • Opinie

GDY CZYTAM P. PEIKERTA „KRONIKĘ DNI OBLĘŻENIA"

Mają rację recenzenci „Kroniki dni oblężenia" Paula Peikerta, proboszcza parafii św. Maurycego we Wrocławiu (Zakład im. Ossolińskich, wyd. 1984 r.). Zarówno J. Tycner w artykule „Niewygodny Świadek", „Prawo i Życie" nr 26/85 jak i Tomasz Sas w „Syndromie oblężonej twierdzy", „Odgłosy" z 10.08.85 r. zgodnie podkreślają unikalny charakter tych wspomnień, które dla tej części opinii zachodnioniemieckiej, jaka z łezką w oku wspomina dawne czasy — są po prostu niewygodne. Peikert nie owijając w bawełnę pisze o nieludzkim traktowaniu przez władze hitlerowskie własnych obywateli, o nieliczeniu się z nikim i niczym w imię haseł wielkoniemieckiej Rzeszy, serwowanych zgodnie z obłędnymi założeniami Fuehrera przez licznych jego, do końca wiernych popleczników. O bezmyślnym niszczeniu dóbr kultury i materialnych, o tragediach zwykłych ludzi — w imię skazanej na klęskę ideologii.

Musi to być tym bardziej niewygodne dla panów Hupki i Czai, mówiących za przyzwoleniem władz na rozmaitych zlotach i zjazdach o „martyrologii milionów wypędzonych z Ojczyzny". „Kronika" jest dokumentem, którego warstwy faktograficznej nikt nie zakwestionuje. Można ją co najwyżej przemilczać.

I do tego momentu zgadzam się z recenzentami.

Przyznam się jednak, że — nie umniejszając wagi tego dokumentu — odczytuję w nim jeszcze inne treści. Treści świadczące o tym, do jakiego stopnia społeczeństwo Niemiec było wówczas zatrute określonymi pojęciami, bądź nieświadome tego, co się w tych latach działo. Nie dla wykazywania Peikerta złej woli (bo jej na pewno nie było) posłużę się niektórymi cytatami, opatrując je tylko czasem komentarzem. Niech mówią same za siebie.

„...Wszelako zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że rok 1945 będzie rokiem decydującym i przez to najtrudniejszym rokiem dla całych Niemiec...". Rozumiem — Peikert nie jest politykiem. Lecz ani słowa o tym, jak do tego doszło? Poza tym słowo „decydującym" zawiera alternatywę. A gdyby taka była — to jaka? I nadal dobrze by się żyło we Wrocławiu!

„...Jak dotąd miasto nie jest jeszcze okrążone. Rosjanie okazali się względnie przyzwoici. Nie było żadnych nalotów...". To rzeczywiście pochwała, świadcząca o całkowitej nieznajomości lub przemilczaniu rzeczywistości, w imię której Rosjanie mieliby pełne prawo być „mniej przyzwoici".

Opisanie strat własnych i szału zniszczeń: *„...w południe na przykościelnym cmentarzu został pochowany pierwszy poległy — SS-Oberscharfuehrer Erich Seega..."* Rozumiem: duchowny odnotował fakt, który w kategoriach ogólnoludzkich godny jest oczywiście ubolewania. I zaraz dalej: *„...tam też została doszczętnie zniszczona kaplica św. Augustyna z siedzibą szarytek. Siostry zostały tak nagle ewakuowane, że musiały zostawić tucznika w wadze 4 cetnarów i około 40 kur..."*

„...pewien lekarz sztabowy z małżonką odwiedził dziś probostwo. Opowiedział, że jego żona ma tylko swój kostium sportowy, on zaś musiał sobie kupić parę butów, a ubranie, które ma na sobie jest jedyną rzeczą, którą uratował...". Złośliwie skwituję: serdecznie ubolewam!

Strona 105 i dalsze: *„...p. dr. Trentler powiadał z głębokim bólem o grabieży i kradzieży oraz zniszczeniach jego rodzinnego domu.. tak to nasze wojsko, dawniej tak rycerskie stało się niekarnym żołdactwem, a tę atmosferę pogardy dla wszystkich wniosło tam kierownictwo..."* A więc wszystkiemu winno „kierownictwo", zaś o zdziczeniu Wehrmachtu, SS i innych formacji dowiedział się Peikert dopiero w 1945 roku!

Co potwierdza dalsze stwierdzenie na str. 141: *„...furia niszczenia napadła wodzów narodu niemieckiego, a żołnierz niemiecki, który w skrytości ducha takie dzieło potępia — zmuszony jest pod groźbą rozstrzelań wypełniać dzieło zniszczenia barbarzyńskich wodzów..."*

No cóż — „befehl ist befehl"!

O sprawach finansowych: *„Generał mianowany feldmarszałkiem uzyska w darze od Rzeszy 250.000,— marek..."* (Matka moja zarabiała w czasie wojny miesięcznie 100 Rmk, co ledwo starczało na wykupienie przydziałów kartkowych, lecz — mniejsza z tym).

Jakkolwiek na stronie 173: *„...oto deprawacja narodu i wojska, które przez 12 lat doprowadził do rozkładu narodowo-socjalistyczny światopogląd..."*

„Już znów zgłoszono czterech poległych żołnierzy do pochowania na naszym małym cmentarzu bohaterów — wszystko żołnierze Waffen — SS..." (str. 175).

Nie będę dalej cytował. Jest rzeczą oczywistą, że Peikert zdał sobie sprawę z obłędu, który za sobą niósł system narodowosocjalistyczny i Hitler. Cały czas jednak nurtuje mnie myśl, czy u podstaw tego przeobrażenia nie leżały losy wojny i zbliżające się wojska radzieckie? Pozostaje więc pytanie: jaka byłaby postawa Peikerta i jego współrodaków, gdyby te losy wojny były inne?

I to mnie niepokoi, gdy czytam „Kronikę".

WITOLD AFELT

„MOŻE WARTO"

Laboratorium mieści się przy ul. Zachodniej 81. Pierwsze wejście jest dla dorosłych. Duża poczekalnia, pięć kabin, w których pobierana jest krew do analizy. Wydawałoby się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Ale...

Parę kroków dalej mieści się laboratorium dla dzieci. Pomieszczenie jest bardzo małe. Parę krzeseł, dwie kabiny. A praktycznie tylko jedna, bo ktoś wpadł na „genialny" pomysł, by drugą przeznaczyć dla dorosłych. Pobiera się tam krew na badanie poziomu cukru w krwi i moczu. Matki z dziećmi tłoczą się w tym maciupińskie. Praktycznie nie ma miejsca by np. matka z małym dzieckiem usiadła i mogła je rozebrać. Wszystkie krzesła zajęte są przez osoby dorosłe, czekające na pobranie krwi.

Niektóre matki, bojąc się zostawić wózek na klatce schodowej (nie dziwię się im) wjeżdżają do środka. Jest ciasno, duszno. Dzieci płaczą. Matki denerwują się, wyrażając głośno swoje niezadowolenie (też im się nie dziwię).

A przecież wyjście nasuwa się samo. Przecież jedną z pięciu kabin mieszczących się w poczekalni dla dorosłych można przeznaczyć właśnie dla tych, którzy mają tylko badanie poziomu cukru, a i tak już malutkie pomieszczenie zostawić tylko dla dzieci. Ale, niestety, jak dotąd nikt o tym nie pomyślał.

ANNA MARCINIAK

Redakcja — Czytelnicy

TADEUSZ WOJAN, Łódź — Za list dziękujemy. Ma pan rację, że jeśli chodzi o PTL „Pinokio", to niezbyt dużo o tym teatrze pisaliśmy. Błąd naprawimy. Już w niedługim czasie ukaże się w „Odgłosach" artykuł na ten temat. Trudno nam się jednak zgodzić z zarzutem, że błędem jest pisanie o gdańskim teatrze lalek „Miniatura", jak też i to, że piszemy o innych sprawach. Staramy się wszakże pisać o tym, co ludzi interesuje. O lalkach i aktorach lalki te poruszających też napiszemy. Serdecznie pozdrawiamy!

JERZY MIERZWIŃSKI, Zgierz — Interweniowaliśmy w sprawie zwrotu pieniędzy wpłaconych na prenumeratę „Angielski w Radiu" na 1986 rok. Oddział Łódź-Północ PUPiK „RUCH" wyjaśnił nam, że prenumeratę wpłaca się na rok szkolny, a nie kalendarzowy. Będzie pan jednak otrzymywał „Angielski w Radiu". O szczegółach, jak pan ma to załatwić i do kogo się zwrócić poinformujemy w liście. Dziękujemy za miłe słowa o naszym tygodniku.

REDAKTOR DYŻURNY

PO PRZECZYTANIU SZEŚCIU WIERSZY MARKA CZUKU.

Pochylając się nad wierszami Marka Czuku, wydrukowanymi na łamach 38 nr (21.09.85) „Odgłosów" z adnotacją „Debiut". Co wnosi nimi młody poeta?

Sądzę, że przede wszystkim wiarę w siłę utrwalonych myśli. Słowo jest dla niego miarą wszechrzeczy, alfą i omegą; ważność jego funkcji w życiu człowieka przenika cały wiersz pod tym samym tytułem. Słowo wypowiedziane z siłą, wiarą, jak w zaklęciach ludowych ballad, spełnia się. Potęga jego ogarnia tak zjawiska codzienne: „ptaki, chmury", „mgła, wiatr", jak i odwieczne elementy życia: „ogień, woda, słońce", a potem wznosi się aż w sfery metafizyczne oraz czysto ludzkie: „wieczność", „łza" — ból, „pocałunek" — miłość. Słowo buduje, ale i niszczy:

„powiedz słowo
a zabrane ci będzie
radość dom nadzieja" — jest wszechpotężne.

Trzeba więc ważyć je, liczyć się z nimi, cenić i strzec, jak skąpiec strzeże swego skarbu.

Gdy czytałam ten wiersz przypomniała mi się wypowiedź Jana Parandowskiego, będąca pewnego rodzaju jego odpowiednikiem: „Słowo to potęga. Utrwalone w piśmie, zdobywa nie dającą się obliczyć ani przewidzieć władzę nad myślą i wyobraźnią ludzi, panuje nad czasem i przestrzenią. Tylko myśl pochwycona w sieć liter żyje, działa, tworzy. Wszystko inne roznosi wiatr".

Świat Marka Czuku jest częstokroć obiektem oddziaływania sił, na które „nie ma już rady". One to niszczą wartości moralne, niepowtarzalną indywidualność jednostek (wiersz „Walec"), „walec gniecie świat, ciebie mnie", sprowadzając je do rzędu niewolników wleczonych „na postronku" za walcem o złotych osiach. „Mieniące się" złoto oślepiło ludzkość, która poddała się urokowi jego blasku, a następnie jego bezdusznej władzy. Prawdę, że „pieniądz jest dobrym sługą, ale złym panem" poeta ukazuje w tonacji pesymistycznej. Rzeczywistość kreowana przez niego jest tragiczna. Wydaje się, że nie ma od niej odwrotu, a destrukcyjna funkcja złota jest rzeczą przesądzoną.

Nie wiadomo, jaką barwę ostatecznie przyjmą wiersze M. Czuku, ale w następnym, zaczynającym się od słów: „nie zabieraj mi nocy" wprowadza swoje liryczne ja w ciemność. Staje się ona prawie jego żywiołem. Zagłębia się w nią, wtula jakby, ucieka w nią przed światem, który go nie rozumie. Pragnąłby tkwić w niej bez końca, boi się dnia i kontaktów z ludźmi:

„nie krzycz na mnie
gdy zamykam się
w klatce nocy".

O czym świadczy lęk? Bohater liryczny jest samotny i pławi się wprost w atmosferze odizolowania od świata, który jest, można powiedzieć, obcy jego marzeniom:

„płynę po wzburzonej rzece zdarzeń
które się nie zdarzyły
które się nie wyśniły"

Motyw samotności dominuje w tej miniaturze bez reszty. Być może trzeba najpierw bez ingerencji osób trzecich dobrze znieść długie godziny kontemplacji („noc jest jaśniejsza od dnia"), w której dojrzewa osobowość człowieka, by móc z kolei mocno stanąć na nogi i walczyć z „walcem", którego „osie mienią się złotem". A człowiek musi dojrzeć, dorosnąć do konfrontacji ze złem sam. Ciekawe, do czego dojrzeje zapowiadający się indywidualizm młodego autora.

A że myśli o doskonaleniu siebie i otoczenia, nie ulega wątpliwości. Świadczy o tym pierwsza osoba liczby mnogiej użyta w wierszu „Nauka". Rozwój człowieka, według niego, to wchłanianie różnych elementów i wartości świata wszystkimi zmysłami, całym sobą. Marek Czuku świetnie zdaje sobie sprawę, że każdy ucząc się dla społeczeństwa, bogaci przede wszystkim siebie jako jednostkę ludzką niepowtarzalną i jedyną:

„uczymy siebie
w prywatnej krainie intymności
którą kontroluje
nieodłączny subiektywizm".

Jaki charakter ma jego subiektywizm? Chociaż Marek kończy: „Nemezis nauczy nas życia" jednak, nie wiążąc sześciu wydrukowanych wierszy w cykl, na ich podstawie można pokusić się o stwierdzenie, że ów subiektywizm, który charakteryzuje czytane utwory, tkwi swym rodowodem w postawie buntu przeciw dewastacji homo sapiens. „Znak" i „Widzenie" są tego przypuszczenia potwierdzeniem i najpełniejszym wyrazem.

Wysoko oceniam ten pierwszy. Jest krótki, lapidarny, niezwykle bogaty w treść, która wypełnia sześć wersów i przelewa się w dwuwersową pointę. Wiersz jest namiętny, silny w swym wyrazie, pełen buntu przeciwko złu, przewrotności i zdradzie. Gorycz tkwi w każdym wersie powiązanym strukturalnie z pierwszym: „na dany znak". Biedny współczesny człowiek, niestety, w każdej chwili gotów jest na dany mu znak czynić świństwa. Końcowe „trzydzieści srebrników" nie pozostawia wątpliwości, co jest miarą wartości jednostki zdehumanizowanej. Ten motyw pieniądza w „Znaku" wiąże go z pierwszym z sześciu wierszy. Nasuwa się pytanie, do czego ostatecznie zdolny jest człowiek, jaka jest przed nim przyszłość w wewnętrznym widzeniu poety.

Odpowiedź na pytanie zawarte w „Widzeniu" jest straszna. Technika, cywilizacja to wróg uczuć, wrażliwości, zaangażowania w warstwy etyczno-moralne. Być może lęk przed „astro hiper-stereo" powoduje ucieczkę w samotność, w noc, tych którzy pragną pozostać sobą.

Ale uczcieczka niczego nie rozwiąże, bo człowiek to istota społeczna, a „skomputeryzowane serce" będzie nadal grozić światu. Technice, która panoszy się wszędzie i zalewa sobą świat, prawie że dusi go, trzeba przeciwstawić równie wielką wartość — żywe serce. Ono to winno kierować skomputeryzowanymi rękoma, aby wróciła harmonia życia. Tylko bowiem wartości i postawy głęboko humanistyczne są w stanie „wrócić do normy świat, który wyszedł z formy". I o te wartości w sposób ciekawy, na pewno kontrowersyjny, ale swój własny, rozpoczyna młody poeta wstępne boje.

ZOFIA KOZŁOWSKA

CZYM BYŁA DLA NAS?

Trzy powody kierują mną, aby wspomnieć o naszej wielkiej pisarce, patriotce i społeczniczce Marii Konopnickiej.

To pierwsze — w dniu 8 października br. mija 75 rocznica śmierci tej doskonałej poetki, a nade wszystko wspaniałej Polki.

Po drugie — wielu Polaków mojego pokolenia ucząc się w gimnazjum i liceum języka polskiego i historii literatury polskiej w okresie II wojny światowej pod groźbą więzienia, obozu koncentracyjnego czy nawet całkowitego unicestwienia z wielkim zainteresowaniem chłonęło na tajnych kompletach wszystko co polskie i o Polsce. Bo choć ojczyzna była w okowach niewoli nasi pedagodzy, wspaniali patrioci — z wielkim zaangażowaniem uczyli nas polskości właśnie na wzorach wyniesionych z naszej polskiej literatury różnych okresów. Mnie szczególnie utkwił w pamięci okres pozytywizmu z jego twórcami jak: Konopnicka, Orzeszkowa, Prus czy Sienkiewicz. Ich to dzieła stały się hasłami patriotycznymi w działaniu dla wielu Polaków naszego ówczesnego młodego pokolenia.

Po trzecie — jakże bardzo polskie i ludowe są utwory Marii Konopnickiej, wreszcie jakże do dziś dla nas Polaków aktualne. Niechże o tym świadczy przytoczony poniżej obszerny fragment artykułu Z. Dębickiego z roku 1912 napisany z okazji drugiej rocznicy śmierci pisarki w „Tygodniku Ilustrowanym" Nr 41, z dnia 12 października 1912 roku.

PAMIĘCI MARYI KONOPNICKIEJ

Dnia 8 października 1910 roku śmierć zgasiła jedną z najświetniej rozjarzonych pochodni ducha polskiego. Umarła Marya Konopnicka.

Dwa lata minęły od zgonu poetki, która światłem swojego geniuszu rozjaśniała mrok dni współczesnych i miłującym sercem wybiegła w przyszłość, z wiarą w ów dzień, „który buchnie za pomocą Bożą".

Te dwa lata nie tylko nie zmniejszyły kultu naszego dla muzy Konopnickiej, ale bodaj nauczyły nas dopiero cenić i czcić jej poezję według miary właściwej. W sztuce naszej i w życiu odczuwamy dzisiaj nieustannie brak tych strun, które dźwięczały wyjątkowo pełnem i podniosłem brzmieniem na lutni zgasłej poetki. Krepą żałoby powiązana jej harfa nie znalazła i może nie znajdzie rychło dziedzica. Akordy jej zmilkły Więc tem cenniejszą staje się dla nas z dniem każdym pustcina zmarłej.

Jeżeli jednak zdajemy sobie z tego sprawę, to jednocześnie powinniśmy także zastanowić się nad tym, czy uczyniliśmy wszystko, co uczynić należy, aby chwałę imienia Konopnickiej utrwalić w pamięci narodu i cześć jaką żywimy dla jej Ducha przekazać pokoleniom przyszłym, dla których pieśń jej, nie mniej zapewne potężna, niż była dla nas, będzie jednak już tylko pieśnią zza grobu, oderwaną od tych realnych smutków i bólów ziemi polskiej, których była wyrazem bezpośrednim w duszy poetki, współczującej ze swoim pokoleniem.

Otóż nie ulega wątpliwości, że mamy jeszcze w tym względzie niejeden obowiązek do spełnienia.

Przede wszystkiem brak nam dotychczas obszernego, wyczerpującego studyum o poezji Konopnickiej, studyum, które nie tylko podkreślałoby najwybitniejsze momenty jej twórczości, ale na szerokim tle epoki popowstaniowej dało nam obraz tych wszystkich prądów myślowych i uczuciowych, których oddziaływaniu podlegał talent poetki. Jest to epoka w życiu naszem bardzo znamienna — epoka gruntownej przebudowy społeczeństwa zrzucającego z siebie ostatnie strzępy szlachetczyzny, a idącego w swoje demokratyczne jutro. Konopnicka stoi, jako jedna z pierwszych, w szeregu heroldów tego jutra. Jej pieśń — i krytyka artystyczna długo nie mogła się z tem pogodzić — była całkowicie na usługach tej wielkiej przemiany społecznej, której proces, nie zakończony jeszcze, początkami swymi olśniewał młodzieńczą wyobraźnię Konopnickiej i uczynił ją apostołką Polski Ludowej.

„Ach! gdybym ja mogła rozegrać was pieśnią
Jak słonko tę rzeczkę pod lodem,
Myśl strząsłaby z siebie, co rdzą jest i pleśnią,
Duch zrzuciłby więzy, co lot jego cieśnią,
I lud-by się zbudził narodem".

Przeżywszy wszystką gorycz lat popowstaniowych, całą poziomość myśli pozytywistycznej i całą rozpacz ostatniej świerć wieku XIX, poetka umiała zawsze stanąć ponad zgrzytami chwili i wysoko, w słońcu, trzymając chorągiew swojej idei, śmiało patrzeć w przyszłość narodu, z „nadzieją przeciw nadziei".

I to jest największą jej zasługą jako obywatelki.

Dla biografa i krytyka, który zechce krok za krokiem iść przez życie i przez twórczość Konopnickiej i wyjaśnić przyczyny wszystkich jej wzlotów i wszystkich protestów jej ducha, jest to wielkie, a prawie jeszcze nietknięte pole do bardzo ciekawych zestawień życia wewnętrznego poetki z życiem narodu, z tą atmosferą zewnętrzną, która w społeczeństwie polskiem w Królestwie wytworzyła specyficzną wrażliwość i nadwrażliwość psychiczną, nieznaną gdzieindziej.

Drugą, niezałatwioną sprawą jest uczczenie Konopnickiej znakiem widomym hołdu i czci narodowej, pomnikiem, dźwignięty przez ogół.

Te są dwie rzeczy, domagające się najpilniejszego załatwienia.

Cześć wielka i niekłamana, jaką naród żywi dla niezapomnianej i bohaterskiej w swej służbie dla narodu poetki, pozwala przypuszczać, że jedno i drugie załatwione będzie rychło ku uspokojeniu sumienia współczesnych, a ku zbudowaniu ducha pokoleń przyszłych".

Właśnie w okresie największego terroru wobec wszystkiego co polskie w okresie okupacji odbywały się w wielu prywatnych mieszkaniach spotkania, wieczory literackie, na których recytowano szereg wierszy naszych poetów, odbywały się koncerty i wieczory autorskie młodego pokolenia.

W kilku takich wieczorach w Warszawie uczestniczyłem poznając tak wspaniałych ludzi jak: Marię Dąbrowską, Aleksandra Kamińskiego czy Kazimierza Bieszyńskiego. Na jednym z wieczorów literackich poświęconych twórczości Teofila Lenartowicza i Marii Konopnickiej poznałem osobiście Krzysztofa Kamila Baczyńskiego (Jana Bugaja), na wieczorze tym z wykonywanych wówczas utworów Marii Konopnickiej upamiętnił mi się jakże dziś aktualny wiersz:

„Czemu to przepaść, która braci dzieli
Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli
Tak jest bezbrzeżną, jako oceany,
A tak straszną, jak rozwarte rany!
Czemu jej zrównać zupełnie nie mogą
Wybuchy pomsty swych ogniów pożogą?"

JAN PRUSKI

Raport tranzytowy

(5)

1.

Przejechaliśmy siedem i pół tysiąca kilometrów przez Polskę, Związek Radziecki, Węgry, Rumunię, Jugosławię, Bułgarię, Grecję, Turcję i z powrotem. Trzy razy psuł się samochód (do czego wrócę), ale najtrudniejsze chwile przeżyliśmy na początku podróży, w poniedziałek 5 sierpnia i we wtorek na przejściu granicznym w Medyce.

Trafiliśmy na szczyt, o którym jeszcze za kilka lat będą krążyć legendy. Wieczorem minęliśmy Przemyśl i tuż za rogatkami miasta stanęliśmy na krańcu jakiegoś ogromnego korka. Zapytałem człowieka, który siedział przed nami za kierownicą samochodu.

— Co się stało?

— *Nic.*

— Chce pan powiedzieć, że już tu zaczyna się kolejka?

— *Tak. Jest pan siedemset pięćdziesiąty siódmy do odprawy.*

— Proszę nie żartować.

— *Zgoda* — rzekł mężczyzna. — *Może w tym czasie celnicy przepuścili jakiś samochód, więc jest pan siedemset pięćdziesiąty szósty.*

Wysłuchałem tego ze zgrozą. Dochodziła północ. Łukasz spał na tylnym siedzeniu, żona paliła papierosa.

Wydałem krótkie i treściwe polecenie.

— Wracamy.

— *Gdzie?*

— Na Piotrkowską.

Zapadło krótkie i wymowne milczenie, po czym usłyszałem krótką odpowiedź:

— *Nie.*

— Chcesz czekać?

— *Tak.*

— I gdzie będziesz spała?

— *W samochodzie.*

Rację ma zawsze kierowca. W ciągu kilkunastu minut ustawiło się za naszymi plecami kilkanaście pojazdów, których kierowcy podzielali widocznie opinię mojej żony. Wszędzie jednak panował nastrój przygnębienia. Podróżni różnej płci, różnej kondycji społecznej i różnego wieku tworzyli grupki na poboczach i dyskutowali cicho:

— *Musi to potrwać dziesięć- piętnaście godzin.*

— *Albo i dłużej.*

— *Będę szczęśliwy, jeśli mnie odprawią jutro wieczorem.*

— *Podobno jest przerwa, zawiesili odprawę.*

— *Owszem, ale po stronie radzieckiej.*

— *Jadę na granicę czeską.*

— *Tam też jest kolejka.*

— *Ale nie taka.*

W sumie jednak nikt, albo prawie nikt nie pojechał na granicę czeską, bo w Związku Radzieckim można kupić tanio benzynę, i to w dowolnych ilościach. Czekaliśmy posuwając się po kilka metrów. Ci, co mieli wygodne auta o rozkładanych siedzeniach lub przyczepy campingowe, spali, inni usiłowali spać w nieprawdopodobnych pozycjach. Przybywały nowe wozy. Świeciły gwiazdy, ale było chłodno. Czas, którego u końca życia zaczyna człowiekowi brakować, wlókł się z denerwującą opieszałością. Jeśli chcesz żyć długo, ustaw się w kolejce na granicy. Po kilku godzinach będziesz miał dosyć.

2.

Wczesnym rankiem naród wygrzebał się ze swoich samochodów i przyczep. Na polach wokół drogi błyszczała rosa; wiało. Sprzyjało to ludzkim poczynaniom. Osobnicy w strojach sportowych gimnastykowali się i biegali w tę i z powrotem, aby podbudować kondycję i podnieść temperaturę ciała. Kobiety pitrasiły strawę na kuchenkach gazowych i palnikach. Dzieciarnia pospołu z kogutami wydawała z siebie pierwsze próbne wrzaski, starcy zaś i niewiasty ciężarne zażywali sprawiedliwego wypoczynku.

Potem mężczyźni przystąpili do golenia, ustawiając lusterka na maskach samochodów. Kobiety donosiły im ciepłą wodę i przypominały nieśmiało, że śniadanie gotowe. Dzieciarnia w dalszym ciągu wrzeszczała pospołu z kogutami, a niewiasty ciężarne i starcy zażywali wypoczynku.

Ludzie zdołali już okrzepnąć. Humor, który jeszcze niedawno miał zabarwienie wisielcze, nabierał zdrowych, radosnych akcentów. W końcu jesteśmy na urlopie, do cholery! Tak czy nie? Będzie dobrze! Ruszyło się trochę, no i nie stoimy już na szarym końcu. Myślą o nas. Wielkie brawa dla lokalnych władz. Ogromne brawa! Przy drodze co paręset metrów powyrastały w okamgnieniu drewniane szalety. Wozy-chłodnie i ciężarówki spółdzielcze dostarczały pieczywo i mleko, a także inne artykuły spożywcze. W południe, kiedy słońce zaczęło zdrowo przypiekać, zaroiło się od lodziarzy; nie zabrakło coca-coli i oranżady. Trwała sprzedaż obwoźna restauracji „Trojka". Pogotowie Ratunkowe udzielało pomocy lekarskiej osobnikom słabszym; robiono zastrzyki, podawano walerianę, czasem odwożono kogoś na sygnale do szpitala.

Mężczyźni dłubali w silnikach. Przyszłe matki i emeryci odpoczywali. Dzieciaki wrzeszczały w najlepsze, a kobiety zgodnie ze swoją naturą pitrasiły coś na kuchenkach gazowych.

3.

Cwaniak zawsze będzie cwaniakiem, takie jego bowiem cwaniacze serce. Co rusz któryś próbował oszukać pięciokilometrową kolejkę i przeskoczyć z końca w rejony środkowe albo wprost na czoło kolumny.

Komitety porządkowe usuwały jednak cwaniaków ze sprawiedliwym, lecz nieubłaganym okrucieństwem. Facet otrzymywał najpierw ostrzeżenie:

— *Jazda stąd! Jak panu nie wstyd?*

Potem było drugie ostrzeżenie:

— *Jeśli w ciągu dziesięciu sekund nie opuści pan kolejki, zostanie pan usunięty siłą.*

Większość cwaniaków miała wyobraźnię, ale trafiali się i tacy, którzy tkwili w idiotycznym uporze. Wówczas podchodziło nagle do cwaniaczego fiata albo mercedesa dwunastu gniewnych ludzi o zdecydowanie rozwiniętych bicepsach, aby podnieść pojazd z obydwu stron i postawić go na marginesie drogi.

Spisywano numery rejestracyjne cwaniaków. Ci jednakże dalej próbowali oszukać uczciwie czekających obywateli, chwytając się najrozmaitszych sposobów. Stanął sobie taki z boku, albo wmiksował się w kolejkę w chwili, kiedy ta posuwała się kilkanaście metrów w stronę granicy, po czym zatrzaskiwał drzwi i odchodził na długi spacer z nadzieją, że wozu bez kierowcy nikt nie ruszy. Wracał dopiero wtedy, gdy kolejka znowu posunęła się trochę i wyminęło go parę samochodów. Chciał wtopić się w pejzaż i zapaść w pamięć podróżnych, że to niby stoi tu od wielu godzin. Zagadywał, dowcipkował, wypytywał jak się spało, podawał nieproszony ognia i pomagał pchać samochody, które uległy awarii albo nie zapalały silnika ze względów oszczędnościowych.

Ludzie obserwowali go z przymkniętymi oczami. Wreszcie ktoś nie wytrzymał i huknął:

— *Wynocha, łobuzie!*

Gość czerwony na twarzy, próbował upitrasić jakąś wymówkę:

— *Ludzie, przecież ja...*

Ale dwunastu gniewnych szło już ku niemu z zaciśniętymi pięściami.

4.

Kilkakrotnie podjeżdżała milicja. W sumie jednak było spokojnie. Zadziwiał kompletny brak pijaków. Nie notowano kradzieży. Małżeństwa kłóciły się szeptem. Dzieci jeno wrzeszczały rano i wieczorem pospołu z kogutami.

W ciężkich chwilach naród wykazywał zdyscyplinowanie i niezwykły hart ducha, biorąc pod uwagę, iż na odprawę przyszło nam czekać trzydzieści siedem godzin w polowych warunkach. Ci, co przyjechali po nas, czekali jeszcze dłużej. Kiedyśmy wracali we wrześniu, celnicy powiedzieli nam, że rekord wynosił pięćdziesiąt osiem godzin, a więc dwa i pół dnia.

Dziwne zaiste cechy objawiają Polacy u schyłku dwudziestego stulecia. Nie lubią nas specjalnie w obcych krajach. Europa twierdzi, że jesteśmy narodem handlarzy, przed którym mogliby skłonić głowę Fenicjanie. Ja natomiast twierdzę, że jesteśmy również narodem podróżników. Handel handlem, ale spotkać nas można wszędzie — pod Termopilami, gdzie nie robi się przecież biznesu, w księżycowej Meteorze o zawieszonych na szczycie skał klasztorach, w których liczy się tylko pokutnicza siermięga; wśród ruin starego Koryntu, które ogląda się za dewizową opłatą i we wszelkich innych, odległych zakątkach na poboczach szlaków.

Kiedy opuszczaliśmy Grecję i zbliżaliśmy się do granicy tureckiej, zobaczyliśmy śląski obóz wędrowny, człapiący gęsiego pod prąd skrajem szosy. Był niemiłosierny upał, a oni szli z plecakami na grzbietach i śpiewali jakąś rzewną, ludową piosenkę. Na widok polskiego samochodu zaczęli wymachiwać rękami nie ustając w marszu, który sprawiał im chyba przyjemność.

Na campingu w Atenach spotkałem krakowskie towarzystwo które nie miało nawet namiotu — spali w śpiworach na gołej ziemi w sąsiedztwie swego pokiereszowanego samochodu. Bóg raczy wiedzieć, co jedli, ale o świcie wypełzali rześko ze śpiworów i biegli do łazienki, gdzie kąpali się, golili, prali koszule, aby w godzinę później zaprezentować się godnie w muzeum.

5.

Zdecydowana większość Polaków nie miała szmuglu, nie słyszałem, aby ktokolwiek został nakryty z poważniejszym biznesem na obcych granicach, taki biznes wyławiany jest bowiem z reguły i konfiskowany przez polskie, znakomite podobno służby celne.

Ktoś powiedział, że nasi celnicy są po to, aby wypuścić turystę z kraju z takim bagażem, który nie skompromituje go za granicą i nie postawi w kolizji z obcym prawem. Nie ma więc mowy o narkotykach, o pornografii, o fałszywych pieniądzach i o jakiejś nadzwyczajnej superacie. Margines ryzyka zredukowany jest do bezpiecznego wymiaru; są oczywiście przedmioty, które zostaną sprzedane, ich ilość mieści się jednak w ramach przyzwoitości.

Mimo to polskie wozy były tego roku pod specjalnym nadzorem. Wypakowywaliśmy je, pakowaliśmy, przejeżdżaliśmy wąski pas ziemi niczyjej pomiędzy jedną granicą a drugą i cała operacja zaczynała się od nowa.

Celnicy są oczywiście po to, aby szperać i dzięki nim często staje się zadość sprawiedliwości, bywa jednak odwrotnie, a w każdym razie bywało tak w czasie naszej ostatniej włóczęgi po Europie. Sami sobie jesteśmy winni, że jugosłowiański celnik zaczyna rozrywać paczki papierosów i wpychać paluchy do opakowań z herbatą, aczkolwiek dobrze wie, iż niczego nie znajdzie. Ziewa. Jest znudzony. Dłuży mu się w tę spokojną, letnią noc. Nie miałby ewentualnie nic przeciwko temu, żeby łyknąć takszysz lub przyjąć niewielki prezent — bierze to i owo do ręki, wącha, ogląda pod światło i czeka, abyś mu powiedział, że to jego. Ty jednak jesteś wściekły po ciężkiej pracy, jaka wiąże się z wypakowaniem samochodu. Masz czyste sumienie i pozwalasz sobie na luksus przywołania gościa do porządku. Mówisz, kiedy patrzy miłośnie na twoje techniczne akcesoria, cieszące się na południu dużym wzięciem:

— Zostawcie to, obywatelu!

Zostawia, ale bierze też niezwłocznie srogi odwet. Ostukuje ściany samochodu, dłubie w silniku, grzebie w bagażniku. Podcina okładzinę podłogową. Gdyby udręczone auto mogło przemówić, zawyłoby ludzkim głosem. Gdybyś ty natomiast miał w głowie trochę oleju, nie drażniłbyś niepotrzebnie faceta.

— To dla pana, obywatelu.

— Proszę bardzo, bierzcie!

6.

Nawet jeśli brzydzisz się handlem z powodu swojej wybitnej pozycji społecznej i starannego wykształcenia, powinieneś przed wyjazdem za granicę zaopatrzyć się w papierosy, kawę, alkohol oraz inne błyszczące przedmioty.

Chwileczkę! Nie musisz dawać tego zagranicznym celnikom ani żołnierzom obcych straży granicznych. Nie namawiam cię, także do picia i palenia, gdyż wiem, że jednostka o wybitnej pozycji społecznej i starannym wykształceniu unika tych paskudnych używek.

Tak czy owak, warto mieć przy sobie trochę biznesowego towaru — szczególnie wtedy, kiedy psuje się samochód.

C.D.N.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Strażnicy zaginionej Atlantydy

ANNA KIESEWETTER

Na ten temat napisano już bardzo wiele. Od wieków wzmianki na temat lądu, który zapadł się pod ziemię, poruszają wyobraźnię laików i naukowców, badaczy i artystów, a przede wszystkim archeologów. Niegdyś podobna dyskusja toczyła się wokół Troi. Czas pokazał że źródła pozostawione nam przez przodków zawierają wiele danych historycznych i że nie sposób lekceważyć relacji zawartych w dawnych przekazach.

Być może zaniechano by jednak uporczywych poszukiwań, gdyby nie fakt, że wciąż brakuje nam ostatniego ogniwa łańcucha w rozwoju naszej cywilizacji, zaś Atlantyda pasuje do tej niewiadomej z niewiarygodną precyzją wkomponowuje się w całość obrazu naszej przeszłości.

Początkowo opowieść Platona o idealnym państwie zwanym Atlantydą, będącym pierwszą wielką cywilizacją świata, traktowano jako przypowiastkę filozoficzną, rodzaj zostawionego potomności moralitetu. Szczególnie do takiej interpretacji przyczynili się utopiści dziewiętnastowieczni, powołujący się w swych traktatach na idealizm platońskiej krainy, na jej wzorcową strukturę w stosunku do współczesnych mu organizacji państwowych. Z biegiem czasu jednak wzmianki o Atlantydzie odkrywano u innych także pisarzy, kronikarzy i historyków starożytności, zarówno współczesnych Platonowi, jak i jego poprzedników. Odrzucając rozważania, jak dalece Atlantyda posłużyła Platonowi jako wzorcowy przykład jego marzeń o doskonałości, stwierdzić należało, że jednak ten ląd, wyspa czy część kontynentu musiała kiedyś istnieć. I wtedy rozpoczęły się poszukiwania.

Najobszerniejszy przekaz na temat zaginionego lądu zawierają oczywiście dialogi Platona, który ponoć wiadomości swoje czerpał ze starożytnego Egiptu. Ponoć istniały pisemne przekazy dotyczące Atlantydy, zginęły jednak wraz z pożarem biblioteki aleksandryjskiej. W innych dokumentach ograniczano się na ogół jedynie do stwierdzenia, że taki kraj istniał i zginął wskutek katastrofy przy czym odmienne były zdania co do jej przyczyn. Chcąc nie chcąc uczeni musieli zatem oprzeć się przede wszystkim o relacje Platona i tam szukać odpowiedzi na nurtujące ich pytania. Ponieważ, jak w każdej pracy naukowej, trzeba było rozpocząć od stawiania wielu pytań.

Zaczęto zbierać materiały. I zadano pierwsze pytanie: jak wyglądała Atlantyda, jaką miała faunę i florę, do jakiej strefy klimatycznej należała. Ustalono, że posiadała cechy kontynentalne, zatem wykluczono aby była niedużą wyspą wulkaniczną, jak na początku przypuszczano. Jej świat zwierzęcy i roślinny kazał domyślać się rozległego terenu i sprzyjających warunków do powstania wielu gatunków biologicznych, co jest niemożliwe w wypadku niewielkiej wyspy. Ponadto hipotezy te potwierdzały cechy klimatyczne, zbliżone co prawda do obszaru śródziemnomorskiego, ale zawierające cechy obszarów lądowych oddalonych od morza, nie współgrających z symbiozą świata istniejącego na pograniczu wód słodkich słonych, jak to istnieje w wypadku wysp i przybrzeżnych obszarów. Jeżeli Atlantyda była wyspą, musiała zajmować tak wielki obszar, że jej środkowe rejony nie zawierały już cech gatunków przyzwyczajonych do współżycia z morzem. A zatem musiała obejmować tereny zbliżone swoją wielkością na przykład do Australii.

Przyjrzyjmy się fragmentowi dialogów Platona: „Pisma nasze mówią, jak wielką niegdyś państwo wasze (Grecja — przyp. aut.) złamało potęgę, która gwałtem i przemocą szła na całą Europę i Azję. Szła z zewnątrz, z Morza Atlantyckiego. Wtedy to morze tam było dostępne dla okrętów. Bo miało wyspę przed wejściem, które wy nazywacie Słupami Heraklesa. Wyspa ta była większa od Libii i Azji razem wziętych (oczywiście tereny Azji znane żegludze greckiej — przyp. aut.). Ci, którzy wtedy podróżowali, mieli z niej przejście do innych wysp. A z wysp była droga do całego lądu, leżącego naprzeciw, który ogranicza tamto prawdziwe morze. Bo to, co jest po wewnętrznej stronie tego wejścia, o którym mówimy, to okazuje się zatoką o jakimś ciasnym wejściu. A tamto morze jest prawdziwe i ta ziemia, która je ogranicza całkowicie, naprawdę i najsłuszniej może się nazywać lądem stałym".

Następne pytanie brzmiało: gdzie mogła znajdować się Atlantyda. Opierając się o relacje kronikarzy, zaczęto jej szukać w głębinach Oceanu Atlantyckiego, którego sama nazwa już nęciła poszukiwaczy. Relacje umiejscawiały ten ląd na zachód od tzw. „Słupów Heraklesa", czyli poza Cieśniną Gibraltarską. Szczególne nadzieje wiązano z dwoma znaleziskami na Oceanie Atlantyckim: z Morzem Sargasowym i z resztkami ruin na wschodnich wybrzeżach Ameryki.

Morze Sargasowe nęciło badaczy swoimi cechami zbliżonymi do warunków słodkowodnych, związanych z wpływem szelfu kontynentalnego. Za przykład podawano też wędrówki węgorzy, które, mimo że reprezentują faunę słodkowodną, tam właśnie szukają miejsca na wylęg, przemierzając wielkie obszary wodne, jakby tam właśnie przed wiekami istniał jakiś ląd. Niestety, badanie dna morskiego i wnikliwa obserwacja życia węgorzy nie potwierdziły hipotez o istnieniu w tym rejonie niegdyś jakiejkolwiek wyspy, choć nie wyklucza się, że zachowanie się ryb i ptaków mogą stanowić pozostałość genetyczną po wybrzeżu Ameryki, które stopniowo i nieubłaganie odsuwa się na zachód od Euroazji. Prawdopodobnie, gdy gatunki osiągnęły obecny stopień rozwoju, wschodni brzeg obu Ameryk znajdował się właśnie gdzieś w pobliżu Morza Sargasowego. Od tego czasu odsunął się wiele kilometrów na zachód.

Potwierdziły to także badania nad ruinami i znaleziskami archeologicznymi w pobliżu wschodnich brzegów Ameryki. Okazało się bowiem że nie stanowią całości architektonicznej ale są budowanymi wielokrotnie i wielokrotnie zabieranymi przez morze kolejnymi nadbrzeżami portowymi, przy czym można dokładnie ustalić czas, kiedy i jaki kolejny port zapadał się pod wodę, zaś na jego miejsce budowano następny.

Badacze nie tracili nadziei. Ruszyły badania dna morskiego wzdłuż całego Oceanu Atlantyckiego. Niestety. Nic nie wskazywało na to, aby gdziekolwiek mogła znajdować się poszukiwana wyspa. Wreszcie ostateczną opinię wydali geolodzy stwierdzając, że rysunek wschodnich wybrzeży Ameryki zgadza się w swym kształcie z rysunkiem zachodnich wybrzeży Europy i Afryki tak dokładnie, że nie ma mowy o jakimkolwiek lądzie, który mógłby zaginąć. A przecież Atlantyda nie mogła być małą wysepką wulkaniczną, jakich dziesiątki pojawiają się i giną w nurtach oceanu.

Badania stanęły w martwym punkcie. Znów zaczęto mówić o idealizmie Platona i nie istniejącym lądzie. Jednak niezgodne to było z dokładnością opisywanych przez kronikarzy cech naturalnych Atlantydy. Ale ląd nie istniał. I na Oceanie Atlantyckim istnieć nie mógł.

Natomiast pojawiły się głosy, że tak wielki obszar, jak Atlantyda, nie mógł zniknąć bez

śladu i że kraina ta istnieje do dziś, choć nikt nie przypuszcza, że to właśnie ona. Rozpoczęto szczegółowe badania Australii. Niestety badania te wykazały tyle różnic cywilizacyjnych w stosunku do opisów historycznych, że bardzo szybko zrezygnowano z dalszych przypuszczeń. Kwestia pozostawała otwarta, poszukiwania trwały, mnożyły się książki i traktaty, tylko dalej nie można było znaleźć Atlantydy.

Nagle dokonano odkrycia, które wstrząsnęło całym dotychczasowym wyobrażeniem o dziejach naszego świata. Astronomowie obliczyli, że 9 tys. lat p.n.e. orbita komety Halleya zbiegła się z ruchem Ziemi tak dalece, iż ogon komety musiał zawadzić o ziemską atmosferę. Za tym stwierdzeniem poszły natychmiast dalsze. Okazało się z obliczeń, że wobec tego Ziemia po zderzeniu powinna była zmienić swój kąt nachylenia, położenie względem osi, bieguny i czas obrotu.

Relacje potwierdzały odkrycia astronomów. Różnice między biegunem geograficznym i magnetycznym, inny sposób obliczania kalendarza (ilość lat liczona np. w Biblii), uniwersalność podań mitologicznych o klęsce i potopie, katastrofizm związany z ukazywaniem się komety itp., to wszystko zgadzało się z odkryciami naukowymi. Istniała jednak tylko zagadka: nie potwierdzały tego kataklizmu namagnesowane skały wulkaniczne, których cechy wskazywały dokładnie północ i południe. Ale do czasu, gdy stwierdzono, że w wyniku zderzenia ogona komety z atmosferą musiały zaistnieć warunki, w których cała kula ziemska została dokładnie rozmagnesowana.

A zatem przed ową katastrofą astronomiczną nie tylko bieguny posiadały inne położenie, inaczej rozłożone były strefy klimatyczne, gdzie indziej szukać należało stron świata i kierunków. Fakt, że mamuty wyginęły w warunkach, gdy nic nie zapowiadało takiego gwałtownego unicestwienia, że nagle powstawały puszcze i pustynie, wszystko to potwierdzało odkrycia astronomów

Odkryciami tymi zainteresowali się i poszukiwacze Atlantydy. Ustalono, gdzie przed katastrofą znajdowały się przypuszczalnie bieguny, jaki był poprzedni kąt nachylenia Ziemi w stosunku do osi i rozpoczęto dalsze poszukiwania. I nagle, na zachód od Cieśniny Gibraltarskiej znalazł się nie Ocean Atlantycki ale wybrzeże Afryki prowadzące prosto do...Antarktydy. Zaczęto prowadzić badania wzdłuż tego wybrzeża i natknięto się na ślady nazw zawierających sylabę „Atl". Znajdowały się wzdłuż całego wybrzeża. Nagle wszystko w relacjach zaczęło się zgadzać. Przestały budzić zastrzeżenia odnalezione mapy Antarktydy, znaleziska na Wyspie Wielkanocnej, czy zadziwiające cechy kultur okalających biegun południowy. A przecież Antarktyda znajduje się w takim położeniu, że odległości między nią a Ameryką, Afryką, Azją i Australią nie przekraczają możliwości prymitywnej żeglugi.

Zacytujmy jeszcze jeden fragment z dialogów Platona: „Później przyszły straszne trzęsienia ziemi i potopy i nadszedł jeden dzień i jedna noc okropna — wtedy całe wasze wojsko zapadło się pod ziemię, a wyspa Atlantyda tak samo zanurzyła się pod powierzchnię morza i zniknęła. Dlatego i teraz tamte morze jest dla okrętów niedostępne i niezbadane: bardzo gęsty muł stanowi przeszkodę — dostarczyła go wyspa, zapadająca się na dno" Egipcjanie nie znali lodu. Żyli przecież w klimacie Afryki.

Jeżeli zatem prawdziwe są hipotezy wysuwane przez współczesną archeologię, poszukiwana przez wszystkich Atlantyda śpi snem spokojnym pod grubą warstwą lodu. I nie ma żadnej możliwości, aby potwierdzić badaniami empirycznymi rozumową kalkulację naukowców. Przypuszczalnie tam, gdzie niegdyś tętniło życie opisywane w kronikach starożytności, teraz stoją ciche i niedostępne lodowce. Strażnicy zaginionej Atlantydy.

JAN BĄBIŃSKI

W murach Kadyksu

Zapatrzony w góry wodne, które uniesione przypływem oceanu tłukły z furią o mury nadbrzeżnych umocnień, zasłuchany w posępne wrzaski mew, wyczułem raptem czyjś wzrok. Przy wejściu do parku Genoves tkwił strażnik i nie spuszczał ze mnie nieruchomego spojrzenia. W jego oczach migotało to samo napięcie, co we wzroku dawnych mieszczan Kadyksu, którzy stali kiedyś na tych wałach przepełnieni trwogą i przeczuciem zbliżającej się tragedii.

Park, rzadkiej nadzwyczaj urody, oblewają z trzech stron oceaniczne wody. Leży na samym krańcu cypla, który wdziera się ostro jak szpada w głąb oceanu. Tu kończy się port i zaczynają niezmierzone przestrzenie Atlantyku. Figowce o szerokich liściach, pinie, cyprysy, zdumiewało w tym parku bogactwo egzotycznych drzew, tonących w bujnej zieleni, o konarach średnicy kilkudziesięciu metrów.

Kadyks już połączono z lądem nowoczesnym mostem kilometrowej długości. Pędzi się teraz z Sewilli nad Atlantyk drogą skróconą o kilkadziesiąt kilometrów. Omija się Puerto Real i nadmorskie saliny. Zahacza natomiast o krańce Jerez de la Frontera. Dojrzewa tu „sherry", który tutejsi winiarze ślą okrętami przez Kadyks na stoły wszystkich kontynentów.

Trudno by było niezmiernie zliczyć w Jerez wszystkie te „bodegas", obszerne i chłodne piwnice o kamiennych romańskich sklepieniach. Wino leżakuje w potężnych antalach tak długo, aż „wyedukowane" nabierze mocy i niezrównanego bukietu. Przed beczułkami stoją w pogotowiu kubki. Odkręć kurek, wędrowcze, skosztuj, ugaś pragnienie, niech ci idzie na zdrowie.

Przed długim rzędem butelek wypełnionych winem stała młoda dziewczyna.

— *Które z tych win pan sobie życzy?* — zapytała.

Noc spędziłem w San Fernando w hotelu „Sal y Mar" Niewielki ten budynek o balkonach obramowanych gęstą siatką kutego misternie żeliwa, sprawiał wrażenie rezydencji noblijwej hiszpańskiego granda. W zdumienie wprawiało umeblowanie. Mahoniowe fotele, mahoniowe szafy, mahoniowe krzesła mahoniowe długie stoły lśniące tak gładką powierzchnią jak kryształowe lustra. Z sufitu zwisały ciężkie kandelabry z litego brązu. Ze ścian korytarzy i pokoi wyłożonych mahoniową boazerią spoglądały sczerniałe już nieco oleje dawnych hiszpańskich mistrzów, oprawione w bogato złocone mahoniowe ramy.

Jasne, żeby zapobiec nadmiernemu kołysaniu przecinających Atlantyk żaglowców, ich brzuchy napełniano balastem. Był nim ścięty na wilgotnych Antylach i w gorącym Meksyku ciężki jak ołów mahoń.

Rankiem wyrwało mnie ze snu nawoływanie rybaków wypływających na szerokie wody za tuńczykiem i dźwięk rozkołysanych dzwonów. Na Anioł Pański biją dzwony... Ten dzwon pysznić się mógł, że głośny jest niebywale. W Kadyksie go chyba słyszano. Wyszedłem na balkon. Przez kościelny plac, wyłożony kamiennymi płytami, kroczyły wolno kobiety, wszystkie odziane w czerń.

Od białych domów, skąpanych już rano w ostrych promieniach słońca, bił oślepiający blask. Zaskakiwała ich lekkość, wdzięk i zupełne zharmonizowanie z krajobrazem. Fajans i ceramika na murach obwieszone kwieciem okna, patia przypominające japońskie ogródeczki, waskie przejścia wyłożone wielobrawna mozaika i ten niezapomniany ażur kutych w żelazie balustrad, krat i oparkowań.

Dziewczyna, widząc moje niezdecydowanie, popatrzyła na mnie spod oka.

— *Właściwie jakie wina pan lubi?*

— Właśnie nad tym się zastanawiam.

Odłożyłem piąty z kolei darmowy kubek żółtawego trunku.

Francuzi powiadają, najlepszy jest trzydziestoletni przyjaciel, piętnastoletnia dziewczyna i jednoroczne wino.

— *A wie pan* — odezwała się znów winiarka — *że już Grecy popijali tu wina? Był pan w naszym muzeum? Jest tam grecki hełm z VII wieku przed naszą erą.*

Kadyks rozłożony na języku kamienistej ziemi wepchniętym w pieniste wody, cały jest wychylony na Atlantyk. Jakże świetną ma ten gród przeszłość. Berło i palmę pierwszeństwa dzierżyła dość długo Sewilla. Potem korona zsunęła się do dogodniej nad oceanem położonego Kadyksu. Cały on ale handel z Ameryką, ześrodkował się w tym porcie. Kadyks stał się jakby stolicą Ameryki Łacińskiej.

Wtem zdało mi się, że ktoś wwierca mi się wzrokiem w czaszkę.

Cóż to znów takiego?

Odchyliłem nieco głowę. Z tyłu, na balkonie wysokiej jak wieża kamienicy stał za nisko spuszczoną markizą jakiś mężczyzna. Dostrzegłem tylko czubki jego butów. On przez szczelinę w płótnie widział mnie całego. Obejrzałem się jeszcze na rogu. Markiza drgnęła. Mężczyzna przybrał za nią prawdopodobnie inną pozycję, by utrzymać mnie możliwie najdłużej na oku.

Najpierw dotarli w te strony Kreteńczycy z kwitnącego wówczas Knossos. Zabierali miedź i cynę z Tartassos, opodal współczesnego Kadyksu. Potem Fenicjanie zbudowali Gades — — dzisiejszy Kadyks. Zresztą król Salomon też słał statki w te strony po srebro z gór Sierra Morena, pospiesznie dziś zalesianych. Dopiero później osiedlili się tu kartageńczycy i Grecy.

Winorośla porastają zbocza w trójkącie Jerez—Sanctuar—El Puerto na obszarze kilkunastu tysięcy hektarów obficie nasłonecznionej ziemi. Lekkie, silnie przy tym zawapnione gleby sprawiły, że tutejsze wina, nasycone słonym oddechem Atlantyku, wyróżniają się smakiem i zapachem jakich mało. Pozrywane z drzewek grona nie od razu idą w koszach to wytłaczarni. Wpierw muszą się wypocić na otwartym powietrzu, pod gorącym słońcem, żeby wydzielić niepotrzebną wilgoć. Potem dopiero puszczają fermentacyjnym sokiem, który nad podziw gęsty jest i zawiesisty.

Miejscowe wina Fenicjanie nazywali „xera". Rzymianie „ceret", Wizygoci „seritium" Arabowie „scherisch" dla Anglików to po prostu uwielbiane przez nich „sherry". Popija się je na brytyjskich wyspach najczęściej w porze obiadowej, po jakiejś przekąsce, żeby przepędzić zmęczenie i nabrać do pracy nowego wigoru. A już Fuller przestrzegał swych ziomków przed wiekami, „*wino to zdrajca, wpierw przyjaciel, potem wróg zaciekły*".

Czym był niegdyś Kadyks, widać dziś jeszcze po domach, kościołach, placach i ulicach

Miasto jest cudowne. Niczego więcej dodać nie powinienem. Jest całe jak z bajki. Zabudowania pozostawiają niezatarte wrażenie. Wąziutkie dwu-trzy metrowej szerokości uliczki jak w Tours nad Loarą, w Muenster przed zbombardowaniem, w Jeleniej Górze tuż po wojnie. Uliczki — wąwozy obudowane kamiennymi budynkami, z których każdy stanowi a chitektoniczną perełkę. Marmurowe posągi, kamienne łuki, nieskazitelna wciąż biel elewacji, granitowe ściany całe niemal w rzeźbach. Tak wielkiego nagromadzenia piękna na tak małej przestrzeni nigdzie przedtem nie widziałem.

Zapuściłem się w korytarzyk, obwieszony kwieciem, wy'ożonym „azusejos", więc ceramicznymi płytkami, na wypolerowane schody, które błyszczały barwną marmurową mozaiką. Wiodły łukowato sklepionym krużgankiem na wewnętrzne patio, gdzie wśród niskich palm, nuciła monotonnie piosenkę wykuta w białym kamieniu fontanna.

I raptem ten wzrok przeszył mnie jak sztyletem.

Zasłonięta żelazną kratą i firanką, w głębi pokoju stała sędziwa kobieta w czerni, nie spuszczając ze mnie kamiennego spojrzenia. Kiedy tak na mnie popatrywała bez ruchu z głową jak ptak przechyloną w bok, jej twarz zaczął pokrywać cień złości. W oczach pojawiła się wyraźna wrogość. Szybko zawróciłem na plac, gdzie na grecko-rzymskich fundamentach stanęła biała katedra.

Dziewczyna przyjrzała mi się baczniej.

— *Jakie właściwie lubi pan wina, mocne czy może słabsze, ale o przyjemniejszym smaku?*

— Mocne.

— *Radziłabym jedno z tych „finos", o tam stoją, chociażby „manzanille". Mamy też 24 procentową „lamontilladę", widzi pan, ma żółtawobrunatny kolor.*

Rzymianie powiadali — vinum lac senum, wino jest mlekiem dla starców. I dodawali — vino

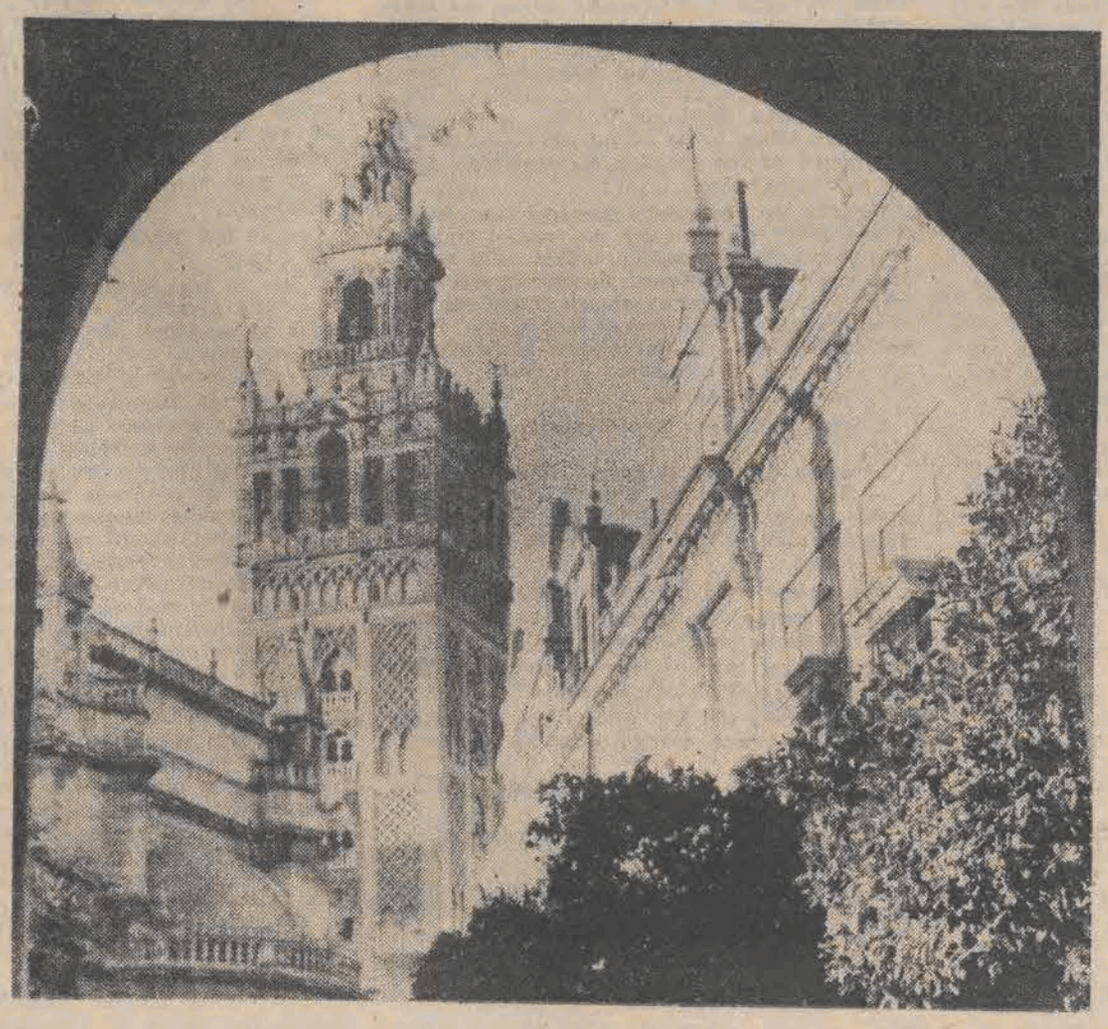

wystawiony na groźbę nagłych ataków od strony nieogarniętego oceanu.

W październikowy, chłodny i dżdżysty dzień 1805 roku na tych kamiennych wałach stali mieszczanie Kadyksu. Poważni i milczący nasłuchiwali w podmuchach wichury odgłosów bitwy morskiej. Uszy i oczy mieli skierowane na przylądek Tranfalgar. Niesione wiatrem odgłosy przeciągłej kanonady dość wyraźnie tu dochodziły. Tam, na skotłowanych wodach oceanu rozstrzygał się los ich miasta. Napięci i przepełnieni trwogą wiedzieli o tym Zwycięstwo stanie się początkiem nowego rozkwitu podupadającej z wolna Hiszpanii. Klęska rozerwie więzi łączące Kadyks z Nowym Światem. Już ostatecznie odetnie port od amerykańskich surowców.

— *Może skusi się pan jeszcze na jedno z naszych „oloroses"?* — dziewczyna postawiła przede mną kwadratową butelkę. — *Jest dobre do serów. Niech pan popatrzy jaką śliczną ma bursztynową barwę. Anglicy przepadają za tym winem.*

We wrześniu 1805 r. Nelson odprężał się u boku lady Hamilton, słynnej podwówczas piękności. Stracił już w bitwach oko Stracił też rękę. Był niski, niepozorny o wątłych ramionach. Jednak oko, które mu zostało, pobłyskiwało metalicznym blaskiem nieugiętej woli i siły charakteru.

— Sir — zameldował się adiutant — połączona flota francusko-hiszpańska stoi w Kadyksie. Lordowie admiralicji żądają, aby pan ją zniszczył

Po krótkim wahaniu Nelson wypłynął z Portsmouth na spotkanie z wrogiem.

Po miesiącu, stojąc na kapitańskim mostku flagowego okrętu „Victory", poczuł ostre uderzenie. Padł głową w dół. Po kilku godzinach odszedł na zawsze. Bitwa była już wtedy rozstrzygnięta. Większość statków francuskich i hiszpańskich spoczęła na dnie oceanu. Reszta poszła w rozsypkę. Odleciały żagle, połamały się stery na hiszpańskich okrętach. Madryt przestał się odtąd na morzach liczyć. Spadł do doli trzeciorzędnego państwa.

W dowód wdzięczności londyńska City wystawiła Nelsonowi na Trafalgar Square faraoński w swych rozmiarach monument. Te koszty się zwróciły. City objęła odtąd w handlowe władanie wszystkie morza i oceany. Panowała na wodach niepodzielnie przez cały wiek. Niski jednooki i jednoręki mężczyzna, stojący w spiżu na gigantycznym postumencie, okazał się aniołem zagłady. Przybił ostatni gwóźdź do trumny hiszpańskiego imperium.

Duma, poczucie honoru rycerskość, daleko posunięta wspaniałomyślność i poczucie obowiązku. Oto cechy wyróżniające kiedyś Hiszpanów. Męstwem im też nikt nie dorównywał. Czy te wspaniałe cechy charakteru zniszczyła nędza, która po Trafalgarze zapanowała w Iberii na długie lata? Nędza z bida z Polski idą, po Hiszpanii ta złowieszcza para jeźdźców zniszczenia i upadku też szła wolnym truchtem przez całe stulecie.

Jeszcze u progu tego wieku podróżujący po Hiszpanii Francuzi pisali w paryskich gazetach — „*Afryka zaczyna się już za Pirenejami*".

Przerażały tłumy żebraków. Nawet w centrum Madrytu aż od nich się roiło. Wspólna bieda — lżejsza Wstrząsała ruina kwitnących ongiś grodów. Bieda domów nie buduje. Budziła groze potworna nędza wiosek w Kastylii. Bieda biedę rodzi. Co się więc stało z najbogatszym do niedawna ludem Europy?

Czy duch ogromnej niegdyś energii i przedsiębiorczości skurczył się, zapadł w sobie i w końcu wyparował bez śladu w tym narodzie pod wpływem łatwo dostępnych gór złota i srebra przywożonych z rozbójniczych wypraw do Ameryki? Bogactwo to było na czas krótki nader. Cudze nie tuczy. Zamilkły manufaktury Wyludniły się miasta. Naród popadł w apatię i długotrwały letarg.

Czy obserwuje się dziś renesans Hiszpanii?

Pewnie, że każdej biedzie koniec przyjdzie. Hiszpania się dźwiga, to jasne, jest znów w marszu, pnie się w uporczywym trudzie na wyższe wciąż szczeble gospodarczego rozwoju. Hiszpanie sięgają po nowe technologie, budują autostrady i atomowe siłownie. To wszystko prawda. Ale miliony poszukują pracy nawet najpodlejszej we Francji, Szwajcarii i „Bundesrepublice". Garb jeszcze pozostał. Lata przeminą, nim zakopie się go bez reszty do ziemi, inni nie śpią. Też rwą do przodu.

Spoglądam po raz ostatni, na budzące podziw, masywne domy Kadyksu, kute w kamieniu i żelazie, o ciężkich odrzwiach z mahoniu i brązu Na tych drzwiach wiszą kołatki o niespotykanej gdzie indziej wadze i wielkości. Domy — twierdze, popatrujące na przechodniów kratami w oknach i pospuszczanymi żaluziami. Ciche, zdawałoby się martwe domy, których zab przemijającego czasu jednak nie szaronał i nie nadwerężył. Tchną wciąż świeżością i utajonym w ich wnętrzu bogactwem.

Kiedy tak przemykałem się wzdłuż murów wąską na dwa metry uliczką, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że nawet zza żaluzji ktoś mnie śledzi i podpatruje. Gdzie pójść, w jakim udać się kierunku, skoro czyjeś oko wiecznie cię obserwuje? Kadyks jest kamienną twierdzą. To port-forteca o czujnych uszach i oczach skierowanych we wszystkie strony świata.

Anastasis

(8)

JACEK SAWASZKIEWICZ

Rys. Janusz Szymański-Glanc

„Wiedział o tym na długo przed waszą wyprawą na Trytona. Przewidywał większość zdarzeń, także i to, że będziecie się tam kochać. Ale, Mike, sam akt płciowy daje początek wyłącznie ciału fizycznemu. Pożądanie nie wystarczy, by to ciało ożywić. Potrzebna jest w tym ciele energia o wyższej jakości. A to, czego dokonaliście z Leslie, wymagało energii o jakości najwyższej. Wiesz, o czym to świadczy? Zastąp termin »energia« terminem »uczucie«, Mike".

Machnąłem ręką na te terminy.

— Oni wrócili — rzekłem. — Leslie i Mike Cesara polecieli po nich i przywieźli ich na Ziemię. A kto poleci po Mike'a Cesara, jeżeli ten sakramencki statek rozpieprzy się w okolicach Syriusza? Posłuchaj, Pave: „Ja się nie boję śmierci, boję się, że już nigdy nie zobaczę Ziemi". Pamiętasz? W „Katharsis" te słowa włożyłem w twoje usta, ale to ja je powiedziałem pięć dni przed twoją śmiercią. Teraz je powtarzam i zadaję ci pytanie: kto mnie zdejmie z tamtej orbity i przetransportuje pod pomnik z białego piaskowca?

„Ty wrócisz na Ziemię bez niczyjej pomocy. Ty i ludzie, z którymi tam polecisz. Jeszcze o tym nie wiesz, ale Wszechświat już nawiązał z tobą łączność duchową. W Strefie zostałeś rozpoznany i zaakceptowany".

— To bzdura, Pave. Gdybym cię nie znał od tak dawna, gotów byłbym pomyśleć, że trzymasz z nimi. Po co mi o tym mówisz?

„Pytałeś mnie o to, pilocie".

— A może oni cię przekupili, co? Kim ty, u licha, właściwie jesteś?

Pełznąc po pościeli zbliżyłem się do niego i wyciągnąłem ramię. Przeszyło ciemną pustkę. Opadłem na skłębiony pled i pozwoliłem, by pochłonęła mnie ta ciemność.

VII *»Poniższy zapis pochodzi z następnego dnia:«*

Rano wyprałem skarpetki i slipy i włożyłem te, które od wczoraj wisiały w suszarce. Nie korzystam ostatnio z zapasów czystej bielizny, żeby zapewnić sobie minimum niezależności. Poza tym ta rzekomo czysta bielizna jest nasycona jakimś specyfikiem, który przenika przez skórę i paraliżuje wolę. Mam też coraz więcej dowodów na to, że moi prześladowcy dosypują do posiłków narkotyki i psychotropy.

W samych slipach poszedłem do wnęki kuchennej. Wcisnąłem w otwór po czerwonym guziku trzonek noża i powiedziałem do mikrofonu:

— Tu Mike Cesara. Więzień klasy 8, numer Jove VIII łamane przez sto czterdzieści dwa miesiące w kosmosie. Chcę rozmawiać z naczelnikiem tego statku.

Głośnik zaskrzeczał niezrozumiale.

— Co? — podniosłem głos, jakby to mogło wywołać podobną reakcję z tamtej strony. — Mówcie powoli i wyraźnie.

— ...ofę filę fochojnie fofechacz, fanie Sesała.

— Poczekam. Ale niezbyt spokojnie.

Otwarłem okienko dźwigu, zanurzyłem się tam do pasa i wytężyłem słuch. Z góry i z boków dochodził mnie szum aparatury klimatyzacyjnej, która właśnie w tej chwili mogła tłoczyć do mojej kabiny gaz uspokajający. Nisko w dole rozlegały się zniekształcone dźwięki, jakby po zasłanej kablami posadzce przetaczano laboratoryjne wózki. Może to były urządzenia do odbierania myśli i telepatycznego wydawania rozkazów.

Nie życzę sobie żeby uspokajano mnie gazem — tak jak Jose Martineza w komorze ciszy. Później uspokajano go także. W przeciwnym razie nie wytrzymałby dwóch lat na „SAT S-I". Nie życzę sobie, żeby telepatycznie mną sterowano. Nie życzę sobie.

— Nie życzę sobie! — krzyknąłem w głąb szybu.

— Czego sobie nie życzysz, „querido"?

Wygramoliłem się z okienka dźwigu i omal nie potrąciłem Anneliese Bragg. Stała tuż obok, świecąc zębami, z płaskim pakunkiem przyciśniętym do płaskiej piersi.

— Znowu się do mnie zakradłaś? — powiedziałem. — Nie dajesz za wygraną, co?

— Mam tu do załatwienia to i owo.

— Już ja wiem co ty masz tu do załatwienia. Zapomnieliście wyposażyć w kamery tę kabinę, no nie? Aż was skręca z ciekawości, co ja tu robię.

Z przesadną kokieterią puściła do mnie oko i podetkała mi pakunek niemal pod nos.

— Przyszłam wymienić panelę w domofonie. Ta tutaj jest uszkodzona.

— Co to jest?

— Panela. Trzeba ją wstawić w miejsce tej, którą zniszczyłeś. Pozwolisz? To mi zajmie najwyżej pół minuty. One mają automatyczne uchwyty.

W ciasnych slipach czułem się mało bezpieczny, narażony na atak. Moje skąpe odzienie mogło tę rozerotyzowaną dziewczynę zachęcić do agresywniejszych zachowań.

— Nie. Niczego mi tutaj nie będziesz montować. Żadnych nasyłaczy myśli.

— Och — Anneliese na powrót przycisnęła pakunek do piersi. — Nasyłacze myśli? To nasza technika osiągnęła już taki poziom? Ale samą myślą chyba nie wydajesz poleceń kuchni?

Zamieniliśmy się rolami. Teraz ja podetknąłem rękę pod jej nos. Tyle że z nożem.

— Potrafię się z nimi porozumieć — odparłem — Dzięki temu.

Zupełnie słusznie spodziewałem się, że ona fałszywie to sobie wytłumaczy.

— Aj, aj, aj — powiedziała cicho. Z niedowierzaniem patrzyła na nóż w mojej garści. — Rzucasz w nich tym?

— Na razie nie było to konieczne.

Postawiłem krok do przodu, a ona — do tyłu. Przy niesłyszalnej muzyce posuwaliśmy się kontredansem w kierunku drzwi.

— Skoro już tu jesteś — ciągnąłem — chcę cię o coś prosić. Powiedz kwatermistrzowi, żeby od dzisiaj przysyłał mi jedzenie w oryginalnych opakowaniach fabrycznych.

— Dobrze, Mike. — Wzruszająco skwapliwie potrząsnęła głową przy tym zapewnieniu.

— I zawiadom Rettmana, że chcę się widzieć z Leslie. Niech ściągnie ją z Ziemi najszybszym wehikułem, jaki jest na tym statku. Tylko ją tutaj wpuszczę. Jasne?

Od tego potrząsania głową włosy prawie zakryły jej twarz. Poczekałem, aż się wyniesie i przystąpiłem do budowania barykady pod drzwiami.

VIII *»Dwie dalsze strony mojego dziennika zajmują wykazy, zestawienia i liczby. Dotyczą one domniemanych rodzajów oraz ilości środków narkotycznych i odurzających, jakie dosypywano mi do potraw w minionych dniach. Przy nazwach tych środków opisane są charakterystyczne objawy intoksykacji, obok zaś — objawy, które spostrzegłem u siebie. W nawiasach wyszczególniłem leki podawane w wypadku zatruć, lecz obecnie nie jestem w stanie powiedzieć, czy kazałem je sobie dostarczyć i czy mi je dostarczono.*

Kolejną stronę zdobi rysunek przedstawiający dosyć wiernie tamten pokój widziany z miejsca, w którym stał mój tapczan. Za oknem na rysunku jest noc, wszakże na niebie zamiast gwiazd pyszni się graficzny schemat Układu Syriusza. Z dwu ścian prosto we mnie wpatrują się oczy i obiektywy kamer. Są rozmieszczone w równych rzędach i szeregach, z zachowaniem identycznych odstępów. Tworzą stały motyw dekoracyjny: oko, obiektyw, oko, obiektyw, oko, obiektyw, a ich wyraz jest gniewny. Mimo że są nieruchomo utkwione w patrzącym na ten rysunek, ich spojrzenie zdaje się wskazywać okno.

Notatki na następnych stronach są pozbawione sensu i całkowicie dla mnie niejasne. Przypominają paranoiczny bełkot, jaki cechował prozę kleconą przez dwudziestowiecznych pisarzy fantastycznonaukowych. Lecz oto, po przewróceniu jeszcze jednej kartki, z owego bełkotu wyłania się stosunkowo klarowny zapis, który tutaj przytoczę:«

— Pave? — spytałem.

Księżyc był jasny i przeświecał jego postać.

„Przyprowadziłem ci gościa, Mike".

— Nie, nie chcę tu widzieć nikogo. Nawet ciebie. Jesteś zdrajcą. Już wiem, że współpracujesz z nimi. Wynoś się ty i ten drugi. Chcę zostać sam.

„Na pewno mnie nie potrzebujesz?"

— Na pewno. Nie potrzebuję nikogo. N i k o g o. Potrzebuję jedynie samotności.

„To dobrze, bracie. Dotarłeś prawie do celu. Ale może c i e b i e ktoś potrzebuje?"

Roześmiałem się. Mój śmiech był jak odciosy białego piaskowca spadające po skalnym zboczu.

— Uregulowałem wszystkie rachunki. Rozliczyłem się ze wszystkimi.

„Ja nie wiem, Mike. Przyprowadziłem kogoś, kto się uważa za twojego dłużnika".

Wysiliłem wzrok, jakbym rzeczywiście mógł tam kogoś zobaczyć. Czyjś głos, barwą zbliżony do głosu O'Pavela, powiedział:

„»Cómo estas«, pilocie?"

— José? — zapytałem.

„Ten sam, którego nienawidzisz od ćwierć wieku".

— José Martinez — stwierdziłem wychodząc ze zdumienia.

„Twój dłużnik".

— Nie mam dłużników. Nic mi nie jesteś winien. Zresztą ty nie żyjesz. Co mogłem dla ciebie zrobić po twojej śmierci?

„Wybaczyć".

— Wybaczyć? Ja tobie?

On mnie prosił o wybaczenie! On! Ja mu podsunąłem pistolet na „Titanii", żeby strzelił jakieś głupstwo, bo wtedy wylądowałby jeśli nie w kryminale, to bodaj w Wesołej Chatce i dosięgłaby go moja zemsta; stało się inaczej, ale to wcale nie umniejsza mojej winy — i on mnie prosił o wybaczenie!

„On o tym wie, Mike".

Ledwo uchwyciłem tę zmianę barwy głosu, która świadczyła, że znowu przemówił O'Pavel.

— Ach, tak.

— Czy nadal jest ci ciężko, pilocie?"

— A czy można się pozbyć tego ciężaru?

„Więc jeszcze nie rozliczyłeś się ze wszystkimi. Bo on ci wybaczył. I prosi cię, żebyś wybaczył jemu".

— Co mam mu wybaczyć, na litość boską?

„Zmusił cię, żebyś poszedł do Evelin".

— Evelin!

„Zmusił cię, żebyś patrzył, jak on i Evelin..."

— Dosyć, Pave! On mnie do niczego nie zmuszał. Poszedłem do niej, bo taki był zakład. Cała Szkoła Lotnicza chodziła do tych dziewczyn z okolicy. Ja nie byłem wyjątkiem.

„Ale do Evelin nie chodziłeś".

— Tak, cholera, do niej nie chodziłem! I dlatego żartowali, że jestem jakiś niewyraźny. Każdy z nas wybierał się do OKSZ, a tam jest piekielnie gęste sito. Razem ze mną składał papiery Algierczyk Doukh Sid'ahmed i nie został przyjęty, bo padło na niego podejrzenie, że ma skłonności homoseksualne. Musiałem pójść do Evelin i przynieść te jej majtki.

„I José Martinez poszedł z tobą, żeby cię pilnować".

— To był przypadek: koledzy wylosowali jego numer.

„Ale to jego znienawidziłeś, nie ten numer".

— Nie męcz mnie, Pave.

„I to on dobrał się wtedy do tej dziewczyny, nie ty".

— Powinienem był temu zapobiec.

Nagle, tak raptownie, jakby ktoś przekręcił wyłącznik, dostałem drgawek. Zacząłem się trząść, szczękać zębami i nie mogłem rozewrzeć palców zaciśniętych na nogach, które pod wpływem rytmicznych skurczów mięśni wykonywały drobne, naprzemienne ruchy.

— Po-powinienem był t-temu zapobiec — wykrztusiłem z rozpaczą. — Ale b-bałem się kompromitacji. Prze-przecież nie mogłem zatrzymać Martine-neza i powiedzieć mu, żeby-by tego nie robił, b-bo ja ją kocham. Nie mogłem się przy-przyznać, że kocham t-tego debila! T ę d e b i l o w a t ą d z i-d z i w k ę!

„Więc znasz to słowo nie tylko z brzmienia, Mike?"

Położyłem się na boku, skulony, próbując opanować te drgawki, dwukrotnie przygryzłem sobie język, podczas gdy O'Pavel trwał niewzruszony w ciemnościach — przede mną i nade mną, majestatyczny i przytłaczający, i gotów tutaj czekać, choćby to miało trwać wieki.

— T-to jest sprawa między-dzy nim a Evelin. Ja mu wy-wybaczam.

„Te zgłoski są tak samo puste jak twoje wnętrze, pilocie".

— Nie potrafię inaczej.

„Potrafisz, Mike. P o t r a f i s z".

IX *»Na odwrocie kartki znajduje się bizantyjsko-współczesna ikona, którą nagryzmoliłem miękkim ołówkiem. Wyobraża umęczonego mężczyznę na tle kosmicznej otchłani. Mężczyzna jest półnagi, ma na sobie tylko górną część ubioru kompensacyjnego i przedziera się między mlecznymi zwojami spiralnych galaktyk. W zaciekłej pogoni usiłuje go pochwycić horda międzygwiezdnych statków uzbrojonych w kły, pazury i laserowe ślepia.*

Po kilkunastu linijkach zagmatwanych rozważań zaczyna się zapis w miarę komunikatywny:«

Kroki. Drobne kobiece kroki — jak w komorze ciszy, jak w domu, gdzie Emmelina ćwiczyła godzinami bieg w miejscu.

Zepchnąłem z siebie przepocony pled i usiadłem na tapczanie. Trucht ucichł, po czym rozległ się głośniejszy, przybierając formę pukania. Ktoś pukał do moich drzwi chronionych barykadą zbudowaną z imitujących drewno płyt. Miałem opuchnięte powieki, gorzko-metaliczny smak w ustach, bolała mnie głowa i byłem osłabiony. Człapiąc powlokłem się pod barykadę, by odeprzeć to nowe natarcie.

— Tym razem — powiedziałem do zamkniętych drzwi — to pewnie psycholog Anneliese Bragg. — Nie pukano ani zbyt natarczywie, ani zbyt mocno, toteż mój ociężały umysł wysnuł supozycję, że po tamtej stronie stoi kobieta. — Zgadłem?

— Niezupełnie. Jestem Myrna Saunders.

— Ta dobra — mruknąłem. — Na jedno wychodzi.

— Co pan powiedział?

— Że na jedno wychodzi.

— Ale to wcześniej — pani Saunders koniecznie chciała, żebym powtórzył ten problematyczny komplement.

Więc go powtórzyłem, ponieważ powtórzyłbym wszystko, byle dano mi spokój:

— Ta dobra. Powiedziałem, że pani jest ta dobra. Anneliese Bragg to pani przeciwieństwo. Taka mało subtelna kobyła.

Nogi odmówiły mi posłuszeństwa i usiadłem na wystającej części mojej barykady.

— Dziękuję panu panie Cesara — wypromieniowało serdecznie zza drzwi. — Jest pan bardzo miły.

— Niech się pani nie trudzi. Tak czy owak wpuszczę tutaj jedynie moją żonę.

— Właśnie z tym do pana przyszłam. Pańska żona nie może pana odwiedzić.

Oczywiście — pomyślałem ze znużeniem. — Jesteśmy za daleko od Ziemi.

— Na razie jest to wykluczone — mówiła dalej Myrna Saunders — Ona ma nogę na wyciągu. Doznała zwichnięcia stawu kolanowego.

— Aha. — Nie miało sensu przedłużanie rozmowy, ale na dobrą sprawę nic już nie miało sensu, więc podjąłem tę grę — To się zdarzyło wtedy, kiedy szalałem tam jak furiat, prawda?

— Tak.

— Widocznie ją potrąciłem, a ona przy upadku zwichnęła sobie ten staw. Ufam — dodałem z rozrzewniającą troską — że nie zaszkodziło to jej ciąży?

Drzwi nie odpowiedziały.

— Pani Saunders! — zawołałem.

— Jestem, panie Cesara — odrzekła dość niepewnie.

— Chyba pani wie, że Leslie jest w ciąży od.. od trzech tygodni?

— Mike. — To przyjazne współczucie, z którym zwróciła się do mnie po imieniu było tak przejmujące, jak sygnał alarmowy na stacji kosmicznej. — Uważam, że powinieneś o tym wiedzieć.

— O czym?

— Twoja żona nie jest w ciąży. I nigdy nie była.

Uniosłem się z siedzenia i opadłem na nie bezwładnie, aż konstrukcja barykady zatrzeszczała ostrzegawczo. Patrzyłem na zamknięte drzwi jakby lada moment miały się rozpaść, by zrobić przejście dla Leslie, która zada fałsz Myrnie Saunders.

— No... a B.S.? — zapytałem. — Ona była w Zurychu u doktora Hansa Neupartha. Trzy tygodnie temu pojechała tam żeby... żeby...

— To daremne, Mike. Leslie nie może mieć dzieci. Za długo przebywała w kosmosie.

— Haracz.

— Co mówisz?

X *»Na tym w zasadzie kończą się notatki. Dalszy ciąg mojej rozmowy z Myrną Saunders został przeze mnie skreślony. Można go odczytać mimo grubych, stanowczych krech przeciągniętych wzdłuż linijek tekstu, lecz uszanuję swą poprzednią decyzję i pozostawię ów dalszy ciąg w zapomnieniu.*

Na następnych stronach panuje już tylko myślowy miszmasz, z którego niewiele da się wyłowić. Wydaje mi się jednak, że kilka zdań warto by tu przytoczyć:«

„Tak samo puste jak twoje wnętrze, pilocie" — powiedział O'Pavel. Dlaczego?

Osiągnąłem już wszystko i widzę przed sobą pustkę.

„O'Pavel?" — zapytała Leslie. — „Był ktoś taki?"

Nie. Nikogo takiego nie było.

Nic mnie z wami nie wiąże. Absolutnie nic. Zrzekam się i rezygnuję. Jestem samowystarczalny.

»Nie wiedziałem wówczas, że o to im chodziło.«

C.D.N.

1 Nagle zastępstwo

Nad pięknym modrym Donem

Ukazała się w księgarniach czas jakiś temu (podaję to na odpowiedzialność prasy, ja właściwie już w księgarniach nie bywam) nowość wydawnicza pt. „Tarapaty dobrego żołnierza Szwejka podczas wojny światowej". Jak się tak trochę zastanowić, to pewnie będzie... Ależ tak! To przygody dobrego wojaka Szwejka! To wreszcie nowe wydanie przygód naszego starego poczciwego wojaka ale... Ale w nowym przekładzie, autorstwa Józefa Waczkówa. Podobno tekst cały też tak się różni od tekstu przekładu Pawła Hulki-Laskowskiego jak ten obco — na pozór — brzmiący tytuł od tytułu, który znamy od lat, który nie jest już tytułem powieści — jest przysłowiem, jest metaforycznym powiedzonkiem jest hasłem, jest trwałym elementem świadomości literackiej — więcej! — kulturowej trzech, czterech pokoleń.

Paru publicystów wyraziło oburzenie przeciw przekładowi, a już szczególnie przeciw tytułowi. Ja natomiast jestem człowiek zgodny i taką mam optymistyczną naturę, że w każdym zjawisku staram się dostrzegać pozytywne elementy, wartości, których umiejętne wykorzystanie może przynieść różnorakie pożytki. Otóż, po ochłonięciu z pierwszego szoku i przyswojeniu sobie zasady logicznej, zastosowanej przez translatora, widzę w tej metodzie wiele korzyści, tak dla czytelniczej publiczności jak dla tłumaczy literatury pięknej, piękniejszej i najpiękniejszej, a nawet przepięknej.

Na czym ta metoda polega?

Wyjaśnię pokrótce. Pierwszym i głównym jej założeniem jest, że nic i nigdy nie zostało zrobione tak dobrze, żeby już nie mogło być lepsze. Jest to zasada słuszna i ambitna, a także postępowa. Można powiedzieć, że cały progres w nauce, kulturze itd itd. zawdzięczamy tej szczytnej maksymie i ludziom, którzy ją wyznawali i wyznają. A skoro wszystko można naprawić, to czemuż by nie naprawić czegoś tak konwencjonalnego jak przekład z języka na język? Przecież wszystkie języki, wyjąwszy narzecze Buszmenów, obfitują w ogromne ilości synonimów i zwrotów bliskoznacznych! Dotyczy to w równym stopniu języka, z którego się przekłada jak i języka, na który się przekłada. Prześledźmy to na najkrótszym przykładzie: Trzy krótkie słowa z monologu Hamleta: „to be or not to be" można na polski przełożyć trojako: „Istnieć czy nie istnieć", „być czy nie być", „trwać czy nie trwać". I to jest tylko część możliwości. Wszak można jeszcze przestawiać szyk wyrazów, można użyć „albo" zamiast „czy" Daleko więcej możliwości rysuje się przy zastosowaniu dodatkowych słów w rodzaju „czy warto", „czy trzeba" nie mówiąc już o takich ozdobnikach jak np. „azaliż".

Ale pan Józef Waczków nie ograniczył się do zastosowania innej kombinacji słów czy też słów synonimicznych. O nie! Ten ambitny tłumacz poprawił Hulkę-Laskowskiego Przecież „przygody" to nie tylko synonim słowa „tarapaty". Ma ono odcień znaczeniowy różniący się od drugiego słowa bardzo wyraźnie. Tarapaty wszak to przygody przykre, to nieszczęścia, to przykre sytuacje. A w takie właśnie obfituje życiorys Szwejka. Podobnie zresztą jak Robinsona Crusoe I dlatego zamiast „Przypadki..." powinno się tłumaczyć w tytule powieści „Tarapaty Robinsona Crusoe".

Idźmy dalej. Czeskie słowo „vojak" oznacza właśnie żołnierza. Polskie „wojak" znaczy już trochę co innego, a zatem Hulka-Laskowski popełnił błąd, tłumacząc „vojaka" na „wojaka"!

Ja się za metodą Józefa Waczkówa opowiadam, ja zajmuję w tej sprawie pozytywne i jedynie słuszne stanowisko!

Pozwalam sobie zatem zaapelować do tłumaczy i translatorów o dokonanie rewolucji w przekładach. Zacznijmy od tytułów. Przecież powszechnie znane tytuły literatury światowej roją się od najróżniejszych błędów! Wspomniałem już o Robinsonie Crusoe. Ale przecież tak znana powieść Aleksandra Dumasa „Trzej muszkieterowie" zawiera aż dwa błędy translatorskie. Każde dziecko, które sięgnie po tę książkę musi być zaintrygowane słowem „muszkieter". Idźmy naprzeciw młodemu czytelnikowi, przetłumaczmy francuskiego „muszkietera" na swojskiego, zrozumiałego „strzelca". A znów każdy, kto tę książkę przeczytał wie doskonale, że ma ona czterech a nie trzech bohaterów. A zatem dobry, nie dezinformujący i zrozumiały dla każdego polski tytuł brzmieć powinien „Czterej strzelcy"!

Albo weźmy „Cichy Don". Autor przekładu poddał się niepotrzebnie rosyjskiej, ludowej frazeologii. W Polsce nie mówi się przecież „cicha Wisła" tylko np. „modra Wisła". Czyż nie byłoby lepiej, gdyby użyć w tytule znanego nam zwrotu? Może to brzmieć np. „Nad pięknym, modrym Donem".

Możliwości jest wiele i trudno je wszystkie w krótkim felietonie ukazać. Do roboty więc, panowie PT translatorzy, zrzeszeni od niedawna w nowym stowarzyszeniu! Wydawnictwa czekają, a koszty nie powinny być zbyt wielkie. Poprawki wszak dotyczyć będą głównie takich starych utworów, za które nie płaci się już tantiem. Nieboszczyków nie potrzeba też pytać o zgodę, z czego skorzystał pan Józef Waczków...

ANDRZEJ KAROL

2 Spojrzenie znad szachownicy

Korepetycji udzielę gratis

1.

Owszem, uśmiałem się — że tak powiem — do rozpuku czytając felieton Stefana Życiowego (współpraca Andrzej Karol) „Szachy na Lachy" pomieszczony w którymś tam — licząc do tyłu — numerze „Odgłosów".

Życiowy co prawda gwizdnął mi nadtytuł, wszystko poplątał pozbawił też niżej podpisanego przynależnych mu szachowych tytułów, obdarzając innymi, których nie posiadam, było to jednak — powtarzam — burzliwie śmieszne, co stanowi walor sam w sobie. Ciekawe jedynie, czy Życiowy wie, że Tamerlan, który też grywał w szachy (choć były to raczej praszachy, cokolwiek odmienne od dzisiejszych), póki się śmiał, to się śmiał, ale gdy już się wyśmiał lubił ponoć robić żartownisiom drobne kuku, iżby już nigdy więcej nie rozśmieszyli kogokolwiek. Życiowy, a i Andrzej Karol także, mają przeto wisielcze szczęście, że już nie te czasy, a ja nie jestem Tamerlanem.

2.

Życiowy najwyraźniej struga bowiem wariata opisując partię żywych szachów rozgrywaną w jakimś tajemniczym sanatorium do złudzenia przypominającym szpital znany nam z „Kordiana", albo też redakcję znaną nam z autopsji.

Jednak — proszę to sobie zanotować w kajeciku — nawet w sanatorium o drzwiach pozbawionych klamek biały pionek nie może w pierwszym ruchu osiągnąć pola „g7", zaś „g" w szachowej notacji pisze się małą, nie dużą literą, zupełnie tak jak guano. Podobnie czarne konie, nawet gdy są to konie na wariackich papierach, nie mogą „wycofać się" na „c3" i „d3", ponieważ wówczas poszłyby akurat do przodu, czyli wdarły do obozu białych. W szesnastej partii meczu Karpow — Kasparow grający czarnymi pretendent ustawił swojego skoczka właśnie na polu „d3" i tak ograł mistrza świata, że miło było popatrzeć!

Podobnie dziecinnych błędów znajdujemy w tekście niepomiernie więcej, z czego wniosek, że należałoby Życiowemu bezzwłocznie udzielić serii szachowych korepetycji. Gotów to jestem zrobić gratis, jednak pod pewnym drobnym warunkiem.

3.

W opowiadaniu niejakiego L. H. Lowe'a „Szachy" narrator, orientalista K., podczas podróży statkiem do Aleksandrii rywalizuje z tajemniczym paszą o względy pięknej Eweliny. Ewelina początkowo faworyzuje paszę, potem zarzeka się z orientalistą, jednak po wylądowaniu — czy to w obronie pozorów, czy to w obronie cnoty — postanawia zamieszkać w innym hotelu niż narzeczony.

Nazajutrz K. napotyka przypadkowo paszę, który zaprasza go do swego pałacu, a tam proponuje partię szachów. Figury, rozstawione na wymalowanej na podłodze szachownicy, są wielkości dziecka brakuje jednak figury najważniejszej — białej damy.

I wtedy — cytuję — *„Pasza klasnął trzy razy w ręce. Zasłona naprzeciw mnie rozsunęła się i — serce przestało mi bić ze zgrozy. Murzyn wprowadził do pokoju na łańcuchu nagą kobietę — Ewelinę.*

(...) — Czyż nie pragnął pan zobaczyć białej damy? — zapytał pasza, a głos jego brzmiał tak spokojnie i uprzejmie, jak gdyby mówił o pogodzie. — Oto ona, możemy więc rozpocząć grę. Jeżeli pan wygra, dama stanie się własnością pana, jeśli ja wygram, to...".

Niestety K. popada we frustrację przesuwając po szachownicy drżącą (i gołą) królowę — Ewelinę, partia więc, a i opowiadanie kończą się tedy dla niego źle, dla nas stanowić będą wszelako cenny materiał natychający.

4.

Murzyna i łańcuch możemy sobie wstępnie darować, wierzę bowiem, że Życiowy korzystając z bezmiernych zasobów swojego osobistego wdzięku zdoła namówić Jolkę i Teresę, iżby całkiem dobrowolnie odegrały wedle powyższego scenariusza rolę czarnej i białej damy (Jolka, jeżeli o tej samej myślimy, aktualnie jest wprawdzie ruda, od czegóż jednak fryzjer?!). Wtedy, niech ja skonam, nauczę Życiowego grać w szachy!

A dalej jawi mi się wizja godna Ostapa Bendera. Trenujemy dwa, trzy razy w tygodniu, ile nam sił wystarczy Potem, gdy się ociepli, na placyku przed redakcją urządzimy publiczny pokaz, zbierając oczywiście od gapiów — również od tych w oknach — po stówie, albo co łaska. Jeszcze później objedziemy Zgierz, Ozorków i Pabianice, tudzież resztę Polski, nabrawszy zaś wprawy — ruszymy na podbój Europy.

Europę jak raz obskoczymy do przyszłej jesieni, zimą zaś pojedziemy na antypody, w Australii bowiem — tak przynajmniej słyszałem — akurat wtedy jest bowiem lato. Zresztą jest czy nie jest, warto to sprawdzić.

5.

Życiowy, mam przynajmniej nadzieję, doceni, że traktuję go bardziej niż po chrześcijańsku. On we mnie kamieniem, ja w niego chlebem, on znęca się nad moimi ukochanymi szachami, ja nęcą go propozycją wprost nie do odrzucenia.

Prawda to, Jolka i Teresa mogą z początku grymasić, wiele jednak można zdziałać cierpliwą perswazją, jeżeli zaś nie, trudno — przemalujemy Andrzeja Karola na Murzyna (po co dał się w całą aferę zaplątać), zaś Życiowy w ramach samokrytyki i ekspiacji wykombinuje jakiś łańcuch, a nawet dwa łańcuchy. I wówczas dopiero zwrócę mu resztki honoru, jeżeli zostały jakieś resztki.

JERZY P.

3 Lewym okiem

Zamiast ankiety

Dawno minęły te czasy, kiedy czytelnik pism kulturalnych tygodniowych i miesięcznych mógł dzięki nam czuć się rzeczywistym członkiem wielkiej kulturalnej wspólnoty, obejmującej znacznie więcej niż własny kraj, obejmującej bez mała cały świat. Był taki czas, dawno temu, ale trwał parę dziesiątków lat, że wszystkie pisma z niezrównanymi „Wiadomościami Literackimi" na czele uznawały za swój honor i obowiązek relacjonować na bieżąco wszystkie ciekawsze wydarzenia kulturalne we Francji, Anglii, Niemczech, Hiszpanii, w całej Europie, Ameryce, a czasem i w innych częściach świata. Polski czytelnik wiedział o nowościach wydawanych w Londynie, Paryżu, Berlinie, i Rzymie, śledził dyskusje tamtejszych intelektualistów, wiedział też co się każdej chwili pisze i mówi „O Polsce za granicą", co grają największe sceny świata, kto i za co otrzymał nagrodę, gdzie i o czym obradują zjazdy, kongresy, sympozja, jak obchodzono kulturalne jubileusze, komu postawiono pomnik.

Godny uwagi fakt, zdarzenie, problem z zakresu najszerzej pojętej kultury nie musiał być od razu okazją do pretensjonalnego popisu na dwie kolumny. To były wzmianki, notatki, kroniczki — nośne informacyjnie, lapidarnie skomentowane, dowcipne i zachęcające do myślenia. Często nawet nie były podpisywane. Trochę może liczyły na snobizm — jeden z najlepszych gatunków snobizmu nastawionego na „bycie au courant", ale poza tym jak poszerzały horyzonty zainteresowań, jaką dawały — powtarzam — świadomość wspólnoty, uczestnictwa, współzależności!

Nie ma takich rubryk w żadnym ze współczesnych czasopism. Bywają jedynie ogromne sprawozdania z rozlicznych festiwali filmowych, jako że delegowany na taki festiwal publicysta musi się po powrocie wykazać. Poza tym zrezygnowaliśmy i skurczyliśmy się skwapliwie do absolutnego zaścianka, w którym miętosi się na wszystkie boki wciąż te same tematy, we wciąż tym samym kręgu osób i zdarzeń. Łamy pism kulturalnych zdominował reportaż, o którym rzadko można powiedzieć „wielki". Najczęściej jest to reportaż incydentalny, dotyczący jednego, zazwyczaj negatywnego faktu, a jeszcze częściej — jednej osoby. Dziennikarz ujmuje się za czyjąś krzywdą jako ostatnia instancja. Nie świadczy to dobrze o mechanizmach społecznych i o moralności (śmieszne, archaiczne pojęcie...) życia publicznego, że ta publicystyczna instancja jest w tak wielkim rozmiarze niezbędna. A od strony czytelnika? Współczuję konkretnemu, wymienionemu z nazwiska i adresu kolejarzowi, któremu na czas nie wypłacono emerytury, ale artykuł o tym na dwie bite kolumny tygodnika uważam za nadużycie cierpliwości i za dęty popis „literackiego" pustosłowia. Powinna wystarczyć wzmianka w interwencyjnej rubryce prasy codziennej.

Piszę o tym wszystkim trochę dlatego, że „Kultura" ogłosiła właśnie ankietę: „Jaka tematyka najbardziej interesuje Pana w „Kulturze"? „Pośród osób, które nadeślą starannie wypełnioną ankietę, rozlosujemy wartościowe i trudno dostępne książki" — pisze „Kultura". Ale w jaki sposób „rozlosujemy", skoro formularz ankiety w ogóle nie przewiduje nazwiska i adresu jej autora? Między kogo rozlosowane będą trudno dostępne książki?

W takiej sytuacji, widząc że na nagrodę i tak liczyć nie mogę, zabieram głos tu, w swoim kąciku. Nie tylko pod adresem „Kultury", ale także i ją mam na myśli, mówiąc o tym czego mi brak a czego (moim zdaniem) za dużo na łamach periodyków społeczno-kulturalnych. Jeszcze dopowiem: brak mi mądrych, nie za długich, nie zdrewniałych od pretensjonalnego „scjentystycznego" stylu esejów, brak mi dyskusji (tak żywych i ciekawych np. w zakresie spraw ekonomicznych, na nieco innych łamach). Ale na pierwszym miejscu jeszcze raz — właśnie to: brak widoku na szerszy świat, na nowe prądy, kierunki, systemy, pomysły. Czy od czasu dyskusji o egzystencjonaliźmie nic się już w świecie myśli nie dzieje?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4

Baby i kierownicy

Było to w Wieluniu na dworcu PKS. Usiadłem na ławeczce czekając na autobus. Przy ławeczce stała jejmość pokaźnych rozmiarów i opatulała wełnianą chustką wielki kosz. Do ławeczki podszedł mężczyzna w słusznym wieku w stanie wskazującym, że po pracy nie brał udziału w żadnym zebraniu jakiejkolwiek organizacji, a raczej było to zebranie w lokalu gastronomii wieluńskiej. Nie musiało ono trwać długo, co najwyżej „dwie setki".

— Co pani tam tak chowa? — zapytał mężczyzna w słusznym wieku.

— Opatulam małe indyki, aby nie zmarzły, bo wiozę je w prezencie córce na Śląsk — wyjaśniła jejmość pokaźnych rozmiarów.

— Małe indyki? — zdziwił się mężczyzna w słusznym wieku. — Dużego indyka trzeba jej zawieźć i w dodatku upieczonego. To byłby dopiero prezent.

— I pół litra jeszcze — wyrwało mi się.

— A żebyś pan wiedział — zwrócił się do mnie mężczyzna w słusznym wieku. — Sądzi pan, że jej córka będzie te indyczki hodowała? — wskazał głową oddalającą się w kierunku stanowiska autobusów PKS jejmość pokaźnych rozmiarów.

— Myślisz pan, że te dzisiejsze baby coś potrafią zrobić? — ciągnął dalej mężczyzna w słusznym wieku. — Ona te indyczki przerobi na kotlety i sprzeda. Zarobi na tym, Panie, ja je znam. One by się tylko stroiły i miały wymagania. Mój sąsiad na przykład to ma taką kobitę, co tylko jeździ do miasta, kupuje różne rzeczy, stroi się, a zboże — panie — stoi na polu nietknięte. Nie ma komu zbierać Teraz pewnie kartofli nie zbierze na czas. Skąd on ma pieniądze dla tej baby na stroje. Nie. Dzisiejsze baby, to nie to, co dawniej.

— Ale przynajmniej jest na co popatrzeć — wskazałem głową grupkę przechodzących dziewcząt.

Mężczyzna w słusznym wieku i stanie wskazującym skrzywił się.

— No i co z tego? Nam nie trzeba kobiet do oglądania. Do roboty potrzeba. Do wychowywania dzieci. W mieście, to wy sobie możecie i oglądać się za kobitami. Na wsi kobita musi robić. A one nie chcą. Zapatrzyły się na miastowe i nic im się nie chce, tylko stroiłyby się, gadały i gziły z chłopakami.

— Jest pan chyba za surowy w sądach?

— Ja?! — oburzył się mężczyzna w słusznym wieku i w stanie wskazującym. — Ja jestem tylko sprawiedliwy. Znany jestem z tego. Zawsze wypowiadam się szczerze. Mówię tylko to, co myślę. I nikogo nie boję się. Myśli pan, że kierownikom różnym nie wygarnąłem, co o nich myślę?

— A co pan o nich myśli? — znów wyrwało mi się zupełnie niepotrzebnie.

— Że na niczym się nie znają, nie mają kwalifikacji, nic nie potrafią, kradną wszystko, co tylko mogą i robotnika gnębią. Rządzić nie potrafią. Jak człowiek słucha, co oni wygadują, to śmiać się chce.

— Chyba pan przesadza, nie wszyscy są tacy.

— Pan nie ma kierownika u siebie w zakładzie? — zaatakował mnie ostro.

— No — powiedziałem z lekkim wahaniem — mam. Każdy ma, ale żeby tak zaraz...

— To sam pan wie najlepiej, jacy oni są!

— Nie uogólniałbym jednak — próbowałem bronić kierownictwo swojej redakcji.

— Co pan tam mówisz — mężczyzna w słusznym wieku machnął lekceważąco ręką. — Weź pan takiego kierownika masarni u nas. Ile on może mieć miesięcznie? No, niech ma te piętnaście. Nawet niech ma dwadzieścia. Czy myśli pan, że z tego można taką willę postawić? Musi kraść!

— Ale może ma też i gospodarstwo? — próbowałem usprawiedliwiać nie znanego mi bliżej kierownika masarni.

— Ma. Ale co z tego? Kierownik GS też ma i też się buduje. Oni wszyscy tacy sami. A w kółku to inaczej?

— No — odetchnąłem z ulgą, że to chodzi tylko o kierownictwo w nie znanej mi wsi — wie pan, nie wszędzie jest tak. Wiele się teraz zmienia...

— Może u was w mieście, ale też nie wierzę. Wszyscy kierownicy jednacy. Tak jak i te baby. Panie, jak panu mówię, że my nic nie osiągniemy przez te baby i tych cholernych kierowników, złodziei, nieuków. A jak jeszcze baba jest kierownikiem, to już koniec świata!

— Przepraszam! Ale mój autobus podjeżdża na stanowisko. Do widzenia!

Z okna autobusu widziałem jak mężczyzna w słusznym wieku i w stanie wskazującym z zapałem perorował coś chudemu blondynowi, który przed chwilą przysiadł się na ławeczce. Pewnie o babach i kierownikach, że to całe nieszczęście przez nich. Ciekawym, ilu ludzi wysłuchało jego poglądów tego dnia?

WITOLD BOROWY

Wielki las

(18)

ZBIGNIEW NIENACKI

Stęborek zdobył to zezwolenie i zgodę na wstępną lokalizację tartaku, gdyż przed miesiącem sprzedał naczelnikowi kilka starych modrzewi na boazerię do nowego domu.

Wolno i z namaszczeniem przeczytał Łukta wręczony mu przez Stęborka dokument. Potem — szybciej i bez żadnego namaszczenia, jak prawdziwy człowiek interesu — uczynił to Kożusznik.

— W porządku — oświadczył składając papier na czworo i chowając go do kieszeni. — Może pan, panie Łukta, kupować cement i deski na wiatę. Ja zaś dowiem się, gdzie kupić szyny i wózek do podwożenia drewna pod trak. Proponuję podpisać naszą umowę.

— Mam też już ustną zgodę na podłączenie traku do transformatora, który jest koło starej żwirowni — dopowiedział Stęborek.

Podpisali szybko umowę i każdy schował do kieszeni jeden z trzech egzemplarzy. Wtedy Łukta wyjął z kieszeni butelkę wódki i rozkazująco spojrzał na Malwinę, aby podała kieliszki i zakąskę.

— Wiecie przecież, że nie piję — oświadczył Stęborek — Muszę zresztą zaraz jechać po chleb i inne produkty do sklepu Innym razem wypijemy.

Nie chciał, żeby Łukta zbyt długo siedział w jego domu. Irytował go wyraz twarzy Malwiny — owo przerażenie, połączone z pożądliwą ciekawością.

Kożusznik wzruszył ramionami i wstał od stołu.

— Pójdziemy do pana, panie Łukta i tam sobie wypijemy — zaproponował. — Mamy przecież do omówienia sporo spraw. Pod trak trzeba zrobić mocny cementowy fundament, postawić wiatę...

Na Kożusznika Malwina nie patrzyła z takim wyrazem twarzy jak na brudnego kudłatego Łuktę. Kożusznik miał gładko wygolone policzki, był szczupły i wąski w ramionach, jego twarz była tak banalna, że chyba nie do zapamiętania. Kożusznika Malwina jak gdyby w ogóle nie widziała.

Opuścili leśniczówkę i zaraz odjechali do wsi odrapanym fiatem. A Stęborek zdjął z wieszaka kask, uruchomił harleya i postanowił uczynić to, co do tej pory zaniedbał, pochłonięty myślami o czekających na niego w domu gościach. Jadąc teraz polną drogą do sklepu w osadzie leśnej — zapewne pod wpływem swej niedawnej rozmowy z nadleśniczym — doznał czegoś w rodzaju wyrzutów sumienia, że jest dopiero południe, a on znajduje się daleko od lasu. Ale przecież kiedy w sklepie zjawiał się później, zazwyczaj brakowało świeżego chleba. Czy Malwina naprawdę nie mogła wsadzić kiedyś dziecka do wózka i pomaszerować półtora kilometra do sklepu?

Oblizał językiem wargi i nagle poczuł w ustach coś słodkiego, jak gdyby spadła mu na wargi kropla miodu. Skąd się wzięła ta słodycz? Co spowodowało, że odnalazł na wargach ów słodki smak?

Wjechał na szosę i raptem zamiast do sklepu w osadzie skręcił w prawo, w stronę lasu. Pięć kilometrów miał do miejsca, od którego zaczynało się jego leśnictwo o nazwie Nieżywe. Silnik harleya głośno łomotał, na twarzy, nosie i wargach czuł Stęborek krople deszczu, lecz gdy końcem języka dotykał tych kropel robiło mu się w ustach dziwnie słodko. Dodał gazu i popędził po mokrym asfalcie, bo chciał, aby tych kropel deszczu na jego wargach było coraz więcej i coraz większą czuł w sobie słodycz. Zakupy jeszcze zdąży zrobić, najpierw jednak pojedzie tam, gdzie był dziś z Masłochą, na ową uprawę ze schnącymi sadzonkami. Dwukrotnie spoliczkował go tam Masłocha, a teraz oto on, Stęborek, w tym samym miejscu wykrzyczy swoją radość. Jeśli prawdą jest, że las kocha złych ludzi, to pokocha Stęborka i odtąd będzie się zielenił nawet patyk, który Stęborek wetknie w ziemię. Nie chodziło mu przecież o żaden tam tartak, o dziesięć procent zysku z pracy traka. Nie wiedział o tym nikt, ani Kożusznik, ani Łukta, ani nawet jego żona Malwina, że gdy przybył do niego Kożusznik z propozycją założenia tartacznej spółki olśniła Stęborka piękna myśl. Postawią trak w starej żwirowni tuż obok domu i sadu Horsta Soboty. Odtąd dzień i noc stary Horst będzie musiał słuchać jak jęczy i zgrzyta elektryczny trak, zobaczy jak wiatr roznosi po sadzie pył żółtych trocin. Pod domem Horsta Soboty zawracać zaczną ciągniki z drewnem, rozpanoszą się przekleństwa kierowców rozrzucających wszędzie butelki po wódce. A wówczas Horst Sobota umrze ze zgryzoty albo sprzeda dom nadleśnictwu, dla Stęborka — jak to obiecał Masłocha. Potem zaś Stęborek, który też nienawidził hałasu i zgrzytu traka — (zawsze źle się czuł, gdy musiał w jakich sprawach jechać do państwowego tartaku w Bartach) podrzuci pod trak trochę drewna skradzionego w jego leśnictwie i naśle strażników leśnych na Kożusznika i Łuktę A jeszcze wcześniej — pod byle pretekstem wycofa się ze spółki, aby spokojnie patrzyć jak władze opieczętowują tartak, a potem zmuszą Kożusznika i Łuktę do jego likwidacji. On zaś i Malwina zamieszkają w domu z gankiem, otoczeni ciszą i spokojem, coraz szczęśliwsi, szczęśliwsi, szczęśliwsi...

Zatrzymał motocykl przy uprawie i wygasił silnik. Natychmiast otoczyła go cisza, usłyszał szmer deszczu na gałęziach pobliskiego starodrzewu, na rachitycznych sosenkach z trudem rosnących na uprawie. Wciąż czuł na wargach słodki smak miodu, wdychał powietrze przesycone zapachem igliwia i mokrej od deszczu leśnej trawy. Otworzył szeroko usta i bezgłośnie krzyczał: „Jestem zły. Naprawdę zły. Nigdy jeszcze nie widziano tutaj tak złego człowieka".

A potem chciał krzyczeć głośno, aby naprawdę usłyszał go cały las, pokochał jak swego i dał siłę sadzonkom na uprawie. Ale nie uczynił tego, ponieważ raptem, mimo pokrytych rosą motocyklowych okularów, zobaczył na ścieżce działowej między uprawą a starodrzewem — jakiegoś człowieka na koniu. Sierść klaczy lśniła od deszczu, ów jeździec miał na sobie zieloną pelerynę, taką samą jak nadleśniczy, a na głowie nosił lekko przekrzywioną furażerkę.

Jeździec zbliżył się do Stęborka i tuż przed nim zatrzymał swoją klacz. Uśmiechnął się ni to przymilnie, ni to szyderczo, a w tym uśmiechu lśniły jego równe białe zęby.

— Kim pan jest? I co pan robi w moim leśnictwie? — zapytał ostro Stęborek, choć nie miał prawa do takiego pytania. Każdy miał prawo jeździć konno leśnymi ścieżkami. Ale poczuł złość, bo wydawało mu się, że tamten usłyszał jego bezgłośny krzyk, choć to było niemożliwe.

— Jestem strażnikiem łowieckim. Nie słyszał pan o mnie?

— A tak, słyszałem — skinął głową Stęborek, gdyż rzeczywiście wiedział od Kuleszy i innych, że nadleśnictwo otrzymało strażnika łowieckiego.

— Poznałem już prawie wszystkich leśniczych, ale pana jakoś nigdy nie mogłem spotkać w lesie — rzekł tamten.

Poirytowały te słowa Stęborka, gdyż przypominały mu dzisiejsze złośliwości Masłochy.

— Las jest duży — odparł. — Nie bywam też na pijaństwach u leśniczego Kuleszy.

Bo i to wiedział Stęborek od ludzi, że gdy gwałcono Weronikę, był tam nie tylko Tarchoński, Wzdręga i Budrys, ale także strażnik łowiecki.

Uśmiech zniknął z ust tamtego człowieka. Jego twarz stała się nieruchomą maską. Niebieskie oczy raptem pociemniały, może dlatego, że odwrócił wzrok od Stęborka i popatrzył w mroczną głębię starodrzewu.

— Nie mieszkam już u leśniczego Kuleszy — cicho, niemal szeptem wyjaśnił, jak gdyby to miało cokolwiek wyjaśniać.

A potem znowu popatrzył na Stęborka, ale tamten nie wiadomo dlaczego nerwowo oblizał wargi. Ku swemu zdziwieniu stwierdził, że nie czuje już smaku miodu.

— Jestem Stęborek i mieszkam w dawnej leśniczówce Izajasza Rzepy. Każdy panu wskaże drogę. Proszę mnie kiedyś odwiedzić — zaczął grzecznie, aby choć w części załagodzić swoją złośliwość i pozbyć się niezrozumiałego lęku, który budził w nim ten człowiek.

— Nazywam się Józef Maryn. I mieszkam w domu Horsta Soboty.

Te słowa doszły do Stęborka jak gdyby z oddali. Bo rzeczywiście ów człowiek klepnął lekko po karku konia i już zdążył minąć leśniczego.

Stęborek zacisnął wargi. Zamiast smaku miodu czuł w ustach suchość, a nawet coś gorzkiego. Pomyślał nie wiadomo czemu, że spotkanie z tym człowiekiem nie jest dobrym znakiem. Być może las nie przyjął jego ofiary. Dlatego jak modlitwę lub zaklęcie odczyniające urok, zaczął powtarzać: „Jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy".

Nie pozbył się jednak złych przeczuć. Nie wiadomo dlaczego przypomniał sobie o tym, co mu nie tak dawno mówił nadleśniczy: widział w lesie ślady samotnego wilka. Po osadach leśnych opowiadano, że pokąsał Karasia i Budrysa. Mało kto miał odwagę, aby nocą zastawiać wnyki i potrzaski na zwierzęta leśne, choć tak naprawdę lękano się obecności strażnika łowieckiego, który krążył po lesie cicho jak wilk i był podobo równie samotny jak ów wilk. „Nie powiem Malwinie o wilku, gdyż będzie się jeszcze bardziej bała lasu" — postanowił Stęborek. — „Nie chcę również, aby się u mnie pojawił ten strażnik łowiecki. Ma ładną twarz, ale zły uśmiech. Malwina też go się będzie bała".

Rozdział siódmy

Horst Sobota dotrzymał obietnicy i postarał się o psa. Pewnego dnia rolnik z sąsiedniej wioski dostarczył wozem zwierzaka zamkniętego w drewnianej klatce do wożenia świń na spęd. Sobota przygotował uprzednio miejsce dla psa — malutką zagrodę z siatki, gdzie ongiś trzymał kaczki i kury. Ogrodzenie było wysokie, aby kury nie potrafiły przefrunąć, głęboko wkopane w ziemię, żeby lisy i kuny z lasu nie mogły zrobić nory i dobrać się do ptactwa. Do wybiegu przylegał kurnik, z którego Sobota wyprzątnął stare ptasie łajno i rzucił wiązkę słomy na legowisko dla psa. Klatkę przystawiono wyjściem do drzwi kurnika, potem podniesiono drzwiczki. Pies wyskoczył najpierw do kurnika, a potem na wybieg, wówczas klatkę szybko cofnięto na podwórze i drzwi kurnika zostały zawarte. Pies z wybiegu wpadł z powrotem do kurnika, uderzył mocno łapami w drzwi, ale ponieważ nawet nie drgnęły — znowu wyskoczył na wybieg, oparł się przednimi łapami o siatkę, odbił się od niej, jeszcze raz znowu skoczył na siatkę i powtórnie się odbił. Następnie obiegł dookoła zamknięcie i zrozumiawszy, że stąd nie będzie się mógł wydostać, przywarł do ziemi i w ponurym milczeniu zaczął się wpatrywać w ludzi na podwórku.

— Pożałuje pan swoich pieniędzy, panie Sobota — powiedział chłop, który przywiózł psa. — To wściekłe bydle. Musiałem je trzymać na grubym łańcuchu, bo moja żona i dzieciaki bały się wychodzić na podwórko. Nawet ja podsuwałem mu miskę z żarciem przy pomocy kija, gdyż kilka razy mnie ugryzł. Nic dobrego z tego zwierzaka nie wyrośnie, a ja go nie wezmę z powrotem i pieniędzy za niego nie oddam. Ma półtora roku. Z dobrego gniazda go wziąłem, nie wiem dlaczego prawdziwa bestia z niego wyrosła. Podobno jego matkę raz pokrył pies a raz prawdziwy wilk. I ten wrodził się w wilka. W tej chwili jest bardzo zły, bo tak, jak mi pan polecił, od wczoraj nie dałem mu żarcia.

— Takiego psa chciałem i za takiego zapłaciłem — rzekł Horst, spoglądając na Maryna, który skinął głową, że pies mu się podoba.

Chłop odjechał natychmiast, zadowolony, że udało mu się zrobić dobry interes. Przed tygodniem prosił leśniczego Kondradta, żeby tego psa zastrzelił ze swojej broni myśliwskiej, ale Kondradt był zajęty i sprawa się odwlokła. Teraz dostał za psa pieniądze. I to nawet sporo.

— Pragnę za tego psa zapłacić — powiedział Maryn do Horsta.

— O nie — stary pokręcił głową. — Kupiłem dziką bestię, a nie psa. Jeśli potrafisz go wytresować i zrobić z niego psa, to mnie zostanie pies, a tobie przypadnie bestia.

— Dobrze — zgodził się Maryn.

Pies jak na owczarkowatego mieszańca był duży, w kłębie miał chyba z sześćdziesiąt centymetrów. Pokrywało go gęste futro o żelazistej barwie i jasnym podszyciu. Oczy miał duże, ciemne — spoglądały nieruchomo na Maryna, pozornie bez większego zainteresowania. Podobały się Marynowi jego uszy, dość małe, ale wysoko osadzone i sterczące ostro. Głęboka klatka piersiowa, szyja silnie umięśniona, łopatki ukośnie ustawione i płasko przylegające do tułowia, uda szerokie i muskularne, staw skokowy silny, łapy okrągławe, z palcami zwartymi i dobrze wysklepionymi, ogon puszysty, sięgający stawu skokowego. Tak, to był ładny okaz o dużej inteligencji, skoro nie zaszczekał ani razu i szybko przestał rzucać się bezradnie na siatkę, albowiem od razu pojął, że byłby to wysiłek daremny. Wolał przywarować, niemal wcisnąć się w ziemię i jak napięta sprężyna w każdej chwili pozostawać gotowym do skoku. Wystarczyło, że Sobota trochę bliżej podszedł do siatki, a usłyszeli z psiej gardzieli charkot głęboki, podobny do podziemnego grzmotu.

— Zapomniałem zapytać jak on się wabi — zmartwił się Horst. — Przecież chyba miał jakieś imię?

Maryn uśmiechnął się po swojemu, to znaczy ułożył usta w grymas uśmiechu, który naprawdę żadnym uśmiechem nie był i oświadczył:

— To naprawdę żadne zmartwienie. Nie ma znaczenia jak go kiedyś nazywano, skoro on zapewne nie uznał ani swego imienia, ani swego właściciela. Powiedz mi jak chcesz, żeby się nazywał?

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem — zakłopotał się stary. — Po zagrodach i leśniczówkach jest wiele Reksów, Burków, Kruczków, Brysiów, Azorów. Nie chciałbym, żeby tak się nazywał nasz pies. Może ty, Józwa, potrafisz coś wymyślić?

— Ivo — rzucił Maryn.

— Co takiego?

— Ivo — powtórzył Maryn.

— Dlaczego chcesz go nazwać: Ivo?

— Miałem przyjaciela, który tak miał na imię.

— Nie żyje?

— Nie wiem. Myślę jednak, że nie miałby mi tego za złe, że jego imię nadałem dzikiej bestii.

— To był zły człowiek?

— Tak, Horście. Jeżeli zdarzała się taka potrzeba, skakał do gardła. Ale najlepiej lubił rzucać się na piersi, obalać na ziemię i kazać ludziom warować.

— Niech będzie „Ivo" — zgodził się Sobota. — Krótkie imię. Dobre dla złego psa. Od kiedy rozpoczynasz tresurę?

— Już zacząłem — powiedział Maryn i usiadł na ławce przed domem tuż naprzeciw ogrodzenia, za którym warował pies. — Za dzień, dwa a może dopiero za kilka dni damy mu jeść.

— Rozumiem — pokiwał głową Horst. — Byłem wiele razy głodny. Na wojnie. Dziwne, że wiesz o tym, co to głód, chociaż jesteś młody i nie wojowałeś.

Sobotę naszły jakieś przykre wspomnienia. Bez słowa pozostawił Maryna na podwórku i ruszył w sad po łagodnej pochyłości skarpy. Maryn zaś znieruchomiał na ławce i spoglądał na psa, który też patrzył na niego. Jak długo tak się sobie przyglądali? Może godzinę albo półtorej. Aż do obiadu, gdy w otwartych drzwiach sieni stanęła Weronika.

Nie powiedziała „dzień dobry", a Maryn udał, że jej nie zauważył. Przyglądał się psu a pies przyglądał się jemu. Weronika też zaczęła spoglądać na psa, który podobnie jak Maryn, jak gdyby jej nie zauważył. Nie poruszył łbem, nie odwrócił ciemnych oczu od siedzącego na ławce mężczyzny.

Zza chmur wyszło słońce i na podwórzu rozlała się ogromna plama blasku. Zrobiło się gorąco i na czole Maryna pokazały się kropelki potu. Pies chciał ziajeć, rozchylił pysk z białymi zębami i wysunął język. Ale gdy tylko pokazał język, Maryn udawał, że chce wstać i podejść do siatki. Wówczas pies chował język, zwierał pysk i zaczynał charczeć, gotując się do skoku. I męczył się w promieniach słońca, które go oślepiało.

— Nie pozwolę na to, aby pan bił tego psa — odezwała się Weronika.

Maryn wzruszył ramionami.

— Dlaczego pani myśli, że będę go bił?

— Bo pan wygląda na takiego, który lubi bić. Ludzi, zwierzęta, wszystko jedno kogo. Zresztą, w moim domu też były psy. Ojciec biciem wymuszał na nich posłuszeństwo. Nie pozwolę panu bić zwierzęcia.

— To mój pies — odrzekł Maryn, nie odwracając ku niej głowy. — To mój pies i będę robił z nim co zechcę.

— Nie pozwolę znęcać się nad nim — nieco ostrzej rzekła Weronika.

— Nie powiedziałem, że będę się znęcał. Ale bicia chyba nie da się uniknąć, proszę pani. Inaczej rzuci się komuś z nas do gardła i przegryzie krtań. Jeśli pani go żal, proszę wejść do kurnika. Pogotowie ratunkowe jedzie tutaj pół godziny. Zresztą, to zależy, czy on pani poszarpie tylko twarz, czy też także szyję albo ręce. Tak czy inaczej blizny pozostaną na całe życie.

Nic nie powiedziała. Wydawało jej się, że rozumie i podziela nienawiść, która znieruchomiała w kosmatym zwierzęciu, leżącym na słońcu. Ona także czuła w sobie nienawiść do wszystkich i wszystkiego, a w tej chwili najbardziej do tego człowieka, który siedział na ławce.

— Postaram się bić go tak, żeby pani tego nie widziała — oświadczył Maryn. — Ale najpierw głodem spróbuję go nauczyć miłości. Dlatego niech pani mu nie rzuca ukradkiem żadnych kąsków. To nie złagodzi jego dzikości i nienawiści. Kąsek chwyci i zeżre, potem jednak tak samo rzuci się do gardła. Nikt nie lubi litości, proszę pani. Nie można zdobyć czyjejś miłości rzucając kąsek przez siatkę, z bezpiecznej odległości. Niestety, kiedyś trzeba będzie wejść za tę siatkę i podać mu miskę. Ale wszystko w swoim czasie. I z batem w ręku. Nie wiem dlaczego tak jest na świecie, proszę pani, że głód i strach czynią wszystkich posłusznymi. Ja jednak nie urządzałem tego świata.

CDN

Rys. Janusz Szymański Glanc